

TERRY PRATCHETT

WOLNI CIUTLUDZIE

The Wee Free Men

SPIS TREŚCI

Rozdział pierwszy. Solidne brzdęknięcie	3
Rozdział drugi. Panna Tyk	16
Rozdział trzeci. Polowanie na czarownice	31
Rozdział czwarty. Wolni Ciutludzie	47
Rozdział piąty. Zielone morze	63
Rozdział szósty. Pasterka	72
Rozdział siódmy. Pierwszorządne patrzenie i dopuszczenie drugiej myśli	83
Rozdział ósmy. Kraina zimy	109
Rozdział dziewiąty. Zagubieni chłopcy	122
Rozdział dziesiąty. Wielkie uderzenie	134
Rozdział jedenasty. Przebudzenie	149
Rozdział dwunasty. Wesoły żeglarz.....	157
Rozdział trzynasty. Ziemia pod falami	169
Rozdział czternasty. Mały jasny dąb	181
Od autora	197

Rozdział pierwszy.

Solidne brzdęknięcie

Niektóre sprawy rozpoczynają się wcześniej niż inne.

Choćby letni deszcz, który najwyraźniej się zapomniał i przybrał formę ulewy o sile zimowej burzy.

Panna Roztropna Tyk siedziała pod osłoną, jaką mógł jej zapewnić niechlujny żywopłot, i badała wszechświat. Nie zauważała deszczu. Czarownice schną bardzo szybko.

Badanie wszechświata odbywało się za pomocą kilku gałązek związanych sznurkiem, kamienia z dziurką, jajka, jednej – również dziurawej – pończochy panny Tyk, szpilki, kawałka papieru i małego ogryzka ołówka. W odróżnieniu od magów czarownice potrafią zadowolić się niewielkim.

Poszczególne kawałki zostały ze sobą związane i połączone, aby powstało... urządzenie. Kiedy nim poruszała, zachowywało się dziwnie. Na przykład jeden z patyków wydawał się przechodzić przez jajko na wylot, nie zostawiając żadnego śladu.

– Tak – stwierdziła spokojnie, gdy deszcz spłynął z runda jej kapelusza. – Z całą pewnością o to właśnie chodzi. Na ścianach świata pojawiła się zmarszczka. Bardzo niepokojące. Najprawdopodobniej jakiś inny świat usiłuje się z nami skontaktować. Co nigdy nie kończy się dobrze. Powinam się wybrać w to miejsce. Ale... mój lewy łokieć mi mówi, już tam jest jakaś czarownica...

– W takim razie ona sobie poradzi – odezwał się cichy i na razie tajemniczy głosik z okolic jej stopy.

– Nie, to nie byłoby w porządku. Wokół tego miejsca jest mnóstwo pokładów kredy – odpowiedziała panna Tyk. – A to nieodpowiednie podłoże dla dobrej czarownicy. Odrobinę tylko lepsze od gliny. Żeby wychowała się dobra czarownica, trzeba mocnej skały. – Potrząsnęła głową, rozpryskując wokół krople deszczu. – Ale moim łokciom generalnie można wierzyć.

– Po co w takim razie o tym gadać? Jedźmy sprawdzić – odpowiedział głos. – I tak tu, gdzie jesteśmy, niespecjalnie nam się wiedzie.

– To prawda.

Niziny czarownicom nie służą. Panna Tyk zarabiała pensy, po części lecząc, a po części przepowiadając pecha, i większość nocy przesypiała po stodołach. A nawet dwa razy wrzucono ją do stawu.

– Nie mogę się tam wpychać – odparła. – To terytorium innej czarownicy. Takie wściubanie nosa nigdy, ale to przenigdy się nie sprawdza. Choć z kolei... – zamilkła na chwilę. – Czarownice nie pojawiają się znikąd. Przyjrzyjmy się uważniej.

Wyciągnęła z kieszeni posklejany spodek i zanurzyła go w deszczówce, która zdążyła zebrać się w rondzie kapelusza. Z innej kieszeni wyjęła butelkę atramentu, który nalala na spodeczek, by woda zabarwiła się na czarno. Później wzięła go w dłonie i zasłaniając od deszczu, słuchała swych oczu.

Akwila Dokuczliwa leżała na brzegu rzeki i laskotała pstrągi. Lubiała słuchać ich śmiechu. Unosił się w bąbelkach.

Kawałek dalej, w miejscu gdzie brzeg stawał się czymś w rodzaju kamienistej plaży, jej brat Bywart bawił się lepieniem, z całą pewnością stając się przy tym lepki.

Wydawało się, że do Bywarta lepi się wszystko. Umyty, osuszony i umieszczony na środku czystej podłogi, stawał się lepki już po pięciu minutach. Nie wiadomo od czego. Po prostu. Ale poza tym był dzieckiem mało kłopotliwym, jeśli nie liczyć tego, że jadał żaby.

Istniał niewielki obszar w mózgu Akwili, który nie był przekonany co do imienia Akwila. Miała dziewięć lat i czuła, że nie będzie jej łatwo żyć z tym imieniem. Ponadto właśnie w zeszłym tygodniu podjęła decyzję, że kiedy dorośnie, chce zostać czarownicą, i była całkiem pewna, że imię Akwila do tego planu nie pasuje. Ludzie będą się śmiać.

Pozostała i większa część umysłu Akwili zajęta była słowem „pomruk”. Było to słowo, które niewielu osobom przychodziłoby do głowy. Obracała je w myślach raz po raz, drapiąc pstrąga pod brodą.

„Pomruk” zgodnie ze słownikiem jej babci oznaczał „niski cichy dźwięk, coś na kształt szeptu lub mamrotania”. Akwili podobało się brzmienie tego słowa. Przywodziło jej na myśl tajemniczych ludzi w długich szatach, wymieniających za drzwiami ważne sekrety:

mrumrumrumrumru.

Słownik przeczytała cały. Nikt jej nie powiedział, że nie powinna.

Zastanawiając się nad tym, spostrzegła, że szczęśliwy pstrąg odpływa. Ale co innego przykuło jej uwagę – okrągły koszyk, nie większy od połówki orzecha kokosowego wymoszczonego czymś, co zatykało wszystkie dziury, dzięki czemu koszyk utrzymywał się na wodzie. W środku stał człowieczek wielkości około sześciu cali. Miał masę nieporządných rudych włosów, z powtykanymi w nie piórkami, koralikami i wstążkami, oraz rudą brodę w takim samym nieporządku jak włosy. Całe ciało pokrywały mu błękitne tatuaże, poza miejscem zakrytym króciutką spódniczką. Wymachiwał pięścią, wrzeszcząc:

– Na litość! Uciekaj stąd, ciutwiedźmo, czyś ty całkiem ogłuchła? Nadchodzą zielonogłowi!!!

Krzycząc, szarpał za linkę zwisającą z brzegu łódki i na powierzchni pojawiła się pomarańczowa głowa kolejnego ludzika, łapiącego powietrze.

– Znakomity czas na łowienie! – oświadczył pierwszy, wciągając go na łódkę. – Nadciągają zielone głowy.

– Na litość! – jęknął drugi, ociekający wodą. – Zjeżdżajmy stąd!

Złapał ciuteńkie wiosło i machając nim, gwałtownie przyspieszył bieg kosza.

– Przepraszam! – krzyknęła Akwila. – Czy jesteście krasnoludkami?

Nie usłyszała odpowiedzi. Okrągły stateczek zniknął w trzcinach. Najprawdopodobniej nie, uznała dziewczynka.

Wtedy, ku jej mrocznemu zadowoleniu, rozległ się pomruk. Nie było wiatru, ale liście na wyższych krzakach porastających brzeg rzeki zaczęły się trząść i szeleścić. Podobnie trzciny. Wcale się nie kładły, tylko jakby dygotały. Wszystko drgało, stawało się nieostre, tak jakby ktoś ujął świat w dłoń i nim potrząsnął. Powietrze syczało. Ludzie za zamkniętymi drzwiami szeptali...

Tuż przy brzegu woda zaczęła bąbelkować. Nie było tam wcale głęboko – Akwili woda sięgałaby do kolan, ale nagle wydało się, że jest ciemniejsza, bardziej zielona i... no, dużo głębsza...

Dziewczynka cofnęła się o kilka kroków tuż przed tym, jak długie chude ramiona wyprysnęły z wody i machając rozpaczliwie, dotarły do brzegu. Przez chwilę widziała chudą twarz z długimi ostrymi zębami, wielkie okrągłe oczy i strąki zielonych włosów przypominających wodorosty, po czym stworzenie zapadło się w głębinę.

Zanim jeszcze woda się nad nim zamknęła, Akwila już biegła brzegiem w stronę małej plaży, gdzie Bywart robił zabie babki. Złapała dzieciaka, w chwili gdy strumień baniek pojawił się na zakręcie. Woda jeszcze raz się spieniła, zielonowłosy potwór wyskoczył w górę, długie ramiona zarył w muł. Potem wrzasnął i znowu zapadł się pod wodę.

– Siusiu! – krzyczał chłopiec.

Akwila nie zwracała na niego najmniejszej uwagi. Zadumana przyglądała się rzece.

Wcale się nie boję, pomyślała. Jakie to dziwne. Powinnam być przerażona, a jestem tylko rozniewana. Mogłabym czuć lęk jak czerwoną z gorąca kulę, ale gniew jej nie przepuszcza.

– Siusiu, siusiu! – skrzeczał Bywart.

– No to idź – bezmyślnie odpowiedziała Akwila.

Na wodzie wciąż widać było zmarszczki.

Mówienie o tym komukolwiek nie miało sensu. Usłyszałyby tylko: „Ależ to dziecko ma wyobraźnię” – gdyby dorośli byli akurat w dobrym humorze, a w przeciwnym razie: „Nie zmyślaj”.

Wciąż wypełniał ją gniew. Jak w ogóle ten potwór śmiał pokazać się w rzece?

Szczególnie taki... taki... śmieszny! Myślał sobie, że niby kim ona jest!

Oto Akwila wraca do domu. Zaczniemy od butów. Są duże i ciężkie, wiele razy reperowane przez jej ojca, przechodziły z jednej siostry na kolejną, zanim wreszcie dostały się jej. Musi wkładać kilka par skarpet, żeby z niej nie spadły. Są naprawdę duże. Czasami Akwila czuje się tak, jakby była tylko czymś, co wypełnia jej buty.

Następnie sukienka. Także należała wcześniej do kolejnych sióstr, które tyle razy wkładały ją i zdejmowały, a potem matka tyle razy ją nicowała, że chyba najwyższy czas, by odeszła w nicość. Ale Akwila ją lubiła. Sięgała jej do kostek i niezależnie jaki miała pierwotnie kolor, teraz stała się mlecznoniebieska, co całkiem przypadkowo kolorystycznie pasowało do motyli fruwających nad ścieżką.

Następnie twarz Akwili. Bładoróżowa, oczy brązowe i brązowe włosy. Nic specjalnego. Jej głowa mogła zwracać uwagę patrzącego – na przykład w spodek wypełniony czarną wodą – jako nieco zbyt duża w stosunku do reszty ciała, ale z tego się zazwyczaj wyrasta.

A gdyby popatrzyło się dalej i dalej, tam gdzie dróżka zamieniała się w wąską wstążeczkę, a Akwila i jej brat stawali się kropeczkami, wtedy można było przyjrzeć się całej krainie...

Mówiono o niej Kreda. Zielone wzgórza wygrzewały się w słońku. Stada owiec przesuwały się po murawie jak obłoczki po zielonym niebie. Tu i ówdzie owca pogoniona przez pasterskiego psa przebiegała niczym kometa.

A potem, gdy już masz oderwać wzrok, dostrzegasz długi zielony garb spoczywający jak wielki zielony wieloryb na świecie otoczonym deszczówką w kolorze atramentu rozlanego na

spodeczku.

Panna Tyk podniosła wzrok.

– To stworzonko na łódce to Fik Mik Figiel – powiedziała. – Najbardziej przerażający z całej krasnoludkowej bandy. Nawet trolle uciekają przez Wolnymi Ciutludźmi! I jeden z nich ją ostrzegł!

– W takim razie to z pewnością wiedźma, prawda? – zapytał głosik.

– W tym wieku? Niemożliwe! – wykrzyknęła panna Tyk. – I nie miała nikogo, kto by ją uczył. Na Kredzie nie ma żadnej czarownicy. Tam jest zbyt miękko. Ale jednak... nie złąkła się...

Deszcz ustał. Panna Tyk uniosła głowę, by spojrzeć na wznoszącą się ponad niskimi, jakby wyżętymi chmurami Kredę. Była oddalona o pięć mil.

– To dziecko wymaga opieki – stwierdziła. – Ale kreda jest zbyt miękka, by na takim gruncie wyrosła czarownica...

Tylko góry były wyższe niż Kreda. Wznosiły ku niebu swe ostre purpurowoszare krawędzie, złagodzone nawet latem białymi narzutkami ze śniegu.

„Panny młode na nieboskłonie” nazwała je kiedyś babcia Dokuczliwa, a odzywała się rzadko, bo nic jej nie interesowało poza owcami, więc Akwila zapamiętała te słowa. Poza tym były niesłychanie trafne. Tak właśnie góry wyglądały zimą, całkiem białe, przystrojone w welony z zamieci śnieżnych.

Babcia używała staroświeckich słów i zdarzały jej się dziwaczne sformułowania, jak nie z tego świata. Nie nazywała krainy, w której żyli, Kredą, nazywała ją Wyżyną. Na wyżynie chłodem wieje, pomyślała Akwila i w ten sposób zapamiętała to słowo.

Doszła do gospodarstwa.

Ludzie na ogół pozostawiali Akwilę samą sobie. Nie było w tym nic szczególnie okrutnego czy nieprzyjemnego, po prostu w dużym gospodarstwie każdy miał sporo pracy, a że ona swe obowiązki wykonywała doskonale, więc stała się w pewien sposób niewidzialna.

Była dojarką, i to naprawdę znakomitą. Robiła lepsze masło od matki, a ludzie głośno komentowali jakość sera wychodzącego spod jej palców. Prawdziwy talent. Czasami, kiedy wędrowni nauczyciele zachodzili do wioski, biegła tam i zdobywała trochę wiedzy. Ale zazwyczaj spędzała czas w mleczarni, gdzie było ciemno i chłodno. To jej odpowiadało, bo

robiła coś dobrego dla gospodarstwa.

Tak naprawdę nazywało się ono Dom Farmerski. Ojciec Akwili dzierżawił je od barona, który był właścicielem całej okolicznej ziemi, ale ziemię tę Dokuczliwi uprawiali od setek lat. Jej ojcu wyrывało się niekiedy (bardzo cicho i tylko wtedy, gdy wypił wieczorem piwo), że ta ziemia należy do nich, ponieważ rodzina uprawiają tak dawno, jak ziemia w ogóle istnieje. Matka Akwili powtarzała wtedy, żeby nawet tak nie myślał, zresztą baron zawsze zwracał się do ojca z najwyższym szacunkiem, a od kiedy babcia dwa lata temu zmarła, powtarzał przy każdej okazji, że pan Dokuczliwy jest najlepszym pasterzem na okolicznych wzgórzach. W ogóle miejscowi powiadali, że teraz już nie jest najgorzej. Opłaca się okazywać szacunek, mówiła matka Akwili, a biedny człowiek ma swoje własne zmartwienia.

Ale czasami ojciec nie dawał się uciszyć i przypominał, że Dokuczliwi (lub Doruczliwi, lub Dokuczyńscy, lub Duczyńscy) byli wymieniani w miejscowych dokumentach sprzed setek czy nawet tysięcy lat. Mieli te wzgórza we krwi, powtarzał, i zawsze byli pasterzami.

Akwila w jakiś dziwny sposób czuła się z tego powodu dumna, chociaż przecież fakt, że twoi przodkowie troszkę podróżowali i próbowali nowych rzeczy, także mógłby być powodem do dumy. Ale trzeba mieć coś, z czego jest się dumnym. A ona od zawsze słyszała, jak jej ojciec, zazwyczaj spokojny człowiek, rzucał żarcik, który najprawdopodobniej powtarzano w ich rodzinie od pokoleń.

Mówił: „Minał kolejny dzień pracy, a ja wciąż jestem Dokuczliwy”. Albo: „Wstałem Dokuczliwy i Dokuczliwy kładę się spać”. Albo nawet: „Cały jestem Dokuczliwy”. Za trzecim razem powiedzonka te już wcale nie były zabawne, ale jeśli nie wypowiedział któregoś z nich przynajmniej raz na tydzień, czegoś jej brakowało. Wcale nie musiały być śmieszne, bo były tatusinymi żarcikami. I niezależnie od tego, jak się wymawiało ich nazwisko, wszyscy jej przodkowie byli Dokuczliwi w tym właśnie miejscu, a nie tacy, co się przenoszą z miejsca na miejsce.

W kuchni nie było nikogo. Matka z pewnością poszła na wzgórze zanieść drugie śniadanie mężczyznom, którzy strzygli owce. Hanna i Fastidia, siostry Akwili, prawdopodobnie były tam także, zaganiając owce i rzucając spojrzenia co młodszym mężczyznom. W czasie strzyżenia zawsze były chętne do pracy.

Koło wielkiej czarnej kuchni wisiała półka. Matka ją nazywała Babciną Biblioteką, bo najwyraźniej myślała, że posiada bibliotekę, sprawiała jej przyjemność. Wszyscy inni nazywali tę półkę Babciną Półką.

To była bardzo niewielka półka, książki zostały wetknięte między dzban z laseczkami cynamonu a porcelanową pasterkę, którą Akwila wygrała na jarmarku, kiedy miała sześć lat.

Znajdowało się tam zaledwie pięć tomików, jeśli nie liczyć wielkiego dziennika gospodarskiego, którego zdaniem Akwili nie można było uznać za prawdziwą książkę, ponieważ pisało się ją samemu. Był tam słownik. Był kalendarz, który trzeba było co roku wymienić. A obok stały „Choroby owiec”, z mnóstwem uwag dopisanych przez babcię.

Babcia Dokuczliwa była ekspertem od owiec, chociaż nazywała je „torbami na kości, oczy i zęby szukające coraz to nowego sposobu, żeby wyciągnąć kopyta”. Inni pasterze potrafili wędrować całe mile, aby namówić ją do przyjechania, obejrzenia i wyleczenia ich zwierzęcia. Powiadali, że miała Dotyk, chociaż ona zawsze powtarzała, że najlepszym lekarstwem dla owcy czy człowieka jest wystarczająca porcja terpentyny, dobre przekleństwo i kopniak. Z książki sterczały kawałki papieru z własnymi przepisami babci na rozmaite owcze dolegliwości. W przygotowaniu większości z nich zasadniczą rolę odgrywała terpentyna, ale przekleństwa też się zdarzały.

Obok książki o owcach stała cienka broszura zatytułowana „Kwiaty Kredy”. Murawa wzgórz pełna była małych misternych kwiatków, takich jak krowipoślizg czy dzwoneczki zająca, a nawet jeszcze mniejszych, które nie wiadomo jakim cudem umknęły owcom. Na Kredzie kwiaty musiały być twarde i chytne, jeśli chciały uniknąć zjedzenia i przeżyć zimowe burze.

Ktoś dawno temu pokolorował kwiaty w książce. Na skrzydełku starannym ręcznym pismem napisano „Sara Mazgaj”, bo tak nazywała się babcia, zanim wyszła za męża.

Prawdopodobnie uważała, że Dokuczliwa brzmi lepiej niż Mazgaj.

I wreszcie stała tam Księga Dziecięcych Baśni, bardzo stara, bo pochodziła z czasów, kiedy wszędzie stosowano zakrętasy.

Akwila stanęła na krześle i zdjęła ją z półki. Przerzuciła parę stron, aż znalazła tę, której szukała. Po chwili odłożyła książkę, odstawiła krzesło na miejsce i otworzyła kredens z naczyniami stołowymi.

Wyjęła głęboki talerz, następnie z szuflady wyciągnęła miarkę, której jej matka używała do szycia, i zmierzyła go.

– Hm – mruknęła – osiem cali. Dlaczego od razu nie mogą tak napisać?

Zdjęła z haka największą patelnię – taką, na której można przygotować śniadanie dla dwunastu osób. Ze słoika w komodzie wyciągnęła trochę słodczy i włożyła je do starej papierowej torby. Następnie ku zdziwieniu Bywarta wzięła go za lepką łapkę i poprowadziła z powrotem nad strumień.

Wszystko wyglądało najzupełniej normalnie, ale ona nie dała się zmylić. Zauważyła, że pstrągi odpłynęły i nie śpiewa żaden ptak.

Znalazła miejsce nad brzegiem, gdzie rosły krzaki akurat odpowiedniej wielkości.

Potem, używając wszystkich sił, wbiła drewniany kołek tuż przy wodzie i uwiązała do niego torbę ze słodyczami.

– Cukierki, Bywart! – krzyknęła.

Złapała patelnię i cofnęła się przezornie w krzaki. Chłopiec przytruchtał do słodyczy i spróbował wyciągnąć torbę. Ani drgnęła.

– Siusiu! – krzyknął, bo zazwyczaj to działało. Tłustymi paluszkami zabrał się do rozwiązywania supelków.

Akwila uważnie przyglądała się wodzie. Czy stawała się ciemna? A może bardziej zielona? Co to za wodorost pojawił się pod powierzchnią? Czy te bąbelki oznaczają po prostu śmiejącego się pstrąga?

– Nie!

Wypadła z krzaków, wznosząc patelnię do uderzenia. Wrzeszczący potwór, który w tym właśnie momencie wyskoczył z wody, spotkał się z opadającą patelnią, co spowodowało solidne brzdęknięcie, któremu towarzyszyło głośne „ojojojjoj!”. Najwyraźniej trafienie było trafne.

Stworzenie przez chwilę wisiało przyczepione do patelni, podczas gdy kilka zębów i kawałki zielonych wodorostów wleciało do wody, a następnie opadło i zanurzyło się, wypuszczając mnóstwo bąbelków. Woda się oczyściła i znowu stała się tą samą starą rzeką, płytką, lodowato zimną, o kamienistym dnie.

– Ja chcę, ja chcę cukierki! – wrzeszczał Bywart, który, gdy tylko w zasięgu wzroku pojawiały się słodycze, nie widział już nic innego.

Akwila odwiązała sznurek i podała torbę bratu. Zjadł łakocie, tak jak zawsze, o wiele za szybko. Poczekala chwilę, by równie szybko je zwrócił, a następnie pogrążona w myślach ruszyła z nim z powrotem do domu.

Miedzy trzcinaami, najgłębiej jak to możliwe, coś cichutko wyszeptalo:

– Na litość, widziałeś to?

– Tak. Lepiej idźmy powiedzieć, że znaleźliśmy wiedźmę.

Panna Tyk biegła drogą, aż się kurzyło. Czarownice nie lubią, gdy ktoś je przyłapie na bieganiu. To wygląda nieprofesjonalnie. Uważają też, że nie powinno się ich widzieć, kiedy coś niosą, a ona targała na plecach swój namiot. Wydzielała też kłęby pary. Czarownice schną od środka.

- To miało zęby! – odezwał się tajemniczy głosik, tym razem z jej kapelusza.
- Wiem! – syknęła panna Tyk.
- A ona tylko zamachnęła się i walnęła!
- Tak. Wiem.
- Ot tak po prostu!

– Owszem, niezwykle – odparła panna Tyk nieco zdyszana.

Zaczynali się już wspinać na wzgórze, a jej wyżyny nie służyły. Podróżująca czarownica lubi czuć pod nogami stały grunt, a nie skałę tak miękką, że możesz ciąć ją nożem.

– Niezwykle? – powtórzył głos. – Użyła brata jako przynęty!

– Zadziwiające, prawda? Co za refleks... o nie! – Przystanęła w biegu, opierając się o mur okalający pole, bo zakręciło jej się w głowie.

– Co się dzieje? Co się dzieje? – dopytywał się głos z kapelusza. – O mało nie wypadłem.

– To ta wstrętna kreda! Już ją czuję. Mogę zajmować się magią na uczciwej ziemi, dobra skała też mi nie przeszkadza, dam sobie radę nawet na glinie... ale kreda to ni to, ni sio, ni owo! Wiesz przecież, że jestem bardzo wrażliwa na geologię.

– Co chcesz mi powiedzieć?

– Kreda... to bardzo głodna ziemia. Na kredzie tracę siły.

– Czy masz zamiar upaść? – zapytał właściciel głosu, wciąż schowany.

– Nie, nie! Tyle że magia, która nie działa...

Panna Tyk nie wyglądała na wiedźmę. Większość czarownic nie wygląda, przynajmniej nie te, które wędrują z miejsca na miejsce. Kiedy się człowiek szwenda między niewykształconym ludem, wiedźmi wygląd może przysporzyć kłopotów. Z tego powodu nie nosiła żadnej biżuterii kojarzonej z czarami ani noża lśniącego magiczną mocą, ani srebrnego wisiora z wizerunkiem trupich czaszek wyrzeźbionych wkoło, nie nosiła też miotły ciskającej iskry, wszystkiego tego, co byłoby delikatną wskazówką, że ma się do czynienia z wiedźmą.

W jej kieszeniach nie znalazłoby się nic bardziej magicznego od kilku patyczków, może kawałek sznurka, monety czy dwóch i oczywiście czaru na szczęście.

Czar na szczęście nosili wszyscy i panna Tyk doszła do wniosku, że gdyby ona jedna nie miała go przy sobie, ludzie natychmiast zaczęliby podejrzewać, że jest wiedźmą. Jeśli uprawia się taki zawód, trzeba wykazać się odrobiną sprytu.

Natomiast miała spiczasty kapelusz, ale po pierwsze, był niewidoczny, a po drugie, stawał się spiczasty tylko wtedy, gdy tego chciała.

Jedyną rzeczą w jej torbie, która mogła wzbudzać podejrzenie, była mała poplamiona książeczka zatytułowana „Wstęp do sztuki wyswobadzania się z więzów” autorstwa

Wielkiego Williamsona. Jeśli jednym z zagrożeń uprawiania twojej profesji jest wrzucenie do stawu ze związanymi rękami, to umiejętność przepłynięcia trzydziestu jardów pod wodą w pełnym ubraniu plus umiejętność zanurkowania między wodorosty, by oddychać przez kawałek trzciny, w ogóle się nie liczy, jeśli nie dajesz sobie znakomicie rady z węzłami.

– Nie potrafisz tu uprawiać magii? – zapytał głosik z kapelusza.

– Nie, nie potrafię – odparła panna Tyk.

Podniosła wzrok na dźwięk dzwoneczków. Białą drogą zbliżała się dziwaczna procesja. Składała się głównie z osłów ciągnących małe, jaskrawo pomalowane wózki.

Ludzie, którzy szli obok nich, zakurzeni byli po pas. Głównie mężczyźni, w kolorowych sukniach – no, może raczej suknie te były kolorowe, zanim pokryła je wieloletnia patyna brudu i kurzu – a każdy z nich miał na głowie dziwaczny czarny czworokątny kapelusz.

Panna Tyk się uśmiechnęła.

Wyglądali na druciarzy, ale ona wiedziała dobrze, że żaden nie potrafiłby nareperować nawet czajnika. Ich zajęcie polegało na sprzedawaniu tego, co niewidzialne. A to, co sprzedali, nadal mieli. Sprzedawali coś, czego każdy potrzebuje, ale niewielu chce.

Sprzedawali klucz do wszechświata ludziom nie mającym pojęcia, że trzeba go otwierać.

– Nie potrafię. – Panna Tyk wyprostowała się. – Ale mogę na uczyć.

Akwila pracowała w mleczarni. Trzeba było zrobić ser. Na drugie śniadanie był chleb z dżemem. Matka, podając jej kromkę, powiedziała:

– Do miasta przybyli dziś nauczyciele. Jeśli zrobiłaś, co do ciebie należy, możesz pójść.

Akwila przyznała, że chętnie by się dowiedziała tego czy owego.

– W takim razie weź pół tuzina marchewek i jajek. Jestem pewna, że biedakom się przydadzą – dodała matka.

Tak więc Akwila wybrała się, by otrzymać wykształcenie warte pół tuzina jaj.

Większość miejscowych chłopców, dorastając, miała się tych samych zajęć, które wykonywali ich ojcowie, albo prac, których jakiś inny ojciec z wioski mógł ich nauczyć, jeśli do niego wystarczająco często zachodzili. Po dziewczętach spodziewano się, że dorosną, by zostać czyjąś żoną. Oczekiwano również, że będą umiały czytać i pisać, co uznawano za zbyt delikatne zajęcia dla chłopców.

Choć trzeba przyznać, że wszyscy zdawali sobie jakoś sprawę, iż jest kilka rzeczy, jakie nawet chłopcy powinni wiedzieć, chociażby po to, by nie marnować potem czasu na zadawanie zbędnych pytań w rodzaju: „Co jest po drugiej stronie gór?” albo, „Jak to się

dzieje, że deszcz spada z nieba?”.

Każda rodzina w wiosce kupowała co roku kalendarz i część wiedzy pochodziła z jego kart. Kalendarz był duży, gruby i drukowano go gdzieś daleko. Można w nim było znaleźć mnóstwo szczegółów na temat faz księżyca i odpowiedniego czasu, by siać fasolę. Zawierał także kilka przepowiedni na dany rok, a ponadto wspominał o takich odległych miejscach jak Klatch czy Hersheba. Akwila widziała w kalendarzu obrazek pokazujący Klatch. Widniał na nim wielbłąd stojący na pustyni. Tylko dzięki temu, że matka wytłumaczyła jej, czym jest jedno, a czym drugie, Akwila zrozumiała ilustrację. Tak więc Klatch to był wielbłąd na pustyni. Czasami zastanawiała się, czy jednak nie oznaczał czegoś więcej, ale wyraźnie równanie „Klatch = wielbłąd, pustynia” nie budziło u nikogo wątpliwości.

I o to właśnie chodziło. Trzeba było znaleźć jakiś sposób, by ludzie nie zadawali pytań.

I tutaj przydawali się nauczyciele. Stada ich włościły się po górach, razem z druciarzami, kowalami, znachorami specjalizującymi się w cudownych uzdrowieniach, handlarzami ubrań, przepowiadaczami przyszłości i innymi wędrowcami usiłującymi sprzedać ludziom to, czego ci na co dzień nie potrzebowali, ale co od czasu do czasu okazywało się pożyteczne.

Wędrowali od wioski do wioski i tam wygłaszali lekcje z różnych dziedzin. Trzymali się z dala od innych podróźnych i wyglądali całkiem tajemniczo w zszarganych sukniach i dziwnych prostokątnych kapeluszach. Uwielbiali długie wyrażenia, jak „skorodowane żelazo”. Wiedli trudne życie, żywiąc się tym, co zarobili od słuchaczy swych lekcji. Jeśli nikt nie słuchał, zadowalali się pieczonymi jeżami. Sypiali pod gwiazdami, które nauczyciele matematyki liczyli, nauczyciele astronomii mierzyli, a nauczyciele literatury nazywali.

Nauczyciele geografii zaś gubili się w lasach i wpadali w pułapki na niedźwiedzie.

Ludzie zazwyczaj cieszyli się na ich widok. Dzieci dowiadywały się od nich dość, by zamknąć buzie. Trzeba tylko było pamiętać, by wyprowadzić ich z wioski przed zapadnięciem zmroku, inaczej kradli kurczaki.

Tego dnia jaskrawe różnobarwne wózki i namioty rozłożyły się na polu tuż przy wiosce. Kawalek dalej niewielkie kwadratowe poletka zostały obstawione parawanami, za którymi krążyli praktykanci, pilnując, by ktoś nie podsłuchiwał nauk bez płacenia.

Na pierwszym namiocie Akwila ujrzała napis:

++++++

Akwila była na tyle biegła w czytaniu, by stwierdzić, że rzeczony nauczyciel mógł szczerzyć się znajomością głównych kontynentów, ale przydałoby mu się wziąć kilka lekcji u kolegi z następnego stanowiska, który reklamował się tak:

++++++

Kolejne stanowisko zostało udekorowane scenami historycznymi, głównie przedstawiającymi królów wzajemnie obcinających sobie głowy i równie interesujące ważne momenty w dziejach. Stojący przed nimi nauczyciel ubrany był w poszarpany czerwony strój obszyty lamówką z króliczego futra, głowę mu zdobił stary cylinder z pękiem wstążek. W dłoni dzierżył mały megafon, którym mierzył teraz w Akwilę.

– Śmierć królów przez wieki? – zapytał. – Bardzo pouczające, mnóstwo krwi!

– Niespecjalnie ciekawe – mruknęła.

– Ależ panienko, powinnaś przecież wiedzieć, skąd pochodzisz. W przeciwnym razie jak możesz wiedzieć, dokąd zmierzasz?

– Pochodzę z długiej linii Dokuczliwych – odpowiedziała Akwila. – I jak sądzę, zmierzam nią dalej.

To, czego szukała, znalazła w stanowisku obwieszonym wizerunkami zwierząt, wśród których ku swemu zadowoleniu zobaczyła wielbłąda.

Napis głosił:

Użyteczne stworzenia. Dzisiaj: Nasz przyjaciel jeź.

Przez chwilę zastanawiała się, jak bardzo użyteczne może okazać się stworzenie, które wyskoczyło z rzeki, ale najwyraźniej to było jedyne miejsce, gdzie mogłaby się tego dowiedzieć. Wewnątrz ogrodzenia na ławkach siedziało już kilkoro dzieci czekających na rozpoczęcie lekcji. Nauczyciel stał wciąż na zewnątrz w nadziei, że zapełni puste miejsca.

– Witaj, mała dziewczynko – odezwał się i był to dopiero pierwszy poważny błąd, jaki popełnił. – Z pewnością ty zechcesz dowiedzieć się wszystkiego na temat jeży.

– Zrobiłam to już w zeszłym roku – odpowiedziała Akwila.

Gdy nauczyciel się jej przyjrzał, uśmiech mu zbladł.

– No tak, rzeczywiście, pamiętam cię. To ty zadawałaś te wszystkie pytania.

– Dzisiaj też chciałabym zadać pytanie.

– Pod warunkiem że nie będzie dotyczyło robienia przez jeże małych języków.

– Nie – cierpliwie odrzekła Akwila. – Mam pytanie z zoologii.

– Zoologia, ach tak? Poważne słowo.

– Niezupełnie. Poważnym słowem jest „protekcjonalność”. Zoologia wydaje się dużo łatwiejsza.

Nauczyciel spojrzał na nią, zmrużywszy oczy. Dzieci takie jak Akwila stanowiły twardy orzech do zgryzienia.

– Widzę, że jesteś bystra – odezwał się. – I muszę przyznać, że nie znam żadnego nauczyciela zoologii. Weterynarza, i owszem, ale nie zoologa. O jakie szczególnie zwierzę ci

chodzi?

– Jenny o Zielonych Zębach. Wyskakujący z wody potwór z dużymi zębami, pazurami i oczami niczym talerze do zupy.

– Jakiej wielkości talerze? Czy masz na myśli głębokie talerze na pełną porcję, powiedzmy, z grzankami, a nawet z bułką, a może raczej chodzi ci o miseczkę, w której można podać niewielką porcyjkę zupki lub sałatę?

– Talerze o średnicy ośmiu cali – odparła Akwila, która w życiu nie zamawiała zupy ani sałaty. – Sprawdziłam.

– Hm, a to ci zagadka – stwierdził nauczyciel. – Nie wydaje mi się, bym znał takie stworzenie. Z pewnością nie jest użyteczne, bo o tym bym wiedział. Wygląda mi na wymyślone.

– Tak i ja sądziłam – zgodziła się z nim Akwila. – Ale chciałabym się dowiedzieć czegoś więcej.

– No cóż, możesz spróbować u niej. Jest nowa.

Nauczyciel wymierzył kciukiem w mały namiot na końcu rzędu, czarny i dość zakurzony. Nie wisały na nim żadne plakaty i z pewnością nikt by nie ujrzał żadnych wykrzykników.

– Czego ona uczy? – zapytała dziewczyna.

– Trudno mi powiedzieć – odparł nauczyciel. – Twierdzi, że myślenia, ale nie mam pojęcia, jak można tego nauczyć. Jesteś mi winna jedną marchewkę. Dziękuję.

Kiedy Akwila zbliżyła się do ostatniego namiotu, dostrzegła przypiętą do niego niewielką karteczkę, na której słowa raczej szeptały, niż krzyczały:

++++++

Rozdział drugi.

Panna Tyk

Akwila odczytała napis na kartce i uśmiechnęła się.

– Aha – stwierdziła, a ponieważ nigdzie nie dostrzegła niczego, w co można by zapukać, dodała nieco głośniejszym głosem: – Puk, puk.

– Kto tam? – odpowiedział jej ze środka kobiecego głosu.

– Akwila – odparła Akwila.

– Jaka Akwila? – zapytał głos.

– Akwila, która stara się nie robić głupich dowcipów.

– No, no. To brzmi zachęcająco. Wejdź, proszę.

Odsunęła zasłonkę. W namiocie było ciemno, duszno i gorąco. Przy małym stolczku siedziała koścista osoba. Miała bardzo drapieżny, cienki nos i nosiła duży czarny słomkowy kapelusz ozdobiony papierowymi kwiatami. Który kompletnie nie pasował do tego typu twarzy.

– Jesteś czarownicą? – zapytała Akwila. – Nie miałabym nic przeciwko temu.

– Co za dziwaczne pytanie! Nie powinno się mierzyć w ludzi takimi pytaniami. – Kobieta wyglądała na lekko zaszokowaną. – Miejscowy baron wygnał wszystkie czarownice z tej krainy, a ty z mety zadajesz mi pytanie, czy jestem czarownicą. Dlaczego miałabym być czarownicą?

– No cóż, jesteś ubrana na czarno – odparła Akwila.

– Każdy może się ubierać na czarno. To nic nie znaczy.

– I nosisz słomkowy kapelusz z kwiatami – ciągnęła Akwila.

– Aha! – wykrzyknęła kobieta. – Oto dowód. Czarownice noszą wysokie spiczaste kapelusze. Każdy o tym wie, głuptasko.

– Pewnie, ale są też bardzo sprytnie – spokojnie odparła Akwila. Błysk w oczach kobiety podpowiadał jej, że powinna nie ustępować. – Muszą się kryć. Myślę, że najczęściej wcale

nie wyglądają jak czarownice. A czarownica, która by zjawiała się tutaj, z całą pewnością wiedziałaby wszystko na temat barona i nosiłaby kapelusz, jakiego nie noszą czarownice.

Kobieta przyjrzała jej się uważnie.

– To niezwykle dzieło dedukcji – odezwała się wreszcie. – Była by z ciebie znakomita osoba do polowania na czarownice. Czy wiesz, że palili je na stosach? Więc jakkolwiek miałabym kapelusz, to i tak by dowodziło, że jestem czarownicą?

– No cóż, można powiedzieć, że żaba siedząca na kapeluszu stanowi pewną wskazówkę – przyznała Akwila.

– Tak naprawdę jestem ropuchem – odezwało się stworzenie spośród papierowych kwiatów.

– Jak na ropucha jesteś strasznie żółty.

– Ostatnio nie najlepiej się czuję – powiedział ropuch.

– I mówisz – dodała Akwila.

– Na to masz tylko moje słowo – oznajmił ropuch i zniknął w papierowym gąszczu. – Nic nie zdołasz mi udowodnić.

– Czy masz ze sobą zapalki? – zapytała kobieta.

– Nie.

– Tylko sprawdzam.

Znowu na dłuższą chwilę zamilkła, przyglądając się dziewczynce, wreszcie najwyraźniej coś postanowiła.

– Możesz do mnie mówić Miss Tyk – powiedziała. – I jestem czarownicą. Dla czarownicy to całkiem dobre imię.

– Dlaczego Tyk, a nie Tyka? – zapytała Akwila, marszcząc brwi.

– Słucham? – Głos panny Tyk brzmiał lodowato.

– Przecież jest pani kobietą. Tyka by lepiej pasowało.

– Chcę, by imię kojarzyło się ze słowem „mystyk”.

– Rozumiem! Chodzi o karambur, grę słówek! – wykrzyknęła Akwila. – Ale chyba lepiej by było, gdyby pani się nazywała Miss Tyczka. Bo jednak dla kobiety...

– Widzę, że pasujemy do siebie jak dom i ogień – oświadczyła panna Tyk. – Nie wiadomo, czy ktoś ocaleje.

– I naprawdę jest pani czarownicą?

– Och, dajmy już temu spokój – ustąpiła panna Tyk. – Jestem czarownicą. Mam gadające zwierzę, tendencję do poprawiania u innych wymowy – tak przy okazji, mówi się kalambur, nie karambur – uwielbiam wścibiać nos w nie swoje sprawy i, oczywiście, mam spiczasty

kapelusz.

– Czy mogę teraz pociągnąć za sznurek? – zapytał ropuch.

– Tak – odparła panna Tyk, nie spuszczać wzroku z Akwili. – Możesz pociągnąć za sznurek.

– Lubię pociągać za sznurek – oświadczył ropuch, przemieszczając się na tył kapelusza.

Usłyszały „klik!”, potem szuranie i środek kapelusza zaczął się unosić, a papierowe kwiaty odpadły.

– E... – wyrwało się Akwili.

– Masz jakieś pytanie? – domyśliła się panna Tyk.

Z ostatnim „szur!” ukazał się doskonale ostry czubek kapelusza.

– Skąd wiesz, że nie pobiegnę teraz do barona, by mu o tym powiedzieć? – spytała dziewczynka.

– Bo nie masz na to najmniejszej ochoty. Jesteś zafascynowana. Sama chcesz być czarownicą, chyba się nie mylę? Zapewne nawet marzysz o lataniu na miotle, prawda?

– O tak – często jej się śniło, że lata.

Ale sprowadziło ją na ziemię to, co teraz powiedziała panna Tyk:

– Naprawdę byś chciała? I lubiłabyś nosić grube, ale to naprawdę grube gacie? Możesz mi wierzyć, gdybym musiała się przelecieć, włożyłabym dwie pary wełnianych majtek i na to jeszcze dodatkową parę z brezentu, a zaręczam ci, że nie wygląda się w tym kobieco, choćbyś nie wiem jak przystroiła je koronkami. Tam w górze bywa naprawdę zimno. Ludzie o tym zapominają. A wełna gryzie. O to mnie w ogóle nie pytaj. Nie mam najmniejszej ochoty o tym rozmawiać.

– Ale przecież możesz użyć czaru utrzymującego ciepło? – zapytała Akwila.

– Mogę. Tylko że czarownica nie robi takich rzeczy. Kiedy zaczniesz używać magii, gdy chcesz się po prostu ogrzać, sięgniesz po nią w innych sytuacjach również.

– Czy czarownica nie powinna właśnie tego robić...? – zaczęła Akwila.

– Kiedy już nauczysz się magii, a mam na myśli prawdziwą wiedzę na temat magii, kiedy dowiesz się naprawdę wszystkiego, czego można się dowiedzieć na temat magii, pozostanie ci jeszcze najważniejsza lekcja – mówiła panna Tyk.

– Jaka?

– Jak jej nie używać. Czarownice nie używają magii, chyba że już naprawdę muszą. To ciężka praca, bo nad magią trudno zapanować. Zwykle zajmujemy się innymi sprawami. Czarownica ma baczenie na wszystko, co się dzieje wokół. Czarownica używa głowy. Czarownica wie, na czym stoi. Czarownica zawsze ma kawałek sznurka...

– Ja zawsze mam kawałek sznurka! – wykrzyknęła Akwila. – Nigdy nie wiadomo, kiedy się przyda.

– Dobrze. Chociaż czarowanie wymaga czegoś więcej niż kawałka sznurka. Czarownica potrafi zachwycać się tym, co niewielkie. Czarownica umie widzieć poprzez przedmioty i wokół przedmiotów. Czarownica wie, gdzie jest i kiedy jest. Czarownica potrafi zobaczyć Jenny o Zielonych Zębach – dodała. – Co się stało?

– Skąd wiesz, że widziałam Jenny o Zielonych Zębach?

– Przecież jestem czarownicą. Odgadłam – powiedziała panna Tyk.

Akwila rozejrzała się wokół. Nie było tam wiele do oglądania nawet teraz, gdy jej wzrok przywykł do półmroku panującego w namiocie. Odgłosy zewnętrznego świata docierały stłumione przez gruby materiał.

– Ja myślę...

– Tak? – zapytała czarownica.

– Myślę, że słyszałaś, jak mówiłam o tym nauczycielowi.

– Zgadza się. Po prostu użyłam moich uszu – oświadczyła panna Tyk, nie wspominając ani słowem o spodku pełnym atramentu. – Opowiedz mi o potworze z oczami wielkości głębokich talerzy o średnicy ośmiu cali. Skąd się tu wzięły talerze?

– Potwora widziałam w książce z opowieściami – wyjaśniła Akwila. – Tam jest napisane, że Jenny o Zielonych Zębach ma oczy wielkości talerzy do zupy. Więc żeby wiedzieć precyzyjnie, zmierzyłam średnice talerzy.

Panna Tyk oparła brodę na dłoni i uśmiechnęła się dziwnie.

– Czy dobrze zrobiłam? – zapytała dziewczynka.

– Co? O tak. Owszem. No... tak. Bardzo... precyzyjnie. Mów dalej.

Akwila opowiedziała jej o walce z Jenny, chociaż nie wspomniała nic na temat Bywarta, nieco obawiając się, że panna Tyk może mieć obiekcje do wystawiania dziecka jako przynęty. Panna Tyk słuchała uważnie.

– Dlaczego użyłaś patelni? – zapytała. – Przecież mogłaś wziąć jakiś kij.

– Patelnia wydawała mi się odpowiedniejsza – odparła Akwila.

– I była. Gdybyś użyła kija, Jenny by cię zjadła. Patelnia jest zrobiona z żelaza. Takie stworzenia bez wątpliwości... chodzi mi, że ich wątroby nie trawią żelaza.

– Ale to potwór z bajki! – wykrzyknęła Akwila. – W jaki sposób mógł pojawić się w mojej rzece?

Panna Tyk przez chwilę jej się przyglądała, a wreszcie spytała:

– Dlaczego chcesz zostać czarownicą?

– Wszystko zaczęło się od „Księgi dziecięcych baśni”. Choć tak naprawdę źródłek było kilka, ale bajki stanowiły prawie rzeczulkę.

Kiedy Akwila była mała, mama czytała jej bajki. Potem już potrafiła przeczytać je sobie sama. A we wszystkich bajkach pojawiała się czarownica. Stara zła wiedźma.

Akwila myślała sobie: Gdzie jest dowód?

Bo opowieści nigdy nie mówiły, dlaczego czarownica jest tak niegodziwa.

Wystarczyło być starą kobietą, wystarczyło żyć samotnie, wystarczyło wyglądać dziwnie, na przykład nie mieć zębów. To wystarczyło, by stać się wiedźmą.

Jeśli się nad tym lepiej zastanowić, baśnie nigdy na nic nie przedstawiały dowodów.

Występował w nich przystojny książę... czy naprawdę był taki? A może po prostu ludzie nazywali go przystojnym, bo był księciem? Dziewczyna była piękna jak poranek... no dobrze, ale który poranek? Kiedy leje deszcz, trudno nawet wyrzeć przez okno, by się o tym przekonać! Opowieści nie chciały, byś myślała – chciały, byś wierzyła w to, co ci opowiadają...

A opowiadają, że stara czarownica mieszka samotnie w chatce z piernika, choć czasem bywa to chatka na kurzej nóżce, że potrafi rozmawiać ze zwierzętami i potrafi czarować.

Akwila знаła tylko jedną starą kobietę, która mieszkała samotnie w dziwnej chatce...

No nie, to nie była do końca prawda. Lecz Akwila znała tylko jedną starą kobietę żyjącą w dziwnym domku, który się poruszał, i była to babcia Dokuczliwa. Na dodatek babcia potrafiła czarować, jeśli dotyczyło to owiec, rozmawiała ze zwierzętami i nie było w niej nic niegodziwego. To dowód, że nie należy wierzyć w bajki.

Ale była też inna stara kobieta, o której wszyscy mówili, że jest czarownicą. I to, co się jej przytrafiło... dawało Akwili wiele do myślenia.

W każdym razie czarownice podobały jej się bardziej niż dumni przystojni książęta, a na pewno dużo bardziej niż te głupie uśmiechające się z wyższością księżniczki, które najbardziej przypominały jej żółwie. W dodatku miały cudowne złote loki, jakich Akwila nie miała. Jej włosy były brązowe. Brązowe i tyle. Mama mówiła na nie kasztanowe, a czasami, że mienią się barwami jesieni, lecz Akwila wiedziała, że są brązowe, brązowe, tak samo jak jej oczy. Brązowe jak ziemia. A czy w jej książce można było znaleźć przygody, w których biorą udział ludzie o brązowych oczach i brązowych włosach? Nie, nie, nie... tylko ci o blond włosach i niebieskich oczach lub o rudych włosach i zielonych oczach trafiali do książek.

Ktoś o brązowych włosach mógł być co najwyżej służącym lub drwalem czy kimś w tym rodzaju. Albo dojarką. Ale ona nie zamierzała na to pozwolić, choć rzeczywiście robienie sera wychodziło jej znakomicie. Nie mogła zostać księciem, w życiu nie chciałaby być

księżniczką, nie planowała zdobyć zawodu drwała, jedyne, co jej pozostawało, to rola czarownicy, więc zostanie wiedźmą i będzie wiedziała różne rzeczy, właśnie tak jak babcia Dokuczliwa.

– Kim była babcia Dokuczliwa? – zapytała panna Tyk.

Kim była babcia Dokuczliwa? Ludzie zaczęli teraz o to pytać. A odpowiedź brzmiała: babcia Dokuczliwa była tu od zawsze. Wydawało się, że życie wszystkich Dokuczliwych kręciło się wokół babci. Gdzieś tam w wiosce podejmowano decyzje, robiono coś, toczyło się życie, ale zawsze wiadano, że na wzgórzach w starym wozie na kółkach pomiędzy stadami owiec mieszka babcia Dokuczliwa.

Była jak milczenie wzgórz. Może dlatego tak lubiła Akwilę, jej nieśmiałość. Starszym siostróm Akwili buzie ani na chwilę się nie zamykały, a babcia nie lubiła hałasu. Kiedy Akwila przychodziła do jej domku, po prostu siedziała cicho. Uwielbiała tam siedzieć.

Przeglądała się myszolowom i przysłuchiwała ciszy.

Bo na wzgórzach ciszy dawało się słuchać. Dźwięki, głosy ludzi i zwierząt wpływały między wzgórza i w jakiś sposób powodowały, że cisza stawała się głębsza. Babcia Dokuczliwa owijała tę ciszę wokół siebie i robiła wewnątrz miejsce dla Akwili. Na farmie zawsze zbyt wiele się działo. Nie było czasu na milczenie. Ale babcia, w której domu panowała cisza, cały czas słuchała.

– Co? – zapytała Akwila, która poczuła się jak wyrwana ze snu.

– Mówiłaś właśnie „Babcia Dokuczliwa cały czas mnie słuchała” – powiedziała panna Tyk.

Dziewczynka przeknęła ślinę.

– Wydaje mi się, że babcia była po trosze wiedźmą. – W jej głosie brzmiała duma.

– Naprawdę? Dlaczego ci to przyszło do głowy?

– Wiedźmy potrafią zaklinać ludzi, prawda?

– Tak się mówi – odparła dyplomatycznie panna Tyk.

– Mój ojciec twierdzi, że babcia Dokuczliwa przeklinała jak nikt inny – oświadczyła z dumą Akwila.

Panna Tyk się roześmiała.

– Zaklinanie różni się nieco od przeklinania. Przeklinanie to coś takiego jak „a niech to

lichy”, „cholera by to wzięła”, „o kurka wodna” lub „kurczę blade”. Zaklinanie brzmi raczej w ten sposób: „Niech twój nos rozpadnie się na kawałki, a twoje uszy odlecą”.

– Babcia przeklinała właśnie w ten drugi sposób – stwierdziła Akwila bardzo pewna siebie. – Ponadto rozmawiała ze swoimi psami.

– A co takiego do nich mówiła?

– Och, na przykład „chodź tu”, „idź sobie” lub „wystarczy”. Zawsze robiły, co im kazała.

– To są zwykłe komendy, które rozumie każdy pies pasterski. Czarowanie to coś zupełnie innego.

– Ale jeśli zwierzęta ją rozumiały, to przecież oznacza, że były osobami, które przybrały postać zwierzęcia – odparowała Akwila, nie ukrywając niezadowolenia. – Czarownice mają zwierzęta, z którymi rozmawiają, które rozumieją, co się do nich mówi, bo tak naprawdę wcale nie są zwierzętami. Jak twój ropuch.

– Nie jestem pewien, czy ktoś mnie rozumie – odparł głos spomiędzy papierowych kwiatów. – Jestem na to zbyt zarozumiały.

– I znała się doskonale na ziołach – upierała się Akwila. Babcia Dokuczliwa musiała zyskać status czarownicy, choćby dziewczynka miała się klócić cały dzień. – Potrafiła każdego wyleczyć. Mój tata powtarzał, że postawiłaby na nogi nie tylko Napoleona, ale nawet napoleonkę. – Ściszyła głos. – Potrafiła przywrócić do życia jagnię...

Wiosną czy latem trudno było zastać babcię w domu. Przez większą część roku sypiała w starym wozie na kółkach, który dało się wciągnąć na wzgórze, gdy tylko puściły lody. Pierwsze wspomnienie Akwili ukazywało babcię klęczącą przed paleniskiem w ich domu i wkładającą martwe jagnię do wielkiego kotła.

Akwila płakała i płakała. Babcia delikatnie podniosła ją, jakby trochę niepewnie, posadziła sobie na kolanach i kołysała, nazywając „swoim małym mendelkiem”, czemu leżące u jej stóp dwa psy pasterskie Grznot i Błyskawica przyglądały się w niemym zdziwieniu. Babcia zazwyczaj nie zajmowała się dziećmi, ale może dlatego że nie beczały.

Gdy Akwila przestała płakać, bo zabrakło jej już sił, babcia położyła ją na dywaniku i otworzyła piec, a wtedy dziewczynka zobaczyła, jak jagnię ożywa.

Kiedy trochę dorosła, dowiedziała się, że „mendel” oznaczał piętnaście, ale już dawno słowo to wyszło z użycia. Starsi ludzie posługiwali się takimi wyrażeniami, gdy liczyli coś, co uznawali za ważne. Ona była piętnastą wnuczką babci Dokuczliwej.

A kiedy była jeszcze większa, zrozumiała, czym jest piec, który dawał im ciepło. Jej

matka kładła w nim ciasto, żeby urosło, a kot Szczurołów często układał się w środku do snu, zdarzało się, że na cieście. Było to odpowiednie miejsce, by ożywić słabą owcę, która urodziła się w śnieżną noc i prawie zamarzła na śmierć. Tak to działało. Nie było w tym żadnej magii. Ale wtedy wydawało się magią. A to, że Akwila zrozumiała, czemu coś się dzieje, nie odebrało tamtej chwili jej znaczenia.

– To wspaniałe, ale nadal nie jest to prawdziwe czarowanie – odezwała się panna Tyk, kolejny raz niszcząc nastrój. – Poza tym nie musisz mieć wśród przodków czarownicy, by zostać czarownicą. Choć oczywiście dziedziczenie pomaga.

– Chodzi ci o dziedziczenie talentu? – zapytała Akwila, marszcząc brwi.

– Też, choć raczej myślałam o kapeluszu. Jeśli miałaś babkę, która może zapisać ci w spadku spiczasty kapelusz, oszczędzi ci to mnóstwa pieniędzy. Takie kapelusze strasznie trudno dostać, szczególnie na tyle mocne, by wytrzymały rozwalanie się domu. Czy pani Dokuczliwa miała coś w tym rodzaju?

– Nie sędzę – odparła Akwila. – Rzadko nosiła coś na głowie, chyba że była strasznie mroźna zima. Wtedy robiła ze starego worka na zboże rodzaj kaptura. Hm... czy to się liczy?

– Może, może. – Po raz pierwszy panna Tyk troszeczkę zmiękła. – Czy masz jakieś rodzeństwo?

– Mam sześć siostr – odparła dziewczynka. – Ja jestem najmłodsza. Większość już z nami nie mieszka.

– Ale nie jesteś rozpieszczonym najmłodszym dzieckiem, ponieważ masz małego braciszka – powiedziała panna Tyk. – Jedyne dziecko w rodzinie. To musiała być radosna niespodzianka.

W tym momencie Akwila uznała, że irytuje ją lekki uśmieszek czający się na twarzy panny Tyk.

– Skąd wiesz, że mam brata? – zapytała.

Uśmieszek zniknął. Panna Tyk pomyślała: To dziecko jest zbyt bystre.

– Po prostu zgadłam. – Nikt nie lubi się przyznać do szpiegowania.

– Używasz persykologii, by mnie rozpracować?

– Chyba masz na myśli psychologię – poprawiła ją panna Tyk.

– Wszystko jedno. I pewnie myślisz sobie, że go nie lubię, bo rodzice bez przerwy nad nim jojczą i rozpuszczają go jak dziadowski bicz, co?

– Coś takiego przemknęło mi przez myśl. – Panna Tyk uznała, że nie musi się martwić

sprawą szpiegowania. Była czarownicą i tym dało się wyjaśnić wszystko. – Przyznaję, fakt, że użyłaś go jako przynęty dla potwora, dał mi co nieco do myślenia – dodała.

– Sprawia mnóstwo kłopotów! – wykrzyknęła Akwila. – Ciągłe każą mi się nim opiekować, a on bez przerwy chce słodczy. Ponadto musiałam myśleć szybko.

– Zgadza się – przyznała panna Tyk.

– Babcia zrobiłaby coś z tym rzeczonym potworem – mówiła Akwila, ignorując jej słowa. – Nawet jeśli jest rodem z książki. – I na pewno zrobiłaby coś z tym, co się przydarzyło starej Lucjanowej, dodała już do siebie. Powiedziałyby coś i ludzie by jej posłuchali...

Zawsze słuchali, gdy babcia mówiła. Mów za tych, którzy nie mają głosu, powtarzała zawsze.

– Zgadzam się z tobą – powiedziała panna Tyk. – Zrobiłaby. Czarownice załatwiają różne sprawy. Mówiłaś, że rzeka w miejscu, gdzie wyskoczyła Jenny, jest bardzo płytka? I że świat wyglądał na zamazany i niepewny? I że coś szeleściło?

– Tak właśnie było! – Akwila rozpromieniła się.

– Aha. Dzieje się coś złego.

Dziewczynka się zmartwiła.

– Czy mogę to powstrzymać?

– Teraz zrobiłaś na mnie wrażenie – powiedziała panna Tyk. – Nie zapytałaś: „Czy ktoś może to powstrzymać?” ani „Czy możemy to powstrzymać?”. Zapytałaś: „Czy mogę to powstrzymać?”. Znakomicie. Potrafisz wziąć na siebie odpowiedzialność. To bardzo dobry początek. I nie tracisz głowy. Ale nie, nie możesz tego powstrzymać.

– Przywaliałam w głowę Jenny o Zielonych Zębach.

– Szczęśliwy traf – orzekła panna Tyk. – Możesz mi wierzyć, że spotkasz na swej drodze gorsze od niej. Jestem przekonana, że czeka nas wielki najazd i chociaż jak na dziewczynkę jesteś dość sprytna, masz tyle szans co twoje owce w śnieżną noc. Trzymaj się od tego z daleka. A ja postaram się sprowadzić pomoc.

– Od barona?

– Na litość boską, nie! On na nic się nie nada.

– Ale przecież chroni nas – powiedziała Akwila. – Tak zawsze powtarza moja mama.

– Naprawdę? Przed czym?

– Chyba... przed... atakiem, tak mi się wydaje. Mój ojciec mówi, że przed innymi baronami.

– Ma wielką armię?

– No, jest sierżant Roberts i Kevin, i Neville, i Trevor – wyliczała Akwila. – Dobrze ich

znamy. Głównie pilnują zamku.

– Czy któryś z nich dysponuje magiczną mocą?

– Widziałam kiedyś, jak Neville robił sztuczki karciane.

– Zabawa w czary do niczego się nie nada, gdy masz do czynienia z kimś takim jak Jenny – stwierdziła panna Tyk. – Nie ma tu in... czy nie ma tu w ogóle żadnych czarownic?

Akwila zawahała się.

– Była stara pani Lucjanowa – powiedziała wreszcie.

No tak. Mieszkała całkiem sama w dziwnym domku...

– Dobrze imię – uznała panna Tyk. – Chociaż nie wydaje mi się, bym je kiedyś słyszała.

Gdzie ona jest?

– Umarła w śniegu zeszłej zimy.

– A teraz powiedz to, czego mi nie mówisz. – Głos panny Tyk ciął ostro jak brzytwa.

– No... ona zebrała, tak myśleli ludzie, ale nikt nie otworzył drzwi i... to była zimna noc... umarła.

– Była wiedźmą, tak?

– Wszyscy tak mówili. – Akwila nie miała najmniejszej ochoty o tym rozmawiać. Nikt z okolicy nie lubił wracać do tego tematu.

– I nikt nawet nie zbliżał się do zgliszczy jej domku.

– Ale ty tak nie uważasz?

– No... – Akwila wierciła się. – Bo wiesz... syn barona, Roland... mógł mieć jakieś dwanaście lat. Ostatniego lata pojechał sam do lasu, tylko z psami, i potem psy wróciły bez niego.

– A pani Lucjanowa mieszkała w tym lesie? – zapytała panna Tyk.

– Tak.

– I ludzie myśleli, że go zabiła? – dopytywała się dalej. Westchnęła. – Prawdopodobnie myśleli, że upiekła go w piecu czy coś w tym stylu.

– Nikt nigdy niczego nie powiedział. Ale coś takiego chodziło im po głowach.

– A czy wrócił jego koń?

– Nie. I to było bardzo dziwne, bo gdyby pojawił się na wzgórzach, ludzie by go zobaczyli i...

Panna Tyk założyła ręce na piersi, pociągnęła nosem i uśmiechnęła się uśmiechem, w którym nie było ani odrobiny wesołości.

– Łatwe wytłumaczenie – stwierdziła. – Pani Lucjanowa musiała mieć duży piec, co?

– Nie, tak naprawdę bardzo niewielki – odparła Akwila. – Głęboki jedynie na dziesięć

cali.

– Założę się, że Lucjanowa nie miała zębów i mówiła sama do siebie, prawda?

– Owszem. I miała kota. I zeza – dodała Akwila, a potem słowa wylały się z niej jak potok: – Więc kiedy ten chłopak zniknął, przy szli do niej i obejrżeli piec, przekopali ogród, ciskali kamieniami w starego kota, aż zdechł. Potem wyrzucili ją z domu, zwalili wszystkie książki na środek pokoju i podłożyli ogień. I bez przerwy powtarzali, że to stara wiedźma.

– Spalili książki – powtórzyła panna Tyk głucho.

– Ponieważ były w starych językach – wyjaśniła Akwila. – Ozdobione wizerunkami gwiazd.

– A kiedy ty tam poszłaś, zostało coś jeszcze? – zapytała panna Tyk.

Akwila poczuła zimny dreszcz.

– Skąd wiesz? – zapytała po chwili.

– Umieć słuchać. No i co zostało?

Westchnęła.

– Tak, poszłam do jej domku następnego dnia i znalazłam kilka kartek, które fala ciepła uniosła w górę i dzięki temu się uratowały. Znalazłam też część jednej z książek, napisanej w starym języku, z błękitnymi i złotymi krawędziami. I pochowałam kota.

– Pochowałaś kota?

– Tak! Ktoś przecież musiał! – odparła zapalczywie dziewczynka.

– I zmierzyłaś piec – zauważyła panna Tyk. – Wiem, że to zrobiłaś, bo przed chwilą podałaś mi precyzyjnie jego wielkość. – I zmierzyłaś wielkość talerzy, dodała już do siebie panna Tyk. To naprawdę dość niezwykle.

– No tak... zmierzyłam. Chodzi mi o to, że był taki malutki! Poza tym, jeśli pozbyła się za pomocą magii chłopca i całego konia, dlaczego nie użyła jej na atakujących ją ludzi? To przecież nie ma sensu!

Panna Tyk pomachała dłonią, by ją uciszyć.

– I co się wydarzyło potem?

– Potem baron nakazał, by nikt nie miał z nią nic wspólnego. I jeszcze dodał, że jeśli gdziekolwiek trafi się czarownica, zostanie związana i wrzucona do stawu. Co oznacza, że jesteś w niebezpieczeństwie. – Akwila popatrzyła niepewnie na pannę Tyk.

– Umieć rozwiązywać więzy zębami, a ponadto posiadam Złoty Certyfikat z Pływania przyznany przez Uniwersytet dla Młodych Dam w Quirmie – powiedziała panna Tyk. – Czas poświęcony na skakanie do wody w pełnym ubraniu został dobrze wykorzystany.

– Pochyliła się do przodu. – Pozwól, że zgadnę, co się przytrafiło pani Lucjanowej. Od

tego lata żyła w swej chacie do pierwszych śniegów, tak? Kradła pożywienie z zagród i pewnie też kobiety dawały jej jedzenie, gdy zjawiała się na podwórkach, ale tylko kiedy mężczyźni nie było w pobliżu. A duzi chłopcy ciskali w nią różnymi przedmiotami, jeśli nie zdążyła uciec.

– Skąd wiesz? – zapytała Akwila.

– Nie wymaga to wielkiego wysiłku wyobraźni, możesz mi wierzyć. A ona nie była żadną wiedźmą, prawda?

– Myślę, że była tylko schorowaną staruszką żyjącą na odludziu, trochę może niedomytą, więc nieładnie pachniała, no i wyglądała nieco dziwnie, bo nie miała zębów. Wyglądała jak czarownica z bajki. Nawet półgłówek to widział.

Panna Tyk westchnęła.

– Owszem. Ale często trudno znaleźć nawet półgłówek, gdy przydałaby się cała głowa.

– Czy możesz mnie nauczyć tego, co powinnam wiedzieć, by być czarownicą?

– Dlaczego nadal chcesz nią zostać, nawet po tym, jak przypomniałaś sobie, co przytrafiło się pani Lucjanowej?

– Żeby takie rzeczy nie mogły się zdarzać – powiedziała Akwila.

Więc nawet pochowała kota starej wiedźmy, pomyślała panna Tyk. Co to za dziecko?

– Dobra odpowiedź – uznała. – Może z ciebie być pewnego dnia przyzwoita czarownica. Ale ja nie uczę ludzi, jak być czarownicami. Uczę ludzi o czarownicach. Czarownice uczą się w specjalnej szkole. Jeśli mają talent, ja tylko pokazuję im drogę. Każda czarownica się w czymś specjalizuje, a ja lubię dzieci.

– Dlaczego?

– Bo dużo łatwiej mieszczą się do pieca – odparła panna Tyk.

Akwila nie przestraszyła się, była tylko rozczarowana.

– To było niemiłe – stwierdziła.

– No cóż, czarownice nie muszą być miłe. – Panna Tyk wyciągnęła spod stołu dużą czarną torbę. – Cieszę się, że uważnie słuchasz.

– Czy naprawdę jest szkoła dla czarownic?

– Można tak powiedzieć.

– Gdzie?

– Bardzo blisko.

– Czy to magiczne miejsce?

– Bardzo magiczne.

– Cudowne?

– Nie da się niczego z nim porównać.

– Czy mogę się tam przenieść za pomocą magii? Czy pojawi się jednorożec, by mnie tam zawieźć?

– Dlaczego miałby to robić? Jednorożec to nic innego jak wielki koński czubek. Nie ma się czym ekscytować – powiedziała panna Tyk. – I poproszę o jedno jajko.

– Gdzie konkretnie mogę znaleźć szkołę? – zapytała Akwila, wręczając jej jajko.

– Aha. Pytanie bezmyślne jak warzywko. Poproszę dwie marchewki.

Akwila wręczyła jej dwie dorodne marchwie.

– Dziękuję. Gotowa? Aby trafić do szkoły dla czarownic, musisz wdrapać się na najwyższe miejsce w okolicy, otworzyć oczy... – panna Tyk się zawahała.

– Tak?

... i jeszcze raz otworzyć oczy.

– Ale... – zaczęła Akwila.

– Masz więcej jajek?

– Nie, ale...

– W takim razie koniec lekcji. Ale ja mam pytanie do ciebie.

– Masz jaja? – zapytała natychmiast Akwila.

– Ha! Czy widziałas w rzece coś jeszcze?

Nagła cisza wypełniła namiot. Przez ściany dochodziły chaotyczne informacje na temat geografii. Panna Tyk i Akwila patrzyły sobie w oczy.

– Nie – skłamała Akwila.

– Jesteś tego pewna?

– Jestem pewna.

Kontynuowały pojedynek na spojrzenia. Ale Akwila potrafiła zmierzyć się nawet z kotem. I wygrać.

– Rozumiem – powiedziała panna Tyk, odwracając wzrok. – Bardzo dobrze. W takim razie powiedz mi, proszę, dlaczego kiedy zatrzymałaś się przed moim namiocikiem, powiedziałaś „aha”, jak mi się zdaje bardzo zadowolona z siebie. Czy pomyślałaś wtedy: To jest dziwny czarny namiot z tajemniczym znakiem nad drzwiami, więc wejdę do środka, bo czeka mnie tam przygoda? A może pomyślałaś raczej: To może być namiot jakiejś okropnej czarownicy, takiej, za jaką wszyscy mieli panią Lucjanową, która gdy tylko wejdę, rzuci na mnie jakieś straszliwe zaklęcie? No, już możesz przestać się we mnie tak wpatrywać. Oczy ci łzawią.

– Pomyślałam jedno i drugie – odparła Akwila, mrugając po wiekami.

– A mimo to weszłaś. Dlaczego?

– Żeby się tego dowiedzieć.

– Dobra odpowiedź. Czarownice są wścibskie z natury. – Panna Tyk wstała. – Muszę się zbierać. Ale na koniec dam ci darmową radę.

– Czy mam ci coś za nią zapłacić?

– Przecież właśnie powiedziałam, że będzie darmowa!

– Owszem, ale mój tata twierdzi, że darmowe rady często okazują się bardzo kosztowne.

Panna Tyk wciągnęła nosem powietrze.

– Można powiedzieć, że ta rada będzie wręcz bezcenna. Słuchasz?

– Tak.

– Dobrze. W takim razie... jeśli masz do siebie zaufanie...

– Tak?

... i wierzysz w swe marzenia...

– Tak?

... i podążasz za swoją gwiazdą...

– Tak?

... to i tak pobiją cię ludzie, którzy ciężko pracują, uczą się i nie leniuchują. Do widzenia.

W namiocie zrobiło się nagle ciemniej. Nadszedł czas rozstania. Akwila spostrzegła, że stoi na placyku, gdzie pozostali nauczyciele składali swe stragany.

Nie rozejrzała się. Na to była za mądra. Albo namiot tam wciąż stał, a to by oznaczało duże rozczarowanie, albo tajemniczo zniknął, co stanowiłoby powód do zmartwienia.

Ruszyła ku domowi, rozważając, czy postąpiła słusznie, nie wspominając nic o małych ludzikach z pomarańczowymi włosami. Kierowało ją wiele powodów. Teraz już nie była pewna, czy w ogóle je widziała. Czuła przy tym, że nie chciały, by o nich mówić, a ponadto cieszyło ją, że panna Tyk o czymś nie wie. O tak, to z pewnością było najważniejsze.

Zdaniem Akwili panna Tyk była odrobinę za sprytna.

Po drodze do domu wspięła się na szczyt wzgórza Arki, tuż za wioską. Nie było specjalnie wysokie, nawet nie tak wielkie jak wzgórza za ich farmą, a już na pewno nie takie jak góry.

To wzgórze było takie... miejscowe. Wierzchołek miało płaski i nic tam nie rośło.

Akwila знаła historię o bohaterze, który zabił tu smoka, a krew gada wypaliła ziemię w miejscu, gdzie padł. Słyszała też opowieść o skarbie zakopanym we wnętrzu wzgórza, którego to skarbu pilnował smok, i jeszcze jedną, o królu, który został tu kiedyś pochowany w złotej zbroi. O tym wzgórzu opowiadano mnóstwo historii, aż dziw, że nie zapadło się pod ich wagą.

Akwila stała na gołej ziemi i spoglądała na to, co ją otaczało.

Widziała wioskę i rzekę, i rodzinną farmę, i zamek barona, a dalej za znajomymi wzgórzami rozciągał się szary las i wrzosowiska.

Zamknęła oczy i otworzyła je. Zamrugła i znowu szeroko otworzyła.

Nie było żadnych magicznych drzwi, nie pojawił się żaden ukryty budynek, nie ukazał się żaden tajemniczy znak.

Tylko przez chwilę zakotłowało się powietrze i poczuła zapach śniegu.

Kiedy wróciła do domu, sprawdziła znaczenie słowa „najazd” w słowniku. Oznaczało napad.

– Czeka nas wielki najazd – powiedziała panna Tyk.

A małe niewidoczne oczy przyglądały się Akwili sponad półki...

Rozdział trzeci.

Polowanie na czarownice

Panna Tyk zdjęła kapelusz, sięgnęła dłonią do środka i pociągnęła za sznurek.

Wydając odgłosy szurania i wzdychania, jej nakrycie głowy przybrało kształt staroświeckiego słomkowego kapelusza. Podniosła z ziemi papierowe kwiaty i ostrożnie je przymocowała.

– Fiu! – gwizdnęła pod nosem.

– Nie możesz pozwolić temu dziecku odejść – odezwał się siedzący na stole ropuch.

– Czemu?

– Najwyraźniej dysponuje pierwszorzędnym patrzeniem i myśleniem w stopniu drugim. Silna kombinacja.

– To mała mądrałińska – odparła panna Tyk.

– Zgoda. Zupełnie jak ty. Zrobiła na tobie wrażenie, co? Wiem, że tak, bo byłeś dla niej dość paskudna, a zawsze tak się zachowujesz w stosunku do ludzi, którzy ci imponują.

– Czy mam cię zamienić w żabę?

– Chwileczkę, pozwól mi się zastanowić... – mruknął sarkastycznie ropuch. – Lepsza skóra, lepsze nogi, stuprocentowa pewność, że zostanę pocałowany przez księżniczkę... więc czemu nie. Kiedy tylko będzie pani gotowa, madame.

– Bywają gorsze rzeczy niż egzystencja ropucha – stwierdziła ponuro panna Tyk.

– Mogłabyś kiedyś spróbować. Tak czy siak, mnie się raczej podobała.

– Mnie też – szybko zgodziła się panna Tyk. – Ponieważ biedna starowina umarła tylko dlatego, że idioci wzięli ją za czarownicę, ta mała postanowiła zostać wiedźmą, by nie dopuścić więcej do podobnych czynów. Potwór wynurza się z rzeki przy brzegu, a ona da je mu patelnią po głowie. Słyszałeś kiedy powiedzenie: „Ziemia znalazła swoją wiedźmę”? To właśnie się zdarzyło tutaj, idę o zakład. Ale wiedźma na kredzie? Wiedźmy lubią bazalt i granit, twardą skałę daleko w głąb. Wiesz, co to jest kreda?

– Zamierzasz mi właśnie powiedzieć – rzekł ropuch.

– To skorupki miliardów i miliardów maleńkich bezbronnych morskich stworzonek, które umarły miliony lat temu. To są... bardzo maleńkie kości. Miękkie. Wilgotne. Nawet wapń jest lepszy. Ale... ona wyrosła na kredzie, a jest twarda i ostra. Urodzona czarownica. Na kredzie. Co jest niemożliwe samo w sobie.

– Przyłożyła Jenny! – odezwał się ropuch. – Ta dziewczyna ma talent.

– Może, ale potrzebuje czegoś więcej. Jenny nie jest zbyt sprytna. To tylko Potwór Straszący Pierwszego Stopnia. Prawdopodobnie też czuła się speszona upadkiem do strumienia, bo jej naturalnym środowiskiem jest woda stojąca. Znajdą się dużo, ale to dużo gorsze od niej.

– Co masz na myśli, mówiąc Potwór Straszący Pierwszego Stopnia? – zapytał ropuch. – Nigdy nie słyszałem, by ktoś ją tak nazywał.

– Jestem nie tylko czarownicą, ale także nauczycielką. – Panna Tyk poprawiła kapelusz. – Dlatego sporządziłam listę. Postawiłam oceny. Spisałam wszystko starannym, zdecydowanym pismem, używając ołówków w dwóch kolorach. Jenny to jedno ze stworzeń wymyślonych przez dorosłych, którzy chcą straszyć dzieci, by trzymały się z daleka od różnych niebezpieczeństw. – Westchnęła. – Gdyby tylko ludzie przez chwilę się zastanowili, nim zaczęli wymyślać potwory...

– Powinnaś zostać i jej pomóc – oświadczył ropuch.

– Praktycznie nie mam tu żadnej mocy – odparła panna Tyk. – Mówiłam ci. To kreda. I pamiętaj rudowłosego ludzika. Przemówił do niej Fik Mik Figiel. Ostrzegł ją! Ja w życiu go nie widziałam. Jeśli ma ich po swojej stronie, kto wie, co może osiągnąć?

Położyła sobie ropucha na dłoni.

– Czy wiesz, co się tu pokaże? – mówiła dalej. – Wszystko to, co zostało pozamykane w starych opowieściach. Wszystko to, dlaczego nie powinno się schodzić ze ścieżki czy otwierać zakazanych drzwi, czy wymawiać nieodpowiednich słów, czy rozsypywać soli. Wszystko to, od czego dzieciom się śnią koszmary. Wszystkie potwory z najgłębszych czeluści pod największym łóżkiem świata. W jakiejś krainie wszystkie te historie są prawdziwe i sprawdzają się wszystkie sny. I staną się rzeczywistością właśnie tutaj, jeśli nikt ich nie powstrzyma. Gdyby nie fakt, że pojawił się Fik Mik Figiel, byłabym naprawdę zmartwiona. Ale w takiej sytuacji spróbuję sprowadzić pomoc. Co bez miotły zajmie mi najmarniej dwa dni.

– To nie w porządku zostawiać ją z nimi samą – upierał się ropuch.

– Nie będzie sama. Zostawię jej ciebie.

– O! – wyrwało się ropuchowi.

Akwila dzieliła sypialnię z Fastidią i Hanną. Obudziła się, słysząc, jak kładą się do łóżek, i leżała w ciemnościach, do chwili gdy ich równe oddechy zaświadczyły, że dziewczęta zaczęły już śnić o młodych pasterzach zdejmujących do strzyżenia owiec koszule z grzbietów.

Na dworze letnia burza cięła wzgórza błyskawicami i strzelała grzmotami...

Grzmot i Błyskawica. Znała je jako psy, zanim dowiedziała się, że oznaczają dźwięk i światło burzy. Babcia zawsze miała swoje psy przy sobie, i na dworze, i w domu. W jednej chwili śmigały niczym biały i czarny znak przez murawę, i nagle były już z powrotem, zziębnięte, nie spuszczając wzroku z twarzy babci. Połowa psów na wzgórzach to były szczeniaki Błyskawicy, przyuczone przez babcię Dokuczliwą.

Akwila jeździła z całą rodziną na wielkie Zawody Psów Pasterskich. Zbierali się tam wszyscy pasterze z Kredy, a najlepsi wychodzili na arenę, by pokazać, jak wspaniale współpracują ze swymi psami. Psy zaganiały owce, rozdzielały stado na grupki, prowadziły do zagród – a czasami uciekały albo rzucały się na inne, bo nawet najlepszy pies może czasem mieć zły dzień. Ale babcia nigdy nie wystawiała Grzmotu ani Błyskawicy. Stała oparta o ogrodzenie z psami leżącymi przy nogach i przyglądała się z uwagą, ćmiąc swą śmierdzącą fajkę. A tata Akwili twierdził, że po każdym pokazie sędziowie spoglądali na nią nerwowo, żeby odgadnąć, co o tym myśli. Prawdę mówiąc, spoglądali też wszyscy pasterze. Babcia nigdy, przenigdy nie wychodziła na arenę, ponieważ to ona oceniała. Jeśli uważała, że jesteś dobrym pasterzem – skinęła ci głową; jeśli pociągnęła ze swej fajki, mruczac „nieźle, nieźle” – zostawałeś bohaterem dnia, królem na Kredzie...

Akwili zdarzało się spędzać całe dnie u babci, kiedy była całkiem malutka, wtedy Grzmot i Błyskawica się nią opiekowały. Leżały o kilka kroków od miejsca, gdzie się bawiła, i nie spuszczały z niej oka. A jaka była dumna, gdy babcia pozwoliła jej wydawać psom polecenia, by zaganiały owce. Biegała rozentuzjasmowana to w jedną, to w drugą stronę, wykrzykując: „Chodźcie!”, „Tutaj!”, „Naprzód!”, i napawała się chwałą, bo psy zaganiały stado doskonale.

Teraz już wiedziała, że robiły to, nie zważając na jej okrzyki. Babcia pykała z fajeczki, a psy po prostu czytały w jej myślach. Nigdy nie słuchały nikogo poza swoją panią.

Burza po chwili przycichła i słychać było tylko cichy szum deszczu.

W którymś momencie kot Szczurołów przepchnął się przez okno i wylądował na łóżku. Zacząć trzeba od tego, że był duży, choć uczciwiej będzie przyznać, że był po prostu strasznie gruby, tak gruby, że na jakiegokolwiek powierzchni, którą można uznać za płaską, stopniowo się rozprzestrzeniał, aż tworzył wielką plamę futra. Nienawidził Akwili, ale osobiste uprzedzenia nie mogły go pozbawić ciepłego miejsca do spania – byłoby to poniżej jego godności.

Musiała usnąć, bo obudziły ją głosy.

Wydawały się dochodzić gdzieś z bliska, a jednak były cichuteńkie.

– Na litość! Łatwo powiedzieć „znajdźcie czarownicę”, ale czego właściwie mamy szukać? Wszystkie te wielkie dzieła wyglądają dla mnie tak samo.

– Bard powiedział, że to duża, duża dziewczyna!

– Też mi pomoc! Tu są same duże, duże dziewczyny.

– Wy głupki! Przecież każdy wie, że czarownica nosi spiczastą czapkę.

– Więc nie można być czarownicą, kiedy się śpi, co?

– Cześć! – wyszeptała Akwila.

Zapanowała cisza haftowana oddechami jej siostr. Ale w jakiś sposób, choć Akwila nie umiałaby tego opisać, była to cisza ludzi starających się nie wywołać żadnego hałasu.

Wychyliła się, by spojrzeć pod łóżko. Nie było tam nic poza naczyniem nocnym.

Głosiki, które słyszała, były podobne do głosów z rzeki.

Leżała na plecach w blasku księżyca i nasłuchiwała tak, że aż zabołały ją uszy.

Potem zaczęła się zastanawiać, jak będzie wyglądała szkoła dla czarownic i dlaczego jeszcze jej nie zobaczyła.

Znała każdy cal wokół farmy na przestrzeni dwóch mil wokół. Najbardziej podobała jej się rzeka, zwłaszcza rozlewisko z łachą, której prądkowany grzbiet wystawał ponad wodę, by wygrzewać się na słońcu. Na brzegach wiły gniazda zimorodki. Mniej więcej o milę w górę rzeki żyły czaple. Lubiła je podglądać, gdy schodziły w dół nurtu, by łowić ryby, bo nie ma nic śmiesznieszego niż czapla zrywająca się w pośpiechu do lotu...

Powoli zapadała znów w sen, myśląc o ziemiach otaczających farmę. Nie było kryjówek, której by tam nie знаła.

Ale może gdzieś jednak znajdowały się zaczarowane drzwi. Gdyby prowadziła szkołę dla czarownic, tak by właśnie zrobiła. Wszędzie znajdowałyby się sekretne wejścia, nawet o setki mil dalej. Trzeba spojrzeć na jakąś konkretną skałę, powiedzmy w świetle księżyca, a tam są kolejne drzwi.

No a szkoła... jaka to szkoła? Lekcje latania na miotle i nauka, jak zrobić, by czubek kapelusza był naprawdę ostry, no i czarodziejskie posiłki i mnóstwo koleżanek...

– Czy ten dzieciak zasnął?

– Nie słyszę, żeby się ruszała.

Akwila otworzyła w ciemnościach oczy. Głosy spod łóżka pobrzmiwały lekkim echem. Jak dobrze, że nocnik był czysty.

– No, ruszajmy z tego naczynia.

Głosy przemieszczały się przez sypialnię, a uszy Akwili starały się obrócić, by za nimi nadążyć.

– Hej, patrzcie, dom. Jakie ciutkrzesełka!

Znalazły domek dla lalek, pomyślała Akwila.

Był całkiem duży, a zrobił go pan Kloc, pracujący na farmie jako stolarz, kiedy najstarsza siostra Akwili, która teraz miała już dwójkę własnych dzieci, była małą dziewczynką. I raczej toporny. Pan Kloc nie nadawał się do delikatnej roboty. Przez lata kolejne dziewczynki ozdabiały domek kawałkami materiałów i ustawiały w środku mebelki, jakie dostawały do zabawy.

Właściciele głosów byli najwyraźniej zachwyceni, jakby odkryli pałac.

– Hej, hej, hej, jak tu mięciutko! W tym pokoju jest łóżko, z poduszkami.

– Ciszej, nie chcemy przecież, żeby się któraś z nich obudziła.

– Na litość, przecież jestem cicho jak ciutmyszka. Aj! Tu są żołnierze.

– Jacy żołnierze?

– W tym pokoju jest mnóstwo żandarmów.

Znalazły ołowiane żołnierzyki, pomyślała Akwila, starając się nie oddychać zbyt głęboko.

Tak naprawdę miejsce żołnierzyków nie było w domku dla lalek, ale ponieważ Bywart był jeszcze za mały, by się nimi bawić, Akwila używała ich jako dodatkowych gości na herbatkach, które organizowała dla lalek. Zabawki muszą być bardzo wytrzymałe, by przetrwać pokolenia i nie zawsze się to udawało. Na ostatnim przyjęciu gośćmi były szmaciana lalka bez głowy, trzy żołnierzyki i trzy czwarte małego misia.

Od strony domku dochodziły ją głuche dźwięki uderzeń.

– Mam jednego! Ty, kolego, czy twoja matka potrafi szyć? Szyj w niego. Aj! On ma wśród przodków drzewo.

– Na litość! Jakies ciało bez głowy!

– Nic dziwnego, przecież tu jest niedźwiedź. Poczuj mój but!

Akwili wydawało się, że choć właściciele trzech głosików walczą z rzeczami, które nie

mogą im odpowiedzieć tym samym, na przykład z misiem bez jednej nogi, jednak walka nie jest wcale przesądzona.

– Mam go! Mam! Mam! Zaraz go ukąszę, choć jest twardy jak nie wiem co.

– Ktoś mnie gryzie w nogę! Ktoś mnie gryzie w nogę!

– Przestańcie! Bijecie się ze sobą, wy głupki. Mam was dość.

Akwila poczuła, że Szczurołów unosi głowę. Owszem, był gruby i leniwy, ale przy polowaniu poruszał się z prędkością błyskawicy. Nie mogła pozwolić, by w jego łapy dostały się... te nie wiadomo jakie istoty.

Odkasznęła głośno.

– Słyszycie? – doszedł ją głosik z domku dla lalek. – Obudziliście ją. Zjeżdżamy.

Znowu zapanowała cisza i tym razem Akwila uznała, że jest to cisza wynikająca raczej z braku obecności niż cisza, osób zachowujących się nadzwyczaj cicho. Szczurołów znowu zapadł w sen, tylko od czasu do czasu podskakiwał, gdy w swym kocim śnie coś złapał.

Odczekała chwilę, a potem zsunęła się z łóżka i na paluszkach podeszła do drzwi, omijając dwie skrzypiące deski podłogowe. Zeszła po ciemku schodami, znalazła w świetle księżycy krzesło, wdrapała się na nie, by z babcinej półki zdjąć „Księgę dziecięcych baśni”, potem otworzyła zasuwkę przy drzwiach prowadzących na podwórko i wyszła w ciepłą letnią noc.

Wokół unosiła się mgła, ale w górze widać było kilka gwiazd i świecił dopełniający się księżyc. Akwila wiedziała, że jest dopełniający się, ponieważ przeczytała w kalendarzu, że „dopełniający” oznacza księżyc w kształcie literki D, kiedy jest nieco grubszy niż ćwiartka, i starała się przyłapać go na osiągnięciu tego stadium, żeby mogła powiedzieć do samej siebie:

„Widzę, że dziś w nocy księżyc się dopełnia”. – Możliwe, że to powie wam więcej o Akwili, niż ona sama by wam powiedziała.

Księżyc wędrował po niebie, które w połowie przesłaniały czarne wzgórza. Przez chwilę szukała wzrokiem światełka latarni babci Dokuczliwej...

Babcia nigdy nie straciła żadnej owcy. To było jedno z najwcześniejszych wspomnień Akwili: mama trzyma ją na rękach, stojąc przy oknie, jest lodowata wczesnowiosenna noc, nad górami świeci milion jasnych gwiazd, a na ciemnej płachcie wzgórz lśni tylko jedno światełko, jedna żółta gwiazdka migająca w konstelacji babci Dokuczliwej. Żeby nie wiem jak zła była pogoda, babcia nie szła do kózka, dopóki nie znalazła zagubionej owcy...

Ktoś należący do dużej rodziny tylko w jednym miejscu mógł się poczuć wygodnie sam ze sobą – w wygodce. Miała trzy otwory i tam właśnie wybierano się, kiedy ktoś zapragnął być przez chwilę sam.

W środku postawiono świecę, a na sznurku wisiał zeszłoroczny kalendarz. Wydawca znał dobrze swych czytelników, dlatego drukował kalendarz na miękkim, cienkim papierze.

Akwila zapaliła świecę, usiadła wygodnie i otworzyła „Księgę dziecięcych baśni”.

Księżyc dopełniał się na niebie widoczny przez sierpowaty otwór wycięty w drzwiach.

Tak naprawdę nigdy nie lubiła tej książki. Miała wrażenie, że ktoś stara się jej powiedzieć, co powinna robić i jak myśleć. Nie schodź ze ścieżki, nikomu nie otwieraj drzwi i zapamiętaj, że czarownica jest zła. Aha, i uwierz, że można wybrać sobie dobrą żonę według rozmiaru stopy.

Jej zdaniem wiele z tych opowieści było wielce podejrzanych. Jedna z nich kończyła się tym, że dwoje dobrych dzieci wpychało złą czarownicę do jej własnego pieca. Akwila zastanawiała się nad tym i nad okropną historią pani Lucjanowej. Była pewna, że przez takie opowieści ludzie przestają używać rozumu. Myślała sobie: No nie, nikt nie ma na tyle dużego pieca, by wepchnąć tam całego człowieka, a poza tym jak te dzieci mogły wpaść na pomysł, by zjadać to i owo z czyjegoś gospodarstwa? I dlaczego jakiś chłopak na tyle głupi, by nie wiedzieć, że krowa jest więcej warta niż pięć małych groszków, ma prawo zamordować olbrzyma i zabrać całe jego złoto? Nie wspominając już o tym, że przy okazji popełniał wandalizm ekologiczny. A dziewczynka, która nie potrafi rozróżnić wilka od własnej babci, jest albo głupia jak but, albo pochodzi z bardzo brzydkiej rodziny. Te historie były nieprawdziwe. Ale pani Lucjanowa umarła z powodu jednej z tych historii.

Akwila przerzucała stronę za stroną, szukając właściwego rysunku. Bo chociaż opowieści doprowadzały ją do szału, to nigdy w życiu nie widziała nic piękniejszego od tych obrazków.

Przerzuciła jeszcze jedną kartkę i ujrzała to, czego szukała.

Zazwyczaj wróżki nie robiły na niej wielkiego wrażenia. Czemu miałyby robić, jeśli wyglądały jak małe dziewczynki, które po lekcji baletu musiały się przedrzeć ścieżką prowadzącą wśród jeżyn? Ale ten obrazek... był inny. Kolory miał dziwne i nie było na nim w ogóle cieni. Wszędzie rosły ogromne trawy i stokrotki, więc wróżki musiały być małe, ale wyglądały na duże. Wyglądały jak dziwni ludzie. Zdecydowanie nie jak wróżki. Prawie żadna nie posiadała skrzydełek. I miały dziwne kształty. Tak naprawdę bardziej wyglądały na potwory. Dziewczynki w strojach baletnic nie dorastały im do pięt.

I dziwne było jeszcze to, że w odróżnieniu od innych ilustracji w książce ta wyglądała tak, jakby artysta malował coś, co widział naprawdę... przynajmniej widział to w swojej głowie, pomyślała Akwila.

Skupiła wzrok na lewym dolnym rogu i zobaczyła go. Widziała go już wcześniej, ale trzeba było wiedzieć, gdzie patrzeć. Spoglądał na nią gniewnie rudowłosy człowieczek, ubrany jedynie w spódniczkę i skórzaną kamizelkę. Wyglądał na bardzo rozgniewanego. I...

Akwila przysunęła bliżej świecę, by zobaczyć dokładniej... z pewnością unosił rękę w niegrzecznym geście. Nawet gdyby się nie widziało, że chodzi o wyrażenie czegoś niemiłego, nietrudno to było odgadnąć.

Usłyszała głosy. Pchnęła nogą drzwi, by lepiej je słyszeć, ponieważ czarownica zawsze się przysłuchuje rozmowom innych.

Dźwięk dochodził z drugiej strony żywopłotu, za którym rozciągało się pole i gdzie nie powinno znajdować się nic poza owcami przygotowanymi na sprzedaż. Owce nie są rozmowne. Podkraśla się we mgle i znalazła małą dziurę zrobioną przez króliki. Zajrzała...

Tuż obok żywopłotu pasł się baran, a rozmowa dochodziła spod niego, a raczej z wysokiej trawy pomiędzy jego kopytkami. Rozmówców było najwyraźniej czterech, w ich głosach brzmiało poirytowanie.

- Na litość! Chcieliśmy krowę, a nie owcę!
- Daj spokój, co za różnica. Dalej, chłopaki, łapcie za nogi!
- Wszystkie krowy są w oborze, bierzemy to, co się da.
- Trzymaj równo, trzymaj równo!
- Dobra, liczę. Uwaga, chłopaki, raz... dwa... trzy...

Baran uniósł się nieco w powietrzu i przestraszony zabeczał, widząc, że przemieszcza się ponad polem. Akwili wydawało się, że widziała mignięcie rudych włosów w trawie pod baranym brzuchem, ale był to tylko moment, a potem wszystko rozmyło się we mgle.

Przedarła się przez żywopłot, nie zwracając uwagi na drapiące kolce. Babcia Dokuczliwa nie pozwoliłaby nikomu odejść z ukradzioną owcą, nawet komuś niewidzialnemu.

Mgła gęstniała. Nagle Akwila usłyszała głosy dochodzące z kurnika. Znikający baran mógł zaczekać. Najwyraźniej potrzebowały jej kury. Lis dobrał się do nich dwa razy w zeszłym tygodniu i teraz kury, które zostały, nie chciały się nieść. Akwila przebiegła ogród, zaczepiając koszulą nocną o wąsy groszku i krzaki agrestu. Wpadła z rozpędem w drzwi kurnika.

Nie zobaczyła latających piór ani żadnych objawów paniki, jakie normalnie wywołuje lis. Ale kurczaki zbiły się w niespokojną gromadkę, a kogucik Obciach skakał nerwowo w górę

i w dół. Jedna z kur wyglądała na zakłopotaną. Akwila ją podniosła.

Na ziemi stało dwóch małych błękitnych rudowłosych ludzików. Obaj trzymali w objęciach po jajku. Spoglądali w górę z minami winowajców.

– O nie! – jęknął jeden. – To ta dziewczyna. Ona jest wiedźmą.

– Kradniecie nasze jajka! – krzyknęła Akwila. – Jak śmiecie! A ja nie jestem żadną wiedźmą.

Ludziki popatrzyły na siebie, a potem na jajka.

– Jakie jajka? – zapytał jeden.

– Jajka, które trzymacie w rękach – powiedziała znacząco Akwila.

– Co? Aha, te jajka? Więc to są jajka, tak? – rzekł ten, który pierwszy się odezwał, spoglądając na jajka, jakby nigdy wcześniej ich nie widział. – Więc o nie ci chodzi. Myśleliśmy, że to kamienie.

– No właśnie, kamienie – poparł go nerwowo drugi.

– Weszliśmy sobie pod twoją kokoszkę, żeby się ciut ogrzać – tłumaczył ten pierwszy.

– A ponieważ tu leżało to coś, a kokoszka ciągle gdakała, myśleliśmy, że to kamienie...

– No właśnie, wciąż gdakała – drugi energicznie przytakiwał.

– ...zrobiło nam się żal biedactwa i...

– Odłóżcie... jajka... z powrotem – powiedziała powoli Akwila.

Ten mniej wymowny kuksnął kumpla.

– Lepiej zrobmy tak, jak ona mówi. To beznadziejne. Nie ma co wchodzić w drogę Dokuczliwym. Na dodatek ta jest wiedźmą. Przyłożyła Jenny, a tego nie zrobił jeszcze nikt nigdy.

– Masz rację, nie pomyślałem...

Bardzo ostrożnie odłożyli jajka. Jeden nawet pochuchał na skorupkę i szmatką przyczepioną przy spódniczce demonstracyjnie ją wyczyścił.

– Nic się nie stało, proszę pani – powiedział.

Spojrzał na kolegę. I nagle obaj znikli.

Ale w powietrzu przez chwilę podejrzenie coś się zarudziło i zawirowały drobiny słomy.

– Nie jestem żadną panią! – krzyknęła Akwila. Posadziła kurę z powrotem na jajka i wróciła do drzwi. – I nie jestem wiedźmą! A czy wy jesteście elfami lub krasnoludkami? I co z naszą owcą, to jest baranem? – dodała.

Odpowiedziało jej jedynie pobrzękiwanie wiader w pobliżu domu, co oznaczało, że inni jego mieszkańcy także już wstali.

Wróciła po książkę, zgasiła świecę i skierowała się do głównych zabudowań. Matce, która

rozpalała właśnie ogień i zapytała, co o tej porze robiła na zewnątrz, odparła, że usłyszała coś w kurniku, więc poszła sprawdzić, czy to czasem znowu nie lis. Co nie było kłamstwem. Właściwie była to prawda, nawet jeśli nie odpowiadała do końca prawdzie.

Akwila była z gruntu osobą prawdomówną, ale wydawało jej się, że czasami sprawy nie dzielą się łatwo na „prawdę” i „fałsz” – raczej na „sprawy, które powinny zostać ujawnione w danym momencie” i „sprawy, które nie powinny zostać ujawnione w danym momencie”.

Ponadto nie była pewna, co właściwie wie.

Na śniadanie dostała owsiankę. Zjadła ją pospiesznie, zamierzając wrócić na pole i sprawdzić, co się stało z baranem. Powinny być jakieś ślady na trawie.

Nie wiedząc z jakiego powodu, podniosła wzrok.

Wcześniej Szczurołów spał na przypiecku. Ale teraz siedział w pełni obudzony i patrzył w górę. Akwila poczuła, jak włosy stają jej dęba. Rozejrzała się, by sprawdzić, na co spogląda kot.

Na komodzie stał rząd białych i niebieskich słoików, które nie były przydatne do niczego. Mama Akwili otrzymała je kiedyś w prezencie od jakiejś starej ciotki i była z nich bardzo dumna, bo wyglądały ładnie, choć były całkowicie bezużyteczne. Na farmie nie ma dużo miejsca na rzeczy ładne, lecz bez praktycznego zastosowania, więc jeśli już takie się trafiły, traktowano je niczym skarb.

Kot przyglądał się pokrywce jednego z nich. Podnosiła się bardzo powoli, a w szparze mignęła ruda czupryna i paciorkowate uważne oczy.

Pod wzrokiem Akwili pokrywa się zamknęła.

Chwilę później dało się słyszeć lekkie chrobotanie. Kiedy dziewczynka znowu podniosła wzrok, słoje się kołysały, a nad półką unosił się mały tuman kurzu. Szczurołów wyglądał na zaskoczonego.

Z pewnością były bardzo szybkie.

Wybiegła na pastwisko. Mgła podniosła się w górę, skowronki latały nad wzgórzami.

– Jeśli ten baran nie wróci tu natychmiast, dam wam popalić! – krzyknęła Akwila w niebo.

Jej głos poniósł się między wzgórzami. A potem usłyszała bardzo cichutkie, ale bardzo bliskie głosiki:

– Co wiedźma powiedziała? – zapytał pierwszy.

– Że nas spali.

– O rety, rety, rety! Wpadliśmy!

Akwila rozejrzała się wokół, twarz miała purpurową z gniewu.

– Mamy powinność – poinformowała powietrze i trawę.

Tak powiedziała kiedyś babcia Dokuczliwa, kiedy Akwila płakała nad owcą.

Zazwyczaj wyrażała się w taki staroświecki sposób. „Dla tych stworzeń, mój mendelku, jesteśmy niczym bogowie. My stanowimy o czasie ich narodzin i śmierci. Pomiedzy tymi dwoma momentami mamy powinność”.

– Mamy powinność – powtórzyła Akwila, tym razem już ciszej, rozglądając się po polu. – Wiem, że gdziekolwiek jesteście, słyszycie mnie. Jeśli baran nie powróci, będą... kłopoty...

Nad pastwiskiem zaśpiewał skowronek, pogłębiając tylko panującą ciszę.

Akwila musiała wypełnić swe obowiązki. Oznaczało to nakarmienie kur, zebranie jajek – czuła coś w rodzaju dumy z faktu, że było ich tego dnia o dwa więcej, niż mogło być.

Oznaczało również wyciągnięcie ze studni sześciu wiader wody i napełnienie koryta stojącego koło pieca, ale to odłożyła na później, bo nie przepadała za tym zajęciem. Za to lubiła ubijanie masła. Przy nim mogła myśleć.

Gdybym była czarownicą w spiczastym kapeluszu i z miotłą, myślała, machając energicznie ubijakiem, skinęłabym tylko ręką i masło by się stało, ot tak. I żadne rudowłose diablątka nawet by nie pomyślały, że mogą sobie zabrać jakieś nasze stworzenie.

Usłyszała chłupot za sobą, tam gdzie ustawiła już sześć wiader czekających, by je zanieść do studni. Gdy się obejrzała, jedno było już pełne wody i jeszcze się kiwało.

Powróciła do ubijania masła, jakby nigdy nic, ale po chwili przerwała, wzięła garstkę mąki, rozsypała ją na schodach i wróciła do masła.

Kilka minut później znowu doszedł ją chłupot. Odwróciła się i, rzeczywiście, drugie wiadro było pełne wody. A na mące widniały dwie linie maleńkich stopek – jedna prowadząca do mleczarni, druga z powrotem.

Teraz wystarczyło podnieść ciężkie wiadro i wylać wodę do koryta.

A więc są nie tylko niesamowicie szybkie, ale też niezwykle silne, pomyślała.

Przyjmuję to nadzwyczaj spokojnie.

Podniosła wzrok. Właśnie spadały odrobinki kurzu, jakby coś szybciutko przebiegło po belkach w górze.

Chyba powinnam to zatrzymać, uznała. Ale co szkodzi poczekać, aż przyniosą wszystkie sześć wiader.

– A potem muszę napełnić koryto w umywalni – powiedziała głośno. No cóż, warto spróbować.

Wróciła do ubijania masła i już nawet nie odwracała się, gdy do jej uszu docierało chłupotanie cztery kolejne razy. Nie odwróciła się również, kiedy usłyszała długie

„pluuuuusk!” i tupot nóżek na zbiorniku. Zrobiła to, dopiero kiedy wszystko ucichło.

Koryto było pełne i wszystkie sześć wiader też wypełniała woda. Na mące widniała płatanina śladów.

Przestała ubijać. Miała wrażenie, że ktoś jej się przygląda. Nie ktoś – wiele ktosiów.

– No... dziękuję – powiedziała.

Nie, to nie było w porządku. W jej głosie zabrzmiała niepewność. Puściła ubijak do masła i wyprostowała się, starając się wyglądać na osobę zdecydowaną.

– A co z naszym baranem? – zapytała. – Nie uwierzę, że jest wam naprawdę przykro, póki baran nie wróci.

Z pastwiska doszło ją beczenie. Pobieгла na koniec ogródka i wyjrzała przez płot.

Baran wracał, na plecach, i to bardzo szybko. Zastopował niedaleko od płotu i opadł w dół, gdy mali ludzie go upuścili. Przez moment jeden z rudowłosych pojawił się na jego głowie. Podmuchał z całych sił w róg zwierzęcia, wytarł go spódniczką i zniknął z tumulem.

Akwila zamyślona wróciła do obory.

No a kiedy wróciła, masło było gotowe. Nie tylko ubite, ale uklepane w dwanaście kostek na marmurze, którego zawsze do tego używała. Każda ozdobiona natką pietruszki.

Czy to są skrzaty? – zastanowiła się. Zgodnie z księgą baśni skrzaty mieszkały pod podłogą i za kominem i wykonywały różne prace domowe za spodek mleczka. Ale skrzaty na obrazku były rumiane i miały czerwone czapki z pomponami. A te rudzielce nie wyglądały na istoty, które kiedykolwiek piją mleko. Cóż, nie wadzi spróbować...

– Wystarczy – odezwała się, wciąż świadoma, że się jej przyglądają. – Dziękuję. Cieszę się, że żałujecie tego, co zrobiłyście.

Wzięła jeden z kocich spodków piętrzących się koło zlewu, umyła go starannie, napełniła mlekiem z tegodniowego udoju, a potem postawiła na podłodze i odsunęła się.

– Czy jesteście skrzatami? – zapytała.

Powietrze zafurkotało. Mleko rozlało się na podłogę, a spodeczek zawirował w koło i w koło.

– Rozumiem, że to oznacza „nie” – powiedziała Akwila. – Więc czym jesteście?

Otrzymała niezwykle mało braków odpowiedzi.

Położyła się, by zajrzeć pod umywalnię, potem zajrzała za półki, na których dojrzewały sery. Zajrzała w każdy ciemny, zasnuty pajęczynami kąt. Wszystkie zakamarki wyglądały na puste.

Pomyślała sobie: Wydaje mi się, że przydałaby mi się lekcja za jedno jajko. I to szybko...

Akwila wędrowała spadziwą ścieżką prowadzącą z farmy do wioski tysiące razy.

Przez wieki wozy tak wyrobiły dróżkę, że wyglądała raczej jak coś w rodzaju żlebu w kredzie, a gdy padały deszcze, spływał nią mleczny strumień.

Dziewczynka pokonała pół drogi, gdy rozległ się szum. Żywopłot szeleścił, choć nie było wiatru. Skowronki ucichły i mimo że wcześniej nie zauważała ich śpiewu, nagle cisza ją przeraziła. Nie ma nic głośniejszego niż koniec pieśni, którą słyszeć zawsze.

Kiedy podniosła w górę wzrok, odniosła wrażenie, że spogląda przez diament. Niebo się iskrzyło, a powietrze zrobiło się w jednym momencie tak zimne, jakby wstąpiła w lodową kąpiel.

Potem zobaczyła, że pod stopami ma śnieg, białe płatki pokryły krzaki rosnące przy drodze. I usłyszała stukot kopyt.

Dochodziły z pobliskiego pola. Koń galopował przez śnieg, tuż za żywopłotem, który był teraz, całkiem nagle, ścianą bieli.

Tupot nóg końskich ucichł. Przez chwilę nie było słyszeć nic, a potem koń wylądował na dróżce, ślizgając się na zamrożonej ziemi. Utrzymał się, stając na tylnych kopytach, a jeździec zwrócił się w stronę Akwili.

Ale nie twarzą. Ponieważ nie miał twarzy. Nie miał też głowy.

Zaczęła uciekać. Ślizgała się po śniegu, lecz nagle w jej umyśle też zapanował lodowaty chłód.

Biegła na dwóch ślizgających się na lodzie nogach. Koń miał ich dwa razy tyle. Nieraz widziała, z jakim trudem konie wdrapują się na oblodzone wzgórze. To dawało jej szansę.

Słyszała za sobą ciężki oddech i rżenie konia. Zaryzykowała spojrzenie w tył. Koń biegł za nią, ale niezbyt szybko, bo się ślizgał. Buchały z niego kłęby pary.

W połowie wzniesienia ścieżka przechodziła pod szpalerem drzew, uginających się teraz pod śniegiem i wyglądających jak pierzaste chmury. Kawalek dalej, Akwila wiedziała o tym dobrze, dróżka była mniej stroma. Tam jeździec ją dogoni. Nie wiedziała, co może się wtedy wydarzyć, ale obawiała się, że będzie to trwało nieprzyjemnie krótko.

Kiedy przechodziła pod drzewami, spadło na nią kilka płatków śniegu. Uznała, że musi przebiec ten kawałek. Może uda jej się dotrzeć do wioski? W bieganiu była niezła.

Ale jeśli nawet tam dobiegnie, to co dalej? Nigdy nie uda jej się dopaść do żadnych drzwi na czas. Ludzie będą biegać i krzyczeć. Jeździec nie wyglądał na takiego, który się tym specjalnie przejmie.

Nie, musiała sobie z nim poradzić sama.

Gdyby tylko miała ze sobą patelnię...

– Spójrz tutaj, ciutwiedźmo! Zatrzymaj się, i to już!

Podniosła wzrok. Błękitny ludzik wychylał się z żywopłotu.

– Goni mnie jeździec bez głowy! – wykrzyczała.

– Nie uda mu się, słoneczko. Stój spokojnie. Popatrz mu w oczy!

– On nie ma oczu.

– Na litość! Jesteś wiedźmą czy nie? Popatrz mu w oczy, których nie ma.

Błękitny ludzik zniknął w śniegu.

Akwila obróciła się na pięcie. Koń truchtał pod drzewami, na płaskiej ziemi radził sobie lepiej. Jeździec trzymał w dłoni miecz i niewątpliwie spoglądał na nią oczami, których nie miał. Przykro było słyszeć jego chrapliwy oddech.

Te ludziki na mnie patrzą, pomyślała. Nie mogę uciekać. Babcia Dokuczliwa nigdy nie uciekałaby przed czymś, co nie ma głowy.

Założyła ręce przed sobą i spokojnie patrzyła.

Jeździec zatrzymał się, jakby zdziwiony, po czym przynaglił konia.

Niebiesko-pomarańczowy kształt, większy od pozostałych ludzików, spuścił się z drzewa. Wylądował na łbie konia, pomiędzy jego oczami i złapał obiema rękami za końskie ucho.

– To dla ciebie, strupie! – krzyknął i trzasnął konia głową między oczy.

Ku zdumieniu Akwili koń zatoczył się na bok.

– No i jak?! – wrzeszczał mały wojownik. – Twardziel z ciebie, co? No to dostaniesz jeszcze raz.

Tym razem koń zakolebał się w drugą stronę, tylne nogi ugięły się pod nim i upadł w śnieg.

Na żywopłocie pokazała się chmara błękitnych ludzików. Jeździec próbował się podnieść na nogi, ale zniknął pod pomarańczowo-błękitną wrzeszczącą nawałnicą.

I nagle zniknął naprawdę. Śnieg zniknął również. Koń też.

Błękitni przez chwilę tkwili na rozpalonej słońcem piaszczystej drodze. Po czym jeden z nich wykrzyknął:

– Na litość! Kopnąłem się we własną głowę!

A potem oni także zniknęli, ale przez chwilę Akwila widziała za żywopłotem błękitno-pomarańczowe smugi.

Skowronki znowu śpiewały. Wszystko wokół było zielone i rozkwiecione. Ani jedna gałązka nie została złamana, ani jeden kwiat zniszczony. Niebo odzyskało błękit, ale w niczym nie przypominało diamentu.

Akwila spuściła wzrok. Na czubkach jej butów topił się śnieg. Z jakiegoś dziwnego powodu ją to ucieszyło. Ponieważ oznaczało, że wszystko, co się wydarzyło, było magią, a nie szaleństwem. A ona, gdy zamknęła oczy, wciąż słyszała chrapliwy oddech jeźdźca bez głowy.

Teraz potrzebowała towarzystwa innych ludzi i normalnych czynności. Ale bardziej niż czegokolwiek potrzebowała odpowiedzi.

Choć najbardziej chciałaby nie słyszeć chrapliwego oddechu...

Namioty znikły. Poza kilkoma ogryzkami kredy i kilkoma ogryzkami jabłek, no i kilkoma zgniecionymi trawami, a na nich kilkoma kurzymi piórkami nie było już niczego, co by wskazywało, że kiedyś przebywali tu nauczyciele.

– Pssst! – odezwał się cichy głos. Spojrzała w dół.

Pod liściem szczawiu schronił się ropuch.

– Panna Tyk mówiła, że tu wrócisz – oświadczył. – Podejrzewam, że chciałabyś się dowiedzieć kilku rzeczy.

– Wszystkiego – odparła Akwila. – Mamy inwazję błękitnych ludzików. W ogóle nie rozumiem, o co im chodzi. I w dodatku ciągle nazywają mnie wiedźmą.

– No tak. – Ropuch pokiwał głową. – To Fik Mik Fikle.

– Był śnieg, a potem już go nie było! Ścigał mnie jeździec bez głowy! I jeden z tych... jak ich nazwałeś?

– Fik Mik Fikle – powtórzył ropuch. – Znani także jako praludki. A sami mówią na siebie Wolni Ciutludzie.

– Jeden z nich zdzielił konia głową. A to był potężny koń.

– Tak, to mi wygląda na Figła – potwierdził ropuch.

– Dałam im trochę mleka, ale wszystko porozlewali.

– Dałaś Fik Mik Figłom mleko?

– No cóż, powiedziałaś, że to krasnoludki!

– Nie krasnoludki, tylko praludki. I z całą pewnością nie piją mleka!

– Czy pochodzą z tego samego miejsca co Jenny?

– Nie, to rebelianci.

– Rebelianci? A przeciwko czemu walczą?

– Przeciwko każdemu. Przeciwko wszystkiemu. Teraz mnie podnieś.

– Dlaczego?

– Ponieważ tam przy studni stoi kobieta i bardzo dziwnie ci się przygląda. Wsadź mnie do kieszeni, ale już.

Akwila złapała ropucha i uśmiechnęła się do kobiety.

– Zbieram ropuchy i nadmuchuję je – powiedziała głośno.

– Jak miło, moja droga – odparła kobieta i pospiesznie się oddaliła.

– To nie było wcale zabawne – oświadczył ropuch z kieszeni fartuszka.

– Ludzie i tak nie słuchają tego, co się do nich mówi – wyjaśniła Akwila. Usiadła pod drzewem i spojrzała na stworzenie w swojej kieszeni. – Figle chciały ukraść jajka i jednego z naszych baranów – oświadczyła. – Ale kazałam im oddać.

– Odzyskałaś coś od Fik Mik Figli? – zdziwił się ropuch. – Muszą być chore.

– Nie. One raczej są... no, tak naprawdę przemile. Nawet zastąpiły mnie w pracach domowych.

– Figle pracowały?! Nigdy nie robią nic pożytecznego!

– A potem był ten jeździec bez głowy – mówiła Akwila. – Nie miał wcale głowy!

– No cóż, to jego główna kwalifikacja zawodowa.

– Co tu się dzieje, ropuchu? – zapytała Akwila. – Czy to jest inwazja Figli?

Fizjonomia ropucha się zmieniła.

– Nie jest intencją panny Tyk, byś się tym zajmowała – odparł. – Ona wróci niedługo, sprowadzi pomoc...

– Czy zdąży na czas?

– Nie wiem. Najprawdopodobniej. Ale ty nie powinnaś...

– Chcę wiedzieć, co się dzieje!

– Pojechała, by sprowadzić inne czarownice – powiedział ropuch. – Hm... ona nie sądzi, że ty powinnaś...

– Lepiej będzie, jeśli powiesz mi wszystko, co wiesz – oświadczyła Akwila. – Panny Tyk tu nie ma. A ja jestem.

– Nastąpiła kolizja między światami – odparł ropuch. – Tutaj. No i co, jesteś zadowolona? Taka jest opinia panny Tyk. Ale wszystko dzieje się znacznie szybciej, niż się spodziewała. I wracają potwory.

– Dlaczego?

– Bo nie ma nikogo, kto by je powstrzymał.

Przez chwilę panowała cisza.

– Ja jestem – powiedziała Akwila.

Rozdział czwarty.

Wolni Ciutludzie

Podczas drogi powrotnej na farmę nic się nie wydarzyło. Niebo pozostawało nieprzerwanie błękitne, żadna z owiec nie powracała błyskawicznie na pastwisko nogami do góry, powietrze było gorące i nieruchome.

Szczurołów leżał na ścieżce prowadzącej do kuchennych drzwi, trzymając coś w łapach. W chwili gdy dostrzegł Akwilę, zerwał się i zniknął za rogiem domu. Usiłował po prostu rozplątać się w powietrzu, jak każdy, kto czuje się winny, szczególnie że Akwila była mistrzynią w rzucaniu grudką ziemi.

Ale przynajmniej to, co wystawało mu z pyszczka, nie było pomarańczowo-niebieskie.

– Spójrzcie tylko na niego – powiedziała głośno. – Wielkie tchórzliwe kocisko! Naprawdę chciałabym coś zrobić, żeby nie mógł łapać małych ptaszków.

– Powinnaś nosić jakiś kapelusz – odezwał się ropuch. – Z kieszeni nic nie widzę.

Poszli do mleczarni, w której Akwila zazwyczaj pracowała sama. Z krzaków, tuż przy drzwiach dochodziła stłumiona rozmowa. Brzmiała mniej więcej tak:

– Co powiedziała ciutwiedźma?

– Chciałaby, by kot przestał łapać małe ptaszki.

– Naprawdę? Na litość! Nie ma problemu!

Akwila delikatnie postawiła ropucha na stole.

– Czym się żywisz? – zapytała. Wiedziała, że grzecznie jest zaproponować gościowi coś do zjedzenia.

– Kiedyś jadłem ślimaki, dżdżownice i inne robaki – odparł ropuch. – Nie było łatwo. Ale nie przejmuj się, jeśli nie masz akurat niczego takiego. Nie oczekuję, byś oczekiwała, że wpadnie do ciebie z wizytą ropuch.

– Co powiesz na odrobinę mleka?

– Jesteś bardzo miła.

Akwila nalala mu trochę na spodek.

– Czy byłeś przystojnym księciem?

– Tak, owszem, może – odparł ropuch, pijąc mleko.

– Dlaczego panna Tyk rzuciła na ciebie urok?

– Ona? Nie, ona nie mogłaby tego zrobić. To bardzo poważna magia zamienić kogoś w zwierzę, ale tak, by nadal wiedziało, że jest człowiekiem. Nie, to była dobra wróżka. Pamiętaj, młoda damo, nigdy nie wchodzić w drogę kobiecie z gwiazdką na końcu różdżki, bo ona rzuca zły cień.

– Dlaczego to zrobiła?

Ropuch wyglądał na zawstydzonego.

– Nie wiem – rzekł wreszcie. – Wszystko jest takie... niewyraźne. Pamiętam jedynie, że byłem człowiekiem. A przynajmniej tak mi się wydaje. To budzi we mnie niepokój. Czasami ocknę się w nocy i zastanawiam się: Czy naprawdę byłem kiedyś człowiekiem? A może byłem po prostu ropuchem, który jej działał na nerwy, więc zaczarowała mnie tak, bym zaczął myśleć, że kiedyś byłem człowiekiem? To dopiero byłoby prawdziwe okrucieństwo, prawda? Załóżmy, że nie mam do czego wracać. – Ropuch zwrócił na nią zmartwione żółte oczy. – To nie musi być wcale takie trudne namieszać w ropuszej głowie. Z pewnością dużo łatwiejsze od zamienienia stosześcdziesięcioletniego człowieka w stworzenie o wadze ośmiu uncji. No bo gdzie się podziała reszta masy? – pytam sam siebie. Czy została gdzieś po drodze wyrzucona? To dopiero mnie martwi. Mam jedno czy dwa wspomnienia z czasów, gdy byłem człowiekiem, ale co to za wspomnienia? Przelotna myśl. Nie mam żadnej pewności, że to się działo naprawdę. Uczciwie ci mówię, że pewnej nocy po tym, jak zjadłem niedobrego ślimaka, obudziłem się z krzykiem, ale co ze mnie wychodziło? Skrzek. Dziękuję ci za mleko, to było bardzo miłe z twojej strony.

Akwila w milczeniu wpatrywała się w ropucha.

– Wiesz co – odezwała się wreszcie – magia jest znacznie bardziej skomplikowana, niż to sobie wyobrażałam.

– Frr! Frr! Świr! Świr! Och, biedny ciuteńki ja, świergotliwy świergotek!

Akwila podbiegła do okna.

Fik Mik Figiel z kawałków szmatki zrobił sobie prymitywne skrzydła, na głowie miał czapkę z czubkiem ze słomy i chodził po ścieżce w koło jak zraniony ptaszek.

– Świr, świr! Frr, fir! Mam nadzieję, że nie ma tu w pobliżu żadnego kota. Oj, ja biedny! – jojczył.

Szczurołów, prawdziwy wróg wszystkich małych ptaszków, zbliżał się niepostrzeżenie.

I w chwili gdy Akwila otwierała usta do krzyku, skoczył, lądując wszystkimi czterema łapami na ludziku.

A właściwie tam gdzie ludzik znajdował się wcześniej, bo Figiel już wywinął kozła w powietrzu i znalazł się tuż przed pyszczkiem Szczurołowa, trzymając w każdej ręce po jednym kocim uchu.

– No i co, koteczku, widzę cię jak na obrazku! – wykrzyknął. – Oto prezent od pokrzywdzonych!

I tryknął kota z całych sił w nos. Szczurołów wyleciał w powietrze, po czym padł na plecy z zamkniętymi oczami. Miauknął w przerażeniu, gdy człowieczek wylądował na nim z okrzykiem „świr!!!”.

Kot skoczył w górę, a następnie z raketową szybkością rzucił się do ucieczki. Jako pomarańczowa smuga pojawił się w otwartych drzwiach i smignął koło Akwili, by wreszcie zniknąć pod zlewem.

Figiel uniósł głowę i spojrzał z uśmiechem na dziewczynkę.

– Proszę, nie odchodź... – zaczęła szybko, ale już go nie było. Jak na wolnych ludzi byli bardzo szybcy.

Matka zbliżała się prawie biegiem ścieżką prowadzącą od domu. Akwila podniosła ropucha i w ostatniej chwili ukryła go w kieszeni.

– Nie ma tu Bywarta? – pytała matka zdenerwowana.

– A nie poszedł z tobą na strzyżenie owiec, mamó? – Akwila nagle się przeraziła.

– Nie możemy go znaleźć! – W spojrzeniu matki pojawił się dziki błysk. – Odwróciłam się tylko na minutkę! Jesteś pewna, że go tutaj nie widziałas?

– Przecież by nie przeszedł całej drogi...

– Idź i poszukaj go w domu! Szybko!

Pani Dokuczliwa pobiegła gdzieś dalej. Akwila odłożyła ropucha na podłogę i zagoniła go pod koryto. Zaraz usłyszała głośny skrzek i kompletnie przerażony Szczurołów wyczołgał się spod koryta i skoczył do drzwi.

Wstała. Pierwsza myśl nie przynosiła jej chwały: Przecież sam chciał pójść przyglądać się strzyżeniu! Jak mógł się zgubić? Poszedł z mamą, Hanną i Fastidą!

Ale czy Hanna i Fastida mogły go upilnować, gdy wokół było tylu młodych mężczyzn?

Próbowała udawać, że wcale tego nie myśli, ale niestety była zdradziecko dobra w odkrywaniu, kiedy sama kłamie. Taki jest właśnie problem z mózgiem: myśli więcej, niżby

się chciało.

Ale przecież Bywarta nigdy nie ciągnęło, by uciekać od ludzi! Do zagrody, gdzie strzyżono owce, było ponad pół mili. I nie umiał tak szybko chodzić. Po kilku krokach siadał i żądał słodyczy!

Gdyby naprawdę się zgubił, byłoby tutaj dużo spokojniej...

Pojawiła się znowu – ta okropna, zawstydzająca myśl. Akwila nie chciała tak myśleć.

Wyjęła ze słoja trochę cukierków jako przynętę i biegając od pokoju do pokoju, potrząsała torebką niczym grzechotką.

Usłyszała na podwórku kroki mężczyzn, którzy zeszli ze stoku, gdzie strzygli owce, ale nie przestawała zaglądać pod łóżka i do szafek, nawet umieszczonych tak wysoko, że żaden dwulatek nie mógłby do nich dosięgnąć, a potem jeszcze raz pod łóżka, do miejsc sprawdzanych już wcześniej, ponieważ taki to był rodzaj szukania, że idzie się na strych, by sprawdzić, choć drzwi na strych są zawsze zamknięte.

Po kilku minutach doszły ją głosy z zewnątrz wołające Bywarta, a potem usłyszała ojca, który mówił:

– Sprawdźcie nad rzeką!

... a to oznaczało, że ojciec też był w panice, bo Bywart nigdy by nie poszedł tak daleko bez przekupstwa. Z daleka od słodyczy czuł się po prostu nieszczęśliwy.

– To twoja wina!

Czuła tę myśl jak kawałek lodu w mózgu.

– To twoja wina, bo nie dość go kochałaś. Kiedy się urodził, przestałaś być najmłodsza i musiałaś wszędzie brać go ze sobą, i wciąż życzyłaś sobie, żeby zniknął.

– Nieprawda! – wyszeptała do siebie Akwila. – Ja... całkiem go lubiłam.

Ale nie bardzo, musiała to przyznać. I nie przez cały czas. Nie umiał się bawić i nigdy nie robił tego, o co go prosiła. Myślała, że byłoby lepiej, gdyby się zgubił.

Przecież, dodała w myślach, nie możesz kochać ludzi przez cały czas, jeśli bez przerwy im leci z nosa. I przecież... zastanawiam się...

– Chciałabym znaleźć mojego brata – powiedziała na głos.

Nic się nie stało. Ale dom był pełen ludzi otwierających i zamykających drzwi, krzyczących do siebie i wchodzących sobie w drogę, a Figle były nieśmiałe, mimo że ich twarze przypominały brzydkie pięści.

– Samo chcenie to za mało – powiedziała panna Tyk. – Musisz coś zrobić.

Akwila zeszła na dół. Były tam nawet niektóre z kobiet, które pakowały wełnę podczas strzyżenia. Wszyscy stłoczyli się wokół płaczącej matki. Nikt na Akwilę nie zwrócił uwagi.

Co się dość często zdarzało.

Pobiegła do mleczarni, zamknęła za sobą drzwi i pochyliła się, by zajrzeć pod koryto.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wbiegł ojciec. Zatrzymał się na jej widok.

– Tam go nie może być, dziewczyno! – wykrzyknął.

– Ja, no... – wybąkała.

Wyglądała na winną.

– Sprawdzałeś na górze?

– Nawet na strychu, tato.

– No tak. – Tata był jednocześnie przerażony i zniecierpliwiony. – Idź i... zrób coś!

– Dobrze, tato.

Kiedy zatrzasnęły się za nim drzwi, pochyliła się znowu, zaglądając pod koryto.

– Jesteś tam, ropuchu?

– Kiepskie miejsce na łowy – odparł ropuch, wydobywając się na zewnątrz. – Bardzo pilnujecie czystości. Ani pajęczka.

– Nie ma czasu do stracenia – zachnęła się Akwila. – Mój mały braciszek przepadł. I to w biały dzień! Niedaleko domu, gdzie wszystko widać jak na dłoni.

– O rechy – odezwał się ropuch.

– Słucham?

– No, to było przekleństwo po ropuszemu – wytłumaczył ropuch. – Przepraszam, ale...

– Czy to, co się dzieje, ma związek z magią? – zapytała Akwila. – Ma, nie myślę się, prawda?

– Mam nadzieję, że nie. Ale uważam, że tak.

– Czy Bywarta ukradły te małe ludziki?

– Co, Figle? One nie kradną dzieci! – Było coś dziwnego w tym, jak ropuch powiedział: „ONE nie kradną...”.

– Czy w takim razie wiesz, kto zabrał mojego brata?

– Nie... ale ONE mogą wiedzieć. Posłuchaj, panna Tyk mówiła, że nie powinnaś...

– Mój brat został porwany! – ostro krzyknęła Akwila. – Czy chcesz mi powiedzieć, że nie powinnam z tym nic robić?

– Nie, ale...

– Dobrze, gdzie są teraz Figle?

– Podejrzewam, że się przyciały. Pełno tu ludzi, którzy zaglądają we wszystkie zakamarki, więc...

– Czy możesz je sprowadzić? Potrzebuję ich!

– No wiesz, panna Tyk powiedziała...

– Jak mogę je sprowadzić z powrotem?

– Więc... chcesz je tu sprowadzić? – zapytał ropuch. Wyglądał na udręczonego.

– Tak!

– Rzadko się zdarza, by ktoś tego chciał. To nie są skrzaty. Zazwyczaj gdy Fik Mik Figle zjawiają się w twoim domu, lepiej jak najszybciej go opuścić. – Westchnął. – Powiedz mi, czy twój tata jest pijący?

– Czasami zdarza mu się wypić piwo – przytaknęła Akwila. – Co to ma wspólnego z całą sprawą?

– Tylko piwo?

– No, nie powinienam nic o tym wiedzieć, ale istnieje Specjalny Płyn dla Owiec. Babcia Dokuczliwa przygotowywała go w starej oborze.

– Mocny?

– Rozpuszcza łyżkę – przyznała. – Używa się go tylko na specjalne okazje. Tata twierdzi, że nie jest dla kobiet, bo od niego rosną włosy na piersiach.

– Jeśli jesteś pewna, że chcesz sprowadzić tu Figle, przynieś tego trochę – poradził ropuch. – Przekonasz się, że zadziała.

Pięć minut później Akwila była z powrotem. Niewiele spraw można ukryć przed spokojnym dzieckiem o bystrym wzroku, dlatego wiedziała doskonale, gdzie są składowane butelki z medykamentem i teraz miała ze sobą jedną z nich. Owinięty w szmatkę korek był głęboko wbity w szyjkę, ale ponieważ miał już swoje lata, udało jej się go podważyć czubkiem noża. Zaczęła łzawić od samych oparów.

Już miała nalać odrobinę złotobrazowego płynu na spodeczek, gdy ropuch zaprotestował:

– Nie rób tego, bo nas stratuja. Wystarczy, że nie zakorkujesz butelki.

Zapach wydostał się na zewnątrz, unosząc się w gorącym powietrzu.

Usiadła na stołeczku, którego używała do dojenia krów.

– No dobrze – odezwała się. – Możecie wychodzić.

Było ich kilkaset. Wyłaniały się z wiader. Spuszczały się na nitkach z belek sufitowych. Wychylały się wstydliwie zza półek, na których dojrzewały sery. Wyczołgiwały się spod koryta. Wychodziły z takich miejsc, w jakich trudno byłoby sobie wyobrazić kogoś z włosami o barwie pomarańczy.

Wszystkie miały sześć cali wzrostu i były prawie całe błękitne, chociaż trudno powiedzieć, czy był to kolor ich ciała, czy tatuaży, które pokrywały je wszędzie, gdzie tylko nie rosły pomarańczowe włosy. Miały krótkie spódniczki, a niektóre nosiły też skórzane

kamizelki. Kilku używało króliczej lub szczurzej czaszki niczym hełmu. I każdy z nich miał przerzucony przez plecy miecz wielkości samego siebie.

Akwilę najbardziej zdumiało to, że wszystkie się jej bały. W większości spoglądały na swe stopy, co wcale nie podnosiło ich na duchu, jako że stopy miały duże i brudne, w części okryte skórami zwierzęcymi powiązanymi na kształt bardzo nieudanych butów. Żaden nie chciał jej patrzeć w oczy.

– Czy to wy napełniliście wodą wiadra? – zapytała.

Odpowiedziało jej szuranie nogami, odkasływanie, a wreszcie chóralne:

– Tak jest.

– I drewniane koryto?

Kolejne „Tak jest”.

– A co z baranem?

Żaden nie podniósł na nią wzroku.

– Dlaczego ukradliście barana?

Poszturchiwały się przez chwilę, coś do siebie nawzajem szepcząc, wreszcie jeden wysunął się przed szereg i ściągnąwszy króliczy hełm, miał go nerwowo w dłoniach.

– Byliśmy głodni, panienko – odparł. – Ale kiedy dowiedzieliśmy się, że to twój baran, oddaliśmy go z powrotem.

Ludziki wyglądały na tak zmartwione, że Akwila poczuła litość.

– Rozumiem, że gdybyście nie byli głodni, nie ukradlibyście go – uznała polubownie.

Odpowiedziało jej parę setek zdziwionych spojrzeń.

– Ukradlibyśmy, panienko – odrzekł ten, który miał hełm.

– Ach tak?

W głosie Akwili zabrzmiało takie zdziwienie, że mówca rozejrzał się po swych kolegach, szukając u nich wsparcia. Przytaknęli zbiorowo.

– Oczywiście, panienko. Musielibyśmy. Jesteśmy słynni z tego, że kradniemy. Prawda, chłopaki? Z czego jesteście słynni?

– Z kradzieży! – wykrzyknęły błękitne ludziki.

– I z czego jeszcze, chłopcy?

– Z bitności!

– I z czego?

– Z picia?

– I z czego jeszcze?

To najwyraźniej wymagało zastanowienia, ale osiągnęły porozumienie i odkrzyknęły:

– Picia i bicia!

– No i jest jeszcze coś – wymamrotał stojący z przodu. – No tak, powiedzcie wiedźmie, chłopaki.

– Kradnij, pij i bij! – wykrzyknęli niebiescy wojownicy.

– Powiedzcie ciutwiedźmie, kim jesteśmy, chłopaki – polecił ten, który miał hełm.

Małe miecze błysnęły wyciągnięte w górę.

– Fik Mik Figle! Wolni Ciutludzie! Nie mamy króla! Nie mamy królowej! Nie mamy pana! Nie damy się znowu oszukać!

Akwila milczała. Ludziki czekały, co teraz zrobi, i im dłużej nie mówiła, tym bardziej były markotne. Opuściły miecze, wyraźnie zawstydzone.

– Ale nie ośmielilibyśmy się odmówić potężnej wiedźmie niczego... no chyba że po mocnym drinku – powiedział mnący hełm, nie spuszczać wzroku z butelki Specjalnego Płynu dla Owiec. – Nie pomożesz nam?

– Pomóc wam? – powtórzyła zdziwiona Akwila. – Chciałabym, żebyście to wy pomogli mnie! Ktoś porwał mojego brata w biały dzień.

– O jejk, jejk, jejk! – wydał z siebie mnący. – W takim razie nadeszła. Ona nadeszła czarująco. Przybyliśmy za późno. To Królowa.

– Chodzi wam o królową... – zaczął ropuch.

– Ciii, ty plugawcze! – wykrzyknął mnący hełm, ale jego głos zniknął w jękach i piskach Fik Mik Figli. Wrywały sobie włosy z głów, rzucały się na ziemię z okrzykami „nieszczęsny dzień” oraz „ojejojoejoj”. Ropuch klócił się z mnącym hełm. Zapanował ogólny harmider, bo każdy krzyczał coraz głośniejsze, by być słyszany.

Akwila wstała.

– Wszyscy zamknijcie się, ale już! – wykrzyknęła.

Zapadła kompletna cisza, poza kilkoma pociągnięciami nosem i „ojek”, które odezwały się jeszcze z rozpędu.

– Staramy się pokazać, jak można znieść taki ból, o pani – tłumaczył mnący hełm, płaszcząc się przed nią ze strachu.

– Tylko nie mi tu nie znosić! – zachnęła się Akwila. – To jest mleczarnia. I musi tu panować czystość.

– Eee... znosić ból oznacza to samo co cierpieć – wyjaśnił ropuch.

– Ponieważ jeśli Królowa jest tutaj, wkrótce odejdzie nasza wodza – odparł mnący hełm.

– I nie będziemy mieć nikogo, kto się nami zaopiekuje.

Kto się nimi zaopiekuje, powtórzyła w myślach. Setki małych zakapiorów, z których

każdy wygrałby konkurs na najbardziej złamany nos, potrzebują kogoś, kto by się nimi zaopiekował.

Wzięła głęboki wdech.

– W domu płacze moja mama – powiedziała. – I... – Nie wiem, jak jej pomóc. To już było tylko do siebie. Nie jestem dobra w takich sprawach, nigdy nie wiem, co powinnam mówić. A na głos do dała: – ... I tak by chciała, żeby wrócił. Bardzo. – A potem jeszcze, prawie żałując, że to mówi: – Był jej ulubieńcem.

Zwróciła się do mnącego hełm, który wycofał się już do szeregu.

– Nie mogę o tobie myśleć „ten, który mnie hełm”, więc po wiedz mi, jak masz na imię.

Z setek ust Fik Mik Figli wyrwało się wspólne „och”, a potem Akwila usłyszała, jak powtarzają do siebie szeptem:

– Tak, to wiedźma, nie ma wątpliwości. To jest wiedźmowate pytanie!

Mnący hełm rozejrzał się w poszukiwaniu pomocy.

– Nie zdradzamy naszych imion – wymamrotał.

Ale jakiś inny Figiel, czujący się wyraźnie bezpieczniej, bo ukryty w dalszych szeregach, wyrwał się z:

– Co jest! Nie możesz odmówić wiedźmie.

Ludzik mnący hełm podniósł na nią wzrok, w którym czało się przerażenie.

– Jestem szefem tego klanu, panienko. Moje imię brzmi... – pociągnął nosem – Rozbój Figiel, panienko. Ale błagam, byś nie użyła go przeciwko mnie!

– Oni wierzą, że imiona mają moc – wyjaśnił szeptem ropuch. – Boją się, że ludzie mogą je zapisać.

– I umieścić w skomplikowanych dokumentach – powiedział Rozbój.

– Na przykład na wezwaniach i tego typu – dodał któryś.

– Lub na listach typu „Poszukiwany”! – wykrzyknął inny.

– Albo na rachunkach lub dokumentach sądowych – rzekł jeszcze któryś.

– Nie mówiąc już o pomyłkowych pismach urzędowych! – Figle spojrzały po sobie w panice na samą myśl.

– Uważają, że słowo zapisane ma jeszcze większą moc – wyszeptał ropuch. – Myślą, że całe pisanie to magia. Słowa na papierze wprawiają je w panikę. Widzisz ich miecze? Gdyby w pobliżu pojawił się prawnik, ostrza zaczęłyby lśnić błękitnym blaskiem.

– No dobrze – odezwała się Akwila. – Doszliśmy do czegoś. Obiecuję, że nie zapiszę jego imienia. A teraz opowiedzcie mi o królowej, która zabrała Bywarta. Królowej czego?

– Nie mogę powiedzieć tego na głos – oświadczył Rozbój. – Ona słyszy swe imię,

gdziekolwiek jest wypowiedziane, i zjawia się na wezwanie.

– To prawda – potwierdził ropuch. – A z całą pewnością nie chcesz jej spotkać.

– Jest tak zła?

– Jeszcze gorsza. Tak że nazywaj ją po prostu Królową.

– Tak, Królowa – powtórzył Rozbój. – Nie słyszałeś o Królowej? Czyż nie jesteś wnuczką babci Dokuczliwej, która miała te wzgórza w swych kościach? Nie wiesz, co robić? Nie pokazała ci? Nie jesteś wiedźmą? Jak to możliwe? Przywalałaś Jenny o Zielonych Zębach i spoglądałaś jeźdźcowi bez głowy w oczy, których nie miał, i ty nie wiesz?

Akwila uśmiechnęła się do niego słabo, a potem wyszeptała do ropucha:

– Czego nie wiem?

– Wydaje mi się – odszepnął – że są zadziwieni, dlaczego nie wiesz nic o Królowej i o... magii, a przecież jesteś wnuczką babci Dokuczliwej i poradziłaś sobie z potworami. Uważają, że babcia przekazała ci swoją wiedzę magiczną. Podnieś mnie do swego ucha. – Akwila posłuchała, a on wtedy wyszeptał: – Lepiej ich nie zawieść.

Przełknęła ślinę.

– Ona nigdy nic mi nie mówiła na temat magii... – zaczęła i umilkła. To była prawda.

Babcia Dokuczliwa nigdy nie opowiadała jej o magii. Ale pokazywała jej magię każdego dnia.

... To zdarzyło się, kiedy jeden z najlepszych psów myśliwskich należących do barona został przyłapany na zagryzaniu owcy. Ostatecznie był to pies myśliwski, który wyrwał się na wzgórze, a ponieważ owca uciekała, rzucił się za nią w pogoń...

Baron wiedział, jaka kara czeka jego psa. Były prawa tak stare, że nikt nie pamiętał, kto je ustanowił, ale każdy wiedział: pies, który zagryzł owcę, musi zginąć.

Jednak ten pies wart był pięćset złotych dolarów, więc – tak mówiła opowieść – baron wysłał swego sługę na wzgórze do wozu babci. Siedziała na schodkach i paląc fajkę, spoglądała na stado.

Sługa baronia przyjechał komno i nie pofatygował się, by zsiąść. Co nie było rozsądne, jeśli się chciało zaprzyjaźnić z babcią. Żelazne podkowki niszczyły murawę. To także jej się nie podobało.

– Baron rozkazuje ci – rzekł sługa – byś znalazła sposób, jak uratować psa, pani Dokuczliwa. W zamian podaruje ci sto srebrnych dolarów.

Babcia uśmiechnęła się, spoglądając za horyzont, przez chwilę pykała fajeczką, a potem

odrzekła:

– Człowiek, który podniesie rękę na swego pana, zostaje powieszony. Głodujący człowiek, który ukradnie owcę należącą do swego pana, zostaje powieszony. Pies, który zagryza owcę, musi zostać zabity. Takie prawa obowiązują na tych wzgórzach, a ja te wzgórza mam w swoich kościach. Kim jest baron, by naginać do siebie prawo?

I dalej patrzyła na owce.

– Baron jest właścicielem tej krainy – odparł sługa. – To jego prawo.

Pod spojrzeniem babci Dokuczliwej włosy tego człowieka stały się całkiem białe. A przynajmniej tak jest w tej opowieści. Ale wszystkie historie o babci Dokuczliwej brzmiały po trosze jak bajki.

– Jeśli jest tak, jak mówisz, że to jego prawo, niech je złamie i zobaczymy, jak się wtedy sprawy potoczą – stwierdziła babcia.

Kilka godzin później baron wysłał swojego rządcę, który był bardzo ważnym człowiekiem, ale znał babcię Dokuczliwą dużo dłużej.

– Pani Dokuczliwa – zwrócił się do niej – baron prosi, by użyła pani swych wpływów i uratowała psa. Z największą radością ofiaruje pani pięćdziesiąt złotych dolarów za pomoc w tej trudnej sytuacji. Na pewno rozumie pani, że korzyści osiągną wszyscy zainteresowani.

Babcia paliła fajkę, patrząc na młode owieczki, i wreszcie się odezwała:

– Mówisz w imieniu swego pana, a twój pan mówi w imieniu swego psa. Kto będzie mówił w imieniu tych wzgórz? Gdzie jest baron, który chce, by prawo zostało dla niego złamane?

Mówią, że gdy baron usłyszał te słowa od rządcy, nic nie odpowiedział. I chociaż był człowiekiem pysznym, często zachowywał się nierozsądnie i nosił głowę zbyt wysoko, nie był głupi. Wieczorem pomaszerował na wzgórza, dotarł do domku babci i usiadł na murawie obok. Po chwili babcia zapytała:

– W czym ci mogę pomóc, panie?

– Babciu Dokuczliwa, błagam o darowanie życia mojemu psu – rzekł baron.

– Przyniosłeś twe srebro? Przyniosłeś twe złoto?

– Nie mam srebra ani złota.

– Dobrze. Prawo złamane przez srebro lub złoto nic nie jest warte. I co teraz, mój panie?

– Chciałem prosić, babciu Dokuczliwa.

– Chcesz złamać prawo za pomocą słowa?

– Zgadza się, babciu.

W opowieści babcia przez jakiś czas przyglądała się zachodowi słońca, a wreszcie

odezwała się tak:

– Staw się jutro o świcie w małej kamiennej szopie, zobaczymy, czy twój stary pies jeszcze się czegoś nauczy. Wtedy podejmiemy decyzję. A teraz dobranoc.

Następnego ranka przy szopie zebrała się prawie cała wioska. Babcia zjawiała się, ciągnąc na niewielkim wózku owcę z nowo narodzonym jagnięciem. Położyła je w szopie.

Potem kilku mężczyzn przyprowadziło psa. Szarpał się nerwowo, bo noc spędził przywiązany na łańcuchu. Usiłował złapać zębami tych, którzy trzymali go na dwóch skórzanych smyczach. Miał gęste futro. I kły.

Baron przyjechał ze swoim rządcą. Babcia Dokuczliwa skinęła im głową i otworzyła drzwi zagrody.

– Chcesz wpuścić psa do owcy, babciu? – zapytał rządcą. – Chcesz, żeby się zadławił krwią?

Nikogo to nie rozśmieszyło. Ale też i rządcy nikt nie lubił.

– Zobaczymy – odparła babcia.

Mężczyźni wrzucili psa do szopy i szybko zatrzasnęli za nim drzwi. Ludzie doskoczyli do okien.

Jagnię zapiszczało cicho, pies warknął, potem zameczała owca. Ale to nie było normalne meczenie. Brzmiała w nim groźba.

Coś uderzyło w drzwi, aż zatrzeszczały zawiasy. W środku pies zaskowyczał.

Babcia Dokuczliwa podniosła Akwilę do góry, by mogła zajrzeć przez okno.

Pies usiłował się podnieść na nogi, ale nie zdążył, bo został zaatakowany znowu, siedemdziesiąt funtów rozwścieczonej owcy runęło niczym taran.

Babcia postawiła Akwilę na ziemię i zapaliła fajkę. Pykała sobie spokojniutko, mimo że budynek za nią trząsł się w posadach, a pies skowyczał i piszczał.

Po kilku minutach skinęła na mężczyzn. Otworzyli drzwi.

Pies wydostał się ze środka, utykając na trzy nogi, ale i tak nie udało mu się przejść więcej niż kilka kroków, gdy kolejny raz owca zaatakowała go z taką siłą, że potoczył się po ziemi.

Leżał nieruchomo. Być może, wiedział już, co się wydarzy, jeśli tylko spróbuje się podnieść.

Babcia Dokuczliwa skinęła na mężczyzn, którzy złapali owcę i zaciągnęli ją z powrotem do szopy.

Baron przyglądał się temu z otwartymi ustami.

– W zeszłym roku zagryzł dzika! – powiedział. – Coś ty mu zrobiła?

– Wylize się – odparła babcia, celowo ignorując pytanie. – Zraniona została głównie jego

duma. Ale nie spojrzysz już nigdy na owcę, stawiam na to mój kciuk. – Polizała swój prawy kciuk i wystawiła go w górę.

Po chwili wahania baron polizał także swój kciuk i przyłożył go do kciuka babci.

Każdy wiedział, co to znaczy. Na Kredzie nie łamało się umów tak przypieczętowanych.

– Dla ciebie prawo zostało złamane – powiedziała babcia Dokuczliwa. – Zapamiętaj ten dzień, ty, który sądzisz innych. Będziesz miał powód, by pamiętać.

Baron skinął głową.

– Przypieczętowane – oświadczyła babcia Dokuczliwa i kciuki się rozdzieliły.

Następnego dnia baron dał babci Dokuczliwej złoto – była to złota folia, w której zawinięto uncję taniego, okropnego tytoniu do fajek Wesoły Żeglarz, jedyne, jaki babcia paliła. Kiedy kupcy spóźniali się i kończył jej się zapas, wpadała w zły humor. Nie dałoby się babci Dokuczliwej przekupić całym złotem tego świata, ale uncja tytoniu potrafiła zdziałać cuda.

Po tym wydarzeniu życie toczyło się łatwiej. Zarządca nie był już taki nieprzyjemny, gdy dzierżawcy spóźniali się z pieniędzmi, i nawet baron odnosił się grzeczniej do ludzi, a ojciec Akwili powiedział kiedyś, gdy był po dwóch piwach, że baron zobaczył, co się może wydarzyć, jeśli owca podniesie głowę, i że pewnego dnia wiele się zmieni, a matka uciszała go, by nie mówił takich rzeczy, bo nigdy nie wiadomo, kto słucha.

A potem pewnego dnia Akwila usłyszała, jak ojciec mówi do matki cicho: „To był stary trik pasterski. Każdy wie, że owca, która ma małe, będzie o nie walczyła jak lwica”.

I tak to właśnie się stało. Nie było w tym żadnej magii. Ale wtedy gdy się działo, było magią. I nie przestało nią być tylko dlatego, że dowiedziała się, jak zostało zrobione...

Fik Mig Figle przyglądały się Akwili uważnie, od czasu do czasu rzucając spojrzenie na butelkę Specjalnego Płynu dla Owiec.

Nie odnalazłam szkoły dla czarownic, pomyślała. Nie znam ani jednego zaklęcia. I nawet nie mam spiczastego kapelusza. Moje talenty to instynktowne wyczucie, jak robić ser i nie wpadać w panikę, kiedy dzieje się coś złego. No tak, i mam ropucha.

I zupełnie nie rozumiem, kim są te ludziki. Ale jestem pewna, że wiedzą, kto porwał mojego braciszka.

Wydaje mi się też, że baron nie ma pojęcia, jak sobie radzić w takich sytuacjach. Ja również nie wiem, ale wydaje mi się, że potrafię być zielona w znacznie rozsądniejszy sposób.

– Ja... pamiętam wiele z tego, co mówiła mi babcia Dokuczliwa – powiedziała. – Co chcecie, żebym zrobiła?

– Wysłała nas tu wodza – rzekł Rozbój. – Czują, że Królowa nadchodzi. Wiedziała, że nie będzie dobrze. Powiedziała nam, że gdy będzie źle, musimy znaleźć nową wiedźmę spokrewnioną z babcią Dokuczliwą, ona będzie wiedziała, co trzeba zrobić.

Akwila popatrzyła na setki twarzy wyrażających oczekiwanie. Niektóre z Figli miały wpięte we włosy pióra i naszyjniki z krecich zębów. Nie można powiedzieć komuś, kto ma twarz w błękitnych tatuażach i miecz tak duży jak on sam przy boku, że z pewnością nie jesteś żadną wiedźmą. Nie chce się kogoś takiego zawieść.

– I pomożecie mi odnaleźć brata? – zapytała.

Twarze Figli nie zmieniły wyrazu.

Spróbowała więc znowu:

– Czy pomożecie mi wykraść mojego brata Królowej?

Setki brzydkich twarzyczek wyraźnie się rozjaśniły.

– Mówisz naszym językiem – odezwał się Rozbój.

– Nie... niezupełnie – odparła Akwila. – Czy moglibyście chwilę poczekać? Muszę zapakować coś niecoś. – Udawała, że doskonale wie, co robi. Przede wszystkim zakorkowała Specjalny Płyn dla Owiec. Rozbój westchnął.

Pobiegła do kuchni, znalazła worek, zabrała z apteczki trochę bandaży i maść, włożyła też butelkę Specjalnego Płynu dla Owiec, ponieważ nieraz słyszała, jak jej ojciec twierdził, że zawsze mu dobrze robi, a na koniec po namyśle dołożyła jeszcze książkę „Choroby owiec” i patelnię. I jedno, i drugie mogło się przydać.

Kiedy wróciła do obory, po ludzikach nie było ani śladu.

Wiedziała, że powinna powiedzieć rodzicom, co się dzieje. Lecz to nie miało większego sensu. Uznaliby, że coś zmyśla. Miała też nadzieję, że jeśli dopisze jej szczęście, sprowadzi Bywarta, zanim ktoś zauważy jej nieobecność. Ale na wszelki wypadek...

W mleczarni trzymała pamiętnik. Przy robieniu sera trzeba pilnować poszczególnych etapów i zawsze zapisywała sobie, ile zrobiła masła i ile użyła do tego mleka.

Znalazła czystą stronę, wzięła ołówek i wystawiając nieco koniec języka, zaczęła pisać.

Fik Mik Figle stopniowo wracały. To nie było tak, że wychodziły z różnych rzeczy, i z pewnością nie pojawiały się za pomocą magii, ale w taki sam sposób, jak twarz pojawia się w chmurze lub ogniu – można je było zobaczyć, kiedy się uważnie spojrzało i chciało je dostrzec.

Patrzyły na poruszający się ołówek z podziwem. Usłyszała, jak szeptem wymieniają uwagi:

– Patrzcie no, jak skacze ten piszący kijek. Czarodziejska robota.

- Dobrze jej to idzie, nie ma co mówić.
 - Ale nie zapisze panienka naszych imion, prawda?
 - No właśnie, przez takie pisanie można się nie wiadomo kiedy znaleźć w więzieniu.
- Akwila skończyła pisać i przeczytała liścik:

++++++

Spojrzała uważnie na Rozbója, który wdrapał się po nodze stołu i sprawdzał, czy nie napisała czegoś groźnego.

- Mogłeś przyjść i poprosić mnie na samym początku – powiedziała.
 - Ale nie wiedzieliśmy przecież, że ciebie szukamy, panienko. Na tej farmie szwenda się mnóstwo dużych kobiet. Nie wiedzieliśmy, że to ty, do chwili kiedy złapałaś Głupiego Jasia.
- To chyba niemożliwe, pomyślała Akwila.
- No cóż, nie było żadnego powodu, żeby kraść owcę i jajka – stwierdziła stanowczo.
 - Ale to przypieczętowało sprawę – rzekł Rozbój, jakby to miało stanowić wytłumaczenie.

- My nie znaczymy naszych jajek! – zachnęła się Akwila.
- Na tym to my się już nie znamy, panienko – odparł Rozbój. – Widzę, że skończyłaś z pisanem, więc chodźmy. Czy masz miotłę?
- Taką do latania – podpowiedział ropuch.
- No... nie... – Akwila się zawahała. – W magii najważniejsze jest – dodała wyniośle – by wiedzieć, kiedy nie należy jej używać.

- Całkiem słusznie. – Rozbój zjechał w dół po nodze od stołu. – Chodź no tu, Głupi Jasiu!
- Jeden z Figli, wyglądający dokładnie tak jak poranny złodziej jajka, podszedł do Rozbója. Obaj lekko się jej ukłonili. – Czy mogłabyś, panienko, na nas teraz stanąć? – zapytał Rozbój.

Zanim Akwila zdążyła otworzyć usta, ropuch powiedział kącikiem ust, a w wypadku ropucha oznacza to prawdziwy kąt:

- Jeden Figiel potrafi podnieść dorosłego mężczyznę. Nie zmiażdżysz go, nawet gdybyś spróbowała.

- Ależ ja nie chcę próbować!

Akwila bardzo ostrożnie podniosła wielki but. Głupi Jaś wbiegł pod niego i w tej chwili poczuła, jak but unosi się w górę. To było trochę tak, jakby weszła na cegłę.

- Teraz drugi – zakomenderował Rozbój.
- Upadnę!
- Nie, jesteśmy w tym nieźli...

I nagle stała na dwóch kolumnach. Ruszały się pod nią w przód i w tył, łapiąc równowagę.

Ale czuła się całkiem bezpiecznie. Jakby miała bardzo grube podeszwy.

– Ruszajmy – usłyszała spod własnej stopy głos Rozbója. – I nie martw się, panienko, że twój kiciuś powróci do obyczaju łapania małych ptaszków. Kilku z nas tu zostaje, będą mieli na niego oko!

Szczurołów pełznął po gałęzi. W myśleniu był raczej konserwatywny. Co nie przeszkadzało mu w odnajdowaniu gniazd. Usłyszał pisklęta już z drugiego końca ogrodu, a gdy był pod drzewem, dostrzegł trzy małe główki ponad gniazdkiem. Teraz zbliżał się, ciekła mu ślinka, był już blisko...

Trzech Figli ściągnęło z głów słomkowe czapki i obdarzyło go najszerszymi uśmiechami.

– Witaj, kotku! – wykrzyknął jeden z nich. – Nie odrobiłeś lekcji? Świr!!!

Rozdział piąty.

Zielone morze

Akwila leciała kilka cali nad ziemią, w ogóle się nie ruszając. Wiatr szumiał wokół niej, gdy Figle śmigały przez główną bramę, a potem biegły trawą porastającą wzgórze...

Mamy oto lecącą dziewczynę. Na jej głowie siedzi ropuch, trzymając się z całych sił.

Kiedy się cofniesz, ujrzysz długi zielony łańcuch wzgórz. Teraz widzisz ją jako jasnoniebieską plamkę na tle bezkresnej trawy wystrzyżonej przez owce, by wyglądała jak gładki dywan. Ale ta zieleń nie jest idealna. Od czasu do czasu trafiają się na niej ludzie.

W poprzednim roku Akwila wydała trzy marchewki i jabłko na pół godziny z geologii, chociaż otrzymała zwrot jednej marchewki, kiedy wytłumaczyła nauczycielowi, że log w geologii nie ma nic wspólnego ani z logiem, ani z logo. On z kolei poinformował ją, że kreda została uformowana przed milionami lat przez składowanie się małych muszerek pod wodą.

To brzmiało w uszach Akwili sensownie. Na wzgórzach znajdowano od czasu do czasu różne skamieniałości. Ale nauczyciel nie wiedział nic na temat krzemienia. Na kredzie, najmniejszej ze skał, znajdowało się niekiedy krzemienie, najtwardsze z kamieni. Niekiedy pasterze ciosali sobie z nich noże. Nawet najlepszy stalowy nóż nie będzie nigdy tak dobry jak nóż z krzemienia.

Mówiło się, że dawnymi czasy na Kredzie mężczyźni kopali doły, by znaleźć krzemień. Wciąż trafiały się głębokie jamy porośnięte gęstymi kolczastymi jeżynami.

Czasami można było znaleźć kawały krzemienia większe od ludzkich głów. Miały takie wyłobienia i wypukłości, i rysunek warstw, że dawało się w nich zobaczyć właściwie wszystko: twarz, szkielet, dziwne zwierzę, morskiego potwora. Co ciekawsze stawiano w ogródkach dla ozdoby.

Starzy ludzie powiadali na nie „kredziaki”, co oznaczało „kredowe dzieci”. Akwila zawsze miała wrażenie, że kamienie chcą stać się żywe. Niektóre wyglądały trochę jak

kawałki mięsa albo kości, albo coś innego, co dostaje się u rzeźnika. W ciemnościach wyglądało tak, jakby Kreda starała się przybrać kształt żywych stworzeń.

Na Kredzie wszędzie można było znaleźć ślady po dawnych mieszkańcach. Nie tylko te wykopane dziury. Znajdowano kamienne na wpół rozwalone kręgi i kopce pogrzebowe jak zielone wypryski, gdzie, jak opowiadano, w dawnych czasach chowano wodzów z całym ich majątkiem. Nikomu jednak nawet nie przyszłoby do głowy tam kopać.

Na Kredzie można też było znaleźć dziwne rzeźbienia. Czasami pasterze, kiedy popędzili owce na wzgórza i nie mieli dużo do roboty, oczyszczali kawałki terenu z trawy i chwastów. Ślady kopyt zacierają się po roku, ale rzeźbienia trwały od tysięcy lat. Były tam wizerunki koni i gigantów, lecz dziwna rzecz, że z ziemi nie widziało się ich dobrze.

Wyglądały tak, jakby tworzone je dla obserwatorów z nieba.

No i jeszcze były dziwaczne miejsca, jak Kuźnia Starego Człowieka – cztery wielkie płaskie kamienie położone tak, że wyglądały jak na wpół zakopana w zbocze chata. Była głęboka tylko na szerokość dłoni. Nie wyglądała jak coś specjalnego, a jednak kiedy krzyknęło się do środka swoje imię, echo odpowiadało dopiero po upływie kilku sekund.

I wszędzie trafiały się znaki bytności ludzkiej. Kreda była kiedyś ważna.

Akwila zostawiła za sobą strzyżone stada. Nikt nie zwrócił na nią uwagi. Dla strzyżonych owiec dziewczyna, która się porusza, nie dotykając stopami ziemi, nic nie znaczyła.

Nizina była już daleko z tyłu, teraz Akwila znajdowała się nad prawdziwymi wzgórzami. Tylko od czasu do czasu beczenie owiec lub krzyk myszołowa przerywał pracowitą ciszę wypełnioną szelestem myszy, szumem wiatru i tym trudnym do określenia dźwiękiem wydawanym przez mnóstwo trawy rosnącej każdej minuty.

Po obu stronach Akwili Fik Mik Figle sunęły w rozciągniętym szeregu, wpatrując się przed siebie ponuro. Minęły kilka kopców, nie zatrzymując się, wdrapywały się na wzgórza i zbiegały w dół bez jednego przystanku. I wtedy Akwila zauważyła przed sobą to miejsce.

Pasło się tu niewielkie stado owiec. Tylko kilka, świeżo ostrzyżonych, ale tu zawsze można było spotkać kilka sztuk. Trafiały tutaj zabłąkane owce, a także jagnięta, które straciły matki.

To miejsce było magiczne.

Teraz zostało tam już niewiele, tylko żelazne koła zapadające się w torfie i brzuchaty piec z krótkim kominem...

W dniu śmierci babci Dokuczliwej mężczyźni z wioski zdjęli wokół chaty na kołach

warstwę murawy i odłożyli ją kawałek dalej. Potem wykopali na sześć stóp głęboki i długi na długość człowieka dół, wydobywając kredę w wielkich blokach.

Grzmot i Błyskawica przyglądały się temu z uwagą. Nie skomlały ani nie warczały.

Wydawały się raczej zainteresowane niż smutne.

Babcia Dokuczliwa została zawinięta w wełniany koc, do którego przypięto kępkę owczej wełny. To był pasterski obyczaj. Wełnę przyczepiono, by powiedzieć bogom, którzy mogliby się tym zainteresować, że osoba, którą pochowano, jest pasterzem i żyła na wzgórzach, zajmując się jagniętami, więc nie miała czasu na religię, szczególnie że nie było tu kościołów ani świątyń, i dlatego miano nadzieję, że bogowie zrozumieją tę sytuację i spojrzą na przybysza życzliwie. Mówiono, że babcia Dokuczliwa w całym swym życiu nie modliła się do nikogo i do niczego, zgadzano się również, że nawet teraz nie będzie miała czasu dla jakiegoś boga, który nie rozumie, że najważniejsze są owce.

Potem położono na nią bloki kredy i babcia Dokuczliwa, która zawsze twierdziła, że ma te wzgórza w swych kościach, spoczęła teraz wewnątrz wzgórza.

Potem spalono chatę. To też był dawny obyczaj, choć tata powiedział, że obecnie nikt już tak nie robi.

Grzmot i Błyskawica nie poszły za ludźmi, kiedy ci odchodzili, i nie reagowały na wołanie. Ojciec Akwili był zbyt mądry, by się o to gniewać, więc zostawiono je siedzące w bursztynowej łunie, całkiem zadowolone.

Następnego dnia, kiedy popiół już całkiem wystygł i wiatr rozwiewał go po okolicy, wszyscy wrócili na wzgórza i starannie ułożyli murawę z powrotem na miejsce. Zostały jedynie metalowe koła od wozu i brzuchaty piec.

I na ten moment czekały psy – tak wszyscy mówili. Uniosły łby, zastrzygły uszami i pobiegły w dal. Nikt już nigdy ich nie ujrzał.

Niosące ją praludki zwolniły. Akwila spuściła ręce, kiedy wolno opadały na trawę.

Owce odeszły kawałek, potem zatrzymały się i odwróciły, by się jej przyjrzeć.

– Dlaczego stajemy? Dlaczego zatrzymaliśmy się właśnie tutaj? Trzeba ją gonić!

– Musimy poczekać na Hamisza, panienko – odparł Rozbój.

– Dlaczego? Kim jest Hamisz?

– On może wiedzieć, gdzie poszła Królowa z twoim ciutbraciszkiem – powiedział Rozbój uspokajająco. – Nie możemy po prostu gnać pochopnie przed siebie.

Duży brodaty Figiel podniósł rękę.

– Punkt pierwszy porządku: możemy gnać pogodnie, zawsze tak robimy.

– Zgoda, Duży Janie, masz rację. Ale dobrze wiedzieć, gdzie mamy gnać. Nie można gnać

po prostu gdzieś. I to by niezbyt dobrze wyglądało, gdybyśmy natychmiast wyskoczyli jak z procy.

Akwila zauważyła, że wszyscy ciutludzie spoglądają wyczekująco przed siebie i w ogóle nie zwracają na nią uwagi. Rozgniewana, ale i zdziwiona usiadła na jednym z zardzewiałych kół i popatrzyła w niebo. To wydawało się lepsze niż rozglądanie się wokół.

Gdzieś tu znajdował się grób babci Dokuczliwej, chociaż trudno było powiedzieć dokładnie gdzie. Trawa całkiem zarosła.

Po niebie płynęło zaledwie kilka chmur, widać było także mysołowy. Nad Kredą zawsze latały mysołowy. Pasterze nazywali je kurczakami babci Dokuczliwej, a niektórzy takie chmurki jak te, które dziś pokazały się na niebie, nazywali babcinymi owieczkami. A Akwila wiedziała, że nawet jej tata, kiedy słyszy grzmot, mówi: „Babcia Dokuczliwa się gniewa”.

Słyszało się też, że niektórzy pasterze, jeśli zimą wilki podchodziły do wsi albo gdy zginęła najpiękniejsza owca, wędrowali w to miejsce z pozostałościami starej chaty, by zostawić szczyptę tytoniu Wesoły Żeglarz, ot tak na wszelki wypadek...

Akwila zamknęła oczy.

Chcę, żeby to była prawda, wyszeptała sama do siebie. Chcę wierzyć, że inni ludzie też uważają, że ona tak naprawdę nigdy stąd nie odeszła.

Zajrzała pod szeroką zardzewiałą obręcz koła i zadrżała. Ujrzała małą paczuszkę zapakowaną w kolorowy papier.

Podniosła ją. Wyglądała całkiem świeżo, więc prawdopodobnie leżała tu dopiero od kilku dni. Na papierku widniał szeroko uśmiechnięty żeglarz z wielką brodą, w żółtym sztormiaku, a za nim rozbijały się błękitne fale.

Akwila poznała morze z opakowań tytoniu Wesoły Żeglarz. Potrafiła usłyszeć szum wielkich fal. Na morzu widać było latarnię morską, którą zapalano w nocy, aby łodzie nie rozbijały się o skały. Na obrazku snop światła był jaskrawobiały. Znała morze tak dobrze, że czasem śniło jej się w nocy, a kiedy się budziła, jeszcze słyszała ryk fal.

Kiedyś jeden z jej wujów mówił, że gdy spojrzeć na opakowanie do góry nogami, wtedy część kapelusza, ucho wesołego żeglarza i kawałek jego kołnierzyka tworzy obrazek kobiety bez ubrania, lecz Akwila nigdy nie potrafiła tego zobaczyć, nie rozumiała zresztą, po co ktoś miałby coś takiego robić.

Delikatnie rozwinęła zawiniątko i powąchała zawartość. Pachniało babcią. Poczuła, jak jej oczy wypełniają się łzami. Nigdy wcześniej nie płakała po babci Dokuczliwej, nigdy.

Płakała nad martwym jagniętkiem czy skaleczonym palcem i kiedy nie mogła postawić na

swoim, ale nigdy po babci. Jakoś wydawało jej się to niewłaściwe.

I teraz też nie płacząc po babci, pomyślała, starannie wkładając zawiniątko do kieszeni fartuszka. Nie dlatego, że babcia nie żyje...

Chodziło o zapach. Babcia Dokuczliwa pachniała owcami, terpentyną i tytoniem Wesoły Żeglarz. Te trzy wonie mieszały się i powstawał jeden zapach, który dla Akwili był zapachem Kredy. Otaczał babcię Dokuczliwą jak chmura i oznaczał ciepło, ciszę i przestrzeń, wokół której obracał się cały wszechświat...

Cień przepłynął ponad jej głową. Myszołów nurkował z nieba prosto na Fik Mik Figle.

Zerwała się na równe nogi i zamachała rękami.

– Uciekajcie! Kryjcie się! On was zabije!

Popatrzyli na nią jak na wariatkę.

– Proszę się nie denerwować, panienko – uspokoił ją Rozbój.

Ptak dzwignął się znowu w górę, ale gdy był tuż nad ziemią, coś małego się z niego zsunęło. Kiedy leciało w dół, wysunęło dwa skrzydła i zaczęło wirować niczym klonowy nasek, co znakomicie spowolniło spadanie.

To był praludek, który koziołkując jak szalony, spadał, aż z rozpędem uderzył o ziemię. Podniósł się, przeklinając sążnięcie, po czym upadł znowu, nie przerywając wiązanki.

– Świetnie wylądowałeś, Hamisz – powitał go Rozbój. – Wirowaniem spowolniłeś opadanie. Uderzenie o ziemię wcale nie było takie mocne.

Hamisz tym razem zdołał się utrzymać na nogach. Oczy zakrywała mu para gogli.

– Nie sądzę, bym mógł tego używać – powiedział, próbując zdjąć z siebie uprząż z kawałkami drewnianek. – Z tymi skrzydłami czuję się jak latająca wróżka.

– Jakim cudem przeżyłeś? – zapytała Akwila.

Mały pilot próbował zlustrować ją z góry w dół, ale udało mu się tylko spojrzeć w górę i jeszcze w górę.

– Co to za ludzkie dziecko, które wymądrza się na temat awiacji? – zapytał.

Rozbój odchrząknął.

– To wiedźma, Hamisz. Spokrewniona z babcią Dokuczliwą.

Na obliczu pilota pojawiło się przerażenie.

– Nie miałem nic złego na myśli, panienko – powiedział, cofając się. – To jasne, że wiedźma zna się na wszystkim. Ale to tylko tak źle wygląda, panienko. Zawsze pilnuję się, by lądować na czole.

– Tak, bardzo się pilnujemy, by na czoło trafiało to co najważniejsze – dodał Rozbój.

– Czy widziałeś kobietę z małym chłopcem? – zapytała Akwila.

Hamisz rzucił na Rozbója spłoszone spojrzenie, ale ten uspokoił go skinieniem głowy.

– Owszem, widziałem – powiedział Hamisz. – Na czarnym koniu, jechała w stronę wzgórz diabelnie...

– Nie używamy brzydkich wyrazów przy wiedźmie! – zagrmiał Rozbój.

– Błagam o przebaczenie, panienko. Jechała szybko jak cholera – powiedział Hamisz, który wyglądał w tej chwili tchórzliwiej niż jakikolwiek tchórz. – Zauważyła mnie i zawołała mgłę. Nie wiem, gdzie pojechała, ale na pewno na drugą stronę.

– Po drugiej stronie jest niebezpiecznie – rzekł powoli Rozbój. – Złe rzeczy tam się dzieją. I jest lodowato. Nie powinno się tam brać małego dziecka.

Na wzgórzach było upalnie, ale Akwila poczuła, jak robi jej się zimno. Żeby nie wiem jak było groźnie, pomyślała, ja się tam wybiorę. Nie mam wyjścia.

– Druga strona? – zapytała.

– Tak. Świat magii – wyjaśnił Rozbój. – Tam można spotkać... prawdziwe zło.

– Potwory?

– Wszystko, co tylko złego zdołasz wymyślić. Dokładnie to, co złego potrafisz wymyślić.

Akwila zamknęła oczy.

– Gorszego od Jenny? Gorszego niż jeździec bez głowy?

– To była tylko przygrywka. Po drugiej stronie jest kraina złych czarów, panienko. Kraina, w której sprawdzają się sny. Świat Królowej.

– Ale przecież to nie brzmi wcale... – zaczęła Akwila, lecz w tej chwili przypomniała sobie niektóre swoje sny, takie, z których obudzenie jest wybawieniem. – Nie mówimy tu o miłych snach, prawda? – upewniła się.

Rozbój potrząsnął głową.

– Nie, panienko. O tych innych.

A ja mam się z nimi zmierzyć z patelnią w dłoni i „Chorobami owiec”, pomyślała Akwila. Wyobraziła sobie małego Bywarta pomiędzy potworami. Które najprawdopodobniej nie miały żadnych cukierków.

– No dobrze – westchnęła. – Jak się tam dostać?

– A nie znasz drogi? – zapytał Rozbój.

Nie takiej odpowiedzi się spodziewała. Myślała raczej, że usłyszy: „Och, nie możesz tego zrobić, jesteś przecież małą dziewczynką, ani się waź!”. Właściwie nie tyle się tego spodziewała, ile miała nadzieję. A one zachowywały się, jakby to był po prostu doskonały pomysł...

– Nie, zupełnie nic o tym nie wiem! Niczego takiego wcześniej nie robiłam! Proszę,

pomóście mi.

– To prawda, Rozboju – odezwał się jeden z Figli. – Ona jest nowa w tym fachu. Weź ją do wodzy.

– Nawet babcia Dokuczliwa nigdy nie poszła zobaczyć się z wodzą w jej własnej grocie!

– zachnął się Rozbój. – To nie...

– Cicho! – uciszyła ich Akwila. – Nie słyszycie?

Figle rozejrzały się dookoła.

– Co mamy słyszeć?

Pomruk.

Mieli wrażenie, że murawa się porusza. Niebo stało się przezroczyste, jakby znaleźli się wewnątrz ogromnego diamentu. W powietrzu zapachniało śniegiem.

Hamisz wyciągnął z kamizelki fujarkę i zagrał. Akwila nic nie usłyszała, ale po chwili z nieba doszedł ich krzyk.

– Dam wam znać, co się dzieje! – wykrzyknął Hamisz i ruszył przez murawę. W biegu podniósł ręce w górę.

Przebierał nogami bardzo szybko, ale lot myszołowa był szybszy i ptak płynnie złapał go w biegu. Hamisz wspiał się po jego piórach, a myszołów, trzepocząc skrzydłami, już unosił się w górę.

Pozostałe Figle uformowały krąg wokół Akwili, tym razem wyciągnęły miecze.

– Jaki jest plan, Rozbój? – zapytał jeden z nich.

– Jak tylko widzimy cokolwiek, atakujemy. Zgoda?

Odpowiedział mu głośny aplauz.

– To świetny plan – oznajmił Głupi Jaś.

Na ziemi pojawił się śnieg. Nie pojawiał się w normalny sposób, spadając z nieba, raczej powstawał w wyniku procesu odwrotnego do topienia. Powstawał tak szybko, że Fik Mik Figle po chwili stały w śniegu po pas, a po jeszcze jednej – po szyję. Te mniejsze po prostu znikwały, spod bieli dochodziły tylko stłumione przekleństwa.

A potem pojawiły się psy. Stapały ciężko, idąc w stronę Akwili, z wyraźnie groźnymi zamiarami. Były wielkie, czarne, mocno zbudowane, miały ogromne pomarańczowe ślepia i już z oddali dochodziło ich głucho warczenie.

Sięgnęła do kieszeni fartuszka i wyciągnęła ropucha, który zamrugał w jasnym blasku.

– O co chodzi?

Akwila skierowała jego głowę w stronę nadchodzących stworów.

– Co to za psy? – zapytała.

– Piekielna sfora! Niedobrze! Oczy z ognia, a zęby z ostrzy sztyletów!

– Co powinnam w takiej sytuacji zrobić?

– Może mnie nie być tutaj?

– Wielkie dzięki. Bardzo mi pomogłeś. – Wpuściła go z powrotem do kieszeni i sięgnęła do torby po patelnię.

Wiedziała, że na niewiele to się zda. Czarne psy były naprawdę ogromne, miały płonące oczy, a gdy otwierały paszcze, widziała błysk stalowych ostrzy. Nigdy nie bała się żadnych psów, ale te wyszły prosto z najprawdziwszego koszmaru.

Były trzy, lecz tak nadchodziły, że choć obracała się w koło, mogła widzieć jednocześnie tylko dwa. Wiedziała, że zaatakuje ją najpierw ten z tyłu.

– Powiedz mi o nich coś więcej! – krzyknęła do ropucha.

– Straszą na cmentarzach! – odpowiedział głos z jej fartuszka.

– Dlaczego wszędzie leży śnieg?

– To miejsce stało się ziemią Królowej. A tam zawsze panuje zima. Siły, którymi rządzi Królowa, dotarły już tutaj.

Ale Akwila widziała kawałek dalej, poza kręgiem śniegu, zielone wzgórza.

Myśl... myśl!

Kraina Królowej. Tam żyją tylko potwory. Wszystko to, co przychodzi do ciebie w koszmarach. Psy z płonącymi oczami i stalowymi zębami. W prawdziwym świecie ich nie ma.

Teraz już widziała, jak z paszczy cieknie im ślina, wywalili czerwone jęzory, ciesząc się jej strachem. Ale część umysłu Akwili pracowała: To niezwykle, że ich zęby nie rdzewieją...

I ta sama część zapanowała nad jej nogami. Dziewczyna skoczyła pomiędzy dwa psy i ruszyła pędem ku odległej zieleni.

Usłyszała za sobą triumfalne warknięcie i odgłos łap biegnących po śniegu.

Zielone wzgórza wydawały się równie dalekie jak przed chwilą.

Słyszała za sobą krzyk praludków, potem warkot, który przeszedł w skomlenie, lecz to działo się za jej plecami. Wykonała skok z ostatniej zasy prosto na ciepłą zieloną murawę.

Jeden z psów dał susa za nią. Odsunęła się nagłym ruchem, kiedy Chapman, ale on już był w kłopotach.

Żadnego ognia w oczach, żadnego żelaza w zębach. Nie tutaj, nie w realnym świecie, na znajomej murawie. Tutaj pies był ślepy, a z jego paszczy kapła krew. Nie powinno się skakać, gdy ma się w ustach komplet sztyletów...

Akwili wręcz zrobiło się go żal, kiedy zaskowyczał z bólu, ale ponieważ wiedziała, że

łacha śniegu pełnie ku niej, walnęła psa z całej siły patelnią. Padł ciężko.

W śnieżnej zaspie rozgrywała się walka. Akwila widziała dwa ciemne kształty pośrodku, obracające się wokół i kłapiące w powietrzu zębami, a wokół nich wirujący rudy tuman.

Uderzyła w patelnię i zawołała psy. Jednym skokiem znalazły się przed nią, z uwieszonymi u swych uszu Figłami.

Śnieg sunął w stronę Akwili, która cofnęła się nieco, unosząc patelnię.

– Precz stąd! – wyszeptała.

Ich oczy zaśniły ogniem, potem psy spojrzały w dół na trawę. I zniknęły. Śnieg też zniknął.

Na wzgórzu stała tylko Akwila i Figle, które gromadziły się teraz wokół niej.

– Czy nie ci się nie stało, panienko? – zapytał Rozbój.

– Nic! – wykrzyknęła. – To było łatwe! Kiedy wyprowadzi się je ze śniegu, są po prostu psami!

– Lepiej stąd idźmy. Straciliśmy paru naszych.

Podniecenie nagle z niej wyparowało.

– Chcecie mi powiedzieć, że nie żyją? – wyszeptała.

Słońko znowu jasno świeciło, skowronki uwijały się na niebie... ale ludzie nie żyli.

– Och, nie – odparł Rozbój. – To my nie żyjemy. Nie wiedziałaś o tym?

Rozdział szósty.

Pasterka

– Nie żyjecie? – powtórzyła Akwila.

Rozejrzała się. Figle wzajemnie podnosiły się, narzekały, ale żaden nie rozpaczał. To, co powiedział Rozbój, wydawało się całkiem bez sensu.

– Jeśli myślicie, że wy nie żyjecie, to co powiesz o nich? – zapytała, wskazując kilka małych ciałek.

– Oni? Trafiają do krainy żywych – odparł radośnie Rozbój. – Nie jest tam tak dobrze jak tutaj, ale dadzą sobie radę i niedługo powrócą do nas. Nie ma się czym przejmować.

Dokuczliwi nie byli bardzo religijni, lecz Akwili wydawało się, że wie, jak sprawy się powinny toczyć, a całkiem podstawowa była świadomość, że się żyje i jeszcze nie umarło.

– Ależ wy żyjecie – nie poddawała się.

– Nie, panienko – zaprzeczył Rozbój, pomagając kolejnemu praludkowi podnieść się na nogi. – Kiedyś żyliśmy. A ponieważ byliśmy dobrymi chłopakami, to po śmierci odrodziliśmy się w tym miejscu.

– Chodzi wam... więc myślicie... że gdzie indziej umarliście i wtedy trafiliście tutaj? – usiłowała to sobie ułożyć Akwila. – Że to coś w rodzaju... nieba?

– Jasne. Zgodnie z obietnicami! – odparł Rozbój. – Słoneczko, mnóstwo miejsca do polowań, niebrzydkie kwiatki, żyje się całkiem tanio.

– I jest z kim walczyć! – wykrzyknął jeden z Figli. A inni dołączyli do niego:

– I jest gdzie kraść!

– Pić i bić!

– I są kebaby – dodał Głupi Jaś.

– Ale trafiają się tutaj też złe rzeczy – sprzeciwiła się Akwila. – Na przykład potwory!

– Jasne – przytaknął Rozbój pogodnie. – To wspaniałe, prawda? Wszystko zapewnione, nawet mamy z kim walczyć!

– Ale my tu żyjemy! – powiedziała Akwila.

– No cóż, może wy wszyscy też byliście dobrzy w poprzednim życiu – zgodził się dobrodusznie Rozbój. – Przepraszam, zbiorę moich ludzi, panienko.

Kiedy odszedł, Akwila wyciągnęła ropucha z kieszeni.

– No, no, przeżyliśmy – oświadczył. – Zdumiewające. A tak przy okazji, mamy bardzo solidne podstawy, by wytoczyć proces właścicielowi tych psów.

– Słucham? – Akwila marszczyła brwi. – O czym ty mówisz?

– Ja... ja... nie wiem – odparł ropuch. – Ta myśl po prostu pojawiła się w mojej głowie. Może znałem się na psach, kiedy byłem człowiekiem?

– Posłuchaj, Figle uważają, że są w raju. Sądzą, że przybyły tutaj po śmierci!

– I... ? – zapytał ropuch.

– No, to po prostu nie może być prawda. Tutaj się żyje, potem się umiera i trafia się do raju zupełnie gdzie indziej!

– Cóż, to jest mówienie tego samego, tylko w inny sposób, nie prawdaż? Wiele wojowniczych plemion uważa, że po śmierci dostaną się do krainy szczęśliwości. Wiesz, w takie miejsce, gdzie będą pić, walczyć i bawić się do woli. Więc może ten świat jest właśnie tym dla nich.

– Ale ten świat jest prawdziwy!

– Oni też tak uważają. Poza tym pamiętaj, że są naprawdę bardzo małe. Może wszechświat jest tak zatłoczony, że musiały sobie znaleźć raj tam, gdzie było na to miejsce? Jestem ropuchem, więc pozwól, że będę tylko spekulował. Może one się mylą. Ale może to ty się mylisz. Albo ja.

Mała stopa kopnęła Akwilę w but.

– Lepiej, panienko, żebyśmy stąd ruszali – powiedział Rozbój.

Trzymał nieżywego Figla przerzuconego przez ramię. Kilku innych też niosło ciała.

– Czy... zamierzacie ich pochować? – zapytała Akwila.

– Jasne, nie będą już potrzebować swoich starych ciał, a nieporządnie byłoby zostawić je tutaj – odparł Rozbój. – Poza tym gdyby duże dzieła znalazły małeńkie czaszki i kości, zaczęłyby się zastanawiać, a my nie chcemy, by ktokolwiek wtrącał się w nasze sprawy. Nie mówię oczywiście o obecnych, panienko – dodał.

– To jest bardzo... no... praktyczne podejście – westchnęła zrezygnowana.

Figiel wskazał odległy pagórek porośnięty na szczycie gęstwiną drzew. Wiele wzgórz tak właśnie wyglądało w okolicy. Drzewa korzystały z faktu, że na wzniesieniu warstwa gleby jest grubsza. Mówiło się, że ścinanie takich drzew sprowadza nieszczęście.

– Już niedaleko – powiedział Rozbój.

– Mieszkacie w jednym z kopców? – zapytała Akwila. – Myślałam, że tam są grobowce dawnych rycerzy.

– Zgadza się, po sąsiedzku leży sobie jakiś stary książ, ale bardzo grzeczny. Nie grzechocze szkieletem i nie straszy po nocach. Mamy tam całkiem przestronnie, zadbaliśmy o to.

Akwila podniosła wzrok na bezkresny błękit nieba nad bezkresną zielenią wzgórz.

Znowu panował spokój. To nie był świat, w którym znalazłoby się miejsce najeźdźców bez głowy i piekielne sfory.

Co by się działo, gdybym nie zaprowadziła wtedy Bywarta nad rzekę? – pomyślała. Co bym teraz robiła? Pewnie zajmowała się serem...

Nie wiedziałabym tego wszystkiego, nie wiedziałabym, że żyję w raju, choćby był to raj klanu błękitnych ludzików. Nie wiedziałabym nic o ludziach latających na myszołowach.

I nie zabijałabym potworów.

– Skąd one przychodzą? – zapytała. – Jak nazywa się miejsce, z którego przybywają tutaj potwory?

– Wydaje mi się, że znasz je bardzo dobrze – odparł Rozbój.

Zbliżali się już do kopca i Akwila poczuła zapach dymu.

– Naprawdę?

– Jasne. Ale nie wymówię tej nazwy na otwartej przestrzeni, jest to słowo, które można tylko wyszeptać w bezpiecznym miejscu. Nie powiem tego pod gołym niebem.

Było to za duże na norę królika, borsuki z pewnością również nie żyły tutaj, ale wejście do kopca znajdowało się pomiędzy korzeniami i nikomu nawet nie przyszłoby do głowy, że nie jest to legowisko jakiegoś zwierzęcia.

Akwila była bardzo szczupła, lecz musiała ściągnąć fartuszek i pełznąć na brzuchu, by dostać się do środka. A i tak nie dałaby rady, gdyby Figle jej nie popychały.

Ale przynajmniej nie pachniało brzydko, a wewnątrz była przestrzeń wielkości całkiem dużego pokoju. Od podłóg do sufitu znajdowały się galerie rozmiarów odpowiednich akurat dla Figli. Tam właśnie toczyło się życie praludków, które prały, szyły, kłóciły się i nawet, tu i ówdzie, wdawały w bójkę, a wszystko robiły głośno. Niektóre miały włosy i brody przetykane siwizną. Były też bardzo młode, całkiem malutkie, te biegały wszędzie zupełnie gołe, wykrzykując do siebie bez opamiętania. Akwila, która przez kilka lat zajmowała się

wychowywaniem Bywarta, wiedziała, o co w tym wszystkim chodzi.

Ale nie było wcale dziewczynek. Nie było Wolnych Ciutkobiet.

Nie... była jedna.

Gwarny tłum rozstał się, by ją przepuścić. Dopadła do kolan Akwili. Była ładniejsza niż męskie Figle, choć trzeba przyznać, że świat jest pełen stworzeń ładniejszych niż, powiedzmy, Głupi Jaś. Miała rude włosy, a na twarzy wyraz determinacji.

Pokłoniła się i powiedziała:

– Czy to ty jesteś wiedźmą z plemienia wielkich dzieł, panienko?

Akwila rozejrzała się. Była jedyną osobą w jamie mierzącą ponad siedem cali wzrostu.

– Hm, no tak – odezwała się. – Można tak rzec. Owszem.

– Nazywam się Fiona. Wodza kazała mi przekazać ci wiadomość, że małemu chłopcu nie stała się jeszcze żadna krzywda.

– Odnalazła go? – zapytała szybko Akwila. – Gdzie on jest?

– Nie, nie znalazła, ale zna się na Królowej. Ona nie chce się poruty.

– Ale wykradła go!

– To prawda. To jest skomplikowane. Odpocznij ciutchwilkę. Wodza chce cię niedługo widzieć. Nie ma teraz dość siły.

Fiona odwróciła się z szumem spódnicy i przemaszerowała po kredowej podłodze sama niczym królowa. Znikła za wielkim okrągłym kamieniem opartym o przeciwną ścianę.

Akwila, nie spuszczać z niej wzroku, delikatnie wyjęła ropucha z kieszeni i zbliżywszy go do swych warg, wyszeptała:

– Czy ja sięję porutę?

– Nie, raczej nie – powiedział ropuch.

– Ale powiesz mi, gdyby mi się to zdarzyło, dobrze? To byłoby okropne, gdyby wszyscy widzieli, że sięję porutę, a ja bym o tym w ogóle nie wiedziała.

– Nie masz pojęcia, o czym mówiła, tak?

– Niezupełnie.

– Nie chce tylko, żebyś się zdenerwowała, to wszystko.

– Tak właśnie myślałam – skłamała Akwila. – Czy mógłbyś zająć miejsce na moim ramieniu? Obawiam się, że mogę tutaj potrzebować pomocy.

Wszystkie Figle przyglądały jej się z zainteresowaniem, ale najwyraźniej nie pozostawało jej teraz nic, tylko czekać. Ostrożnie usiadła więc na ziemi, zabębniła palcami po kolanie.

– Co powiesz o naszym małym królestwie? – zapytał jakiś głos z dołu. – Wspaniale, prawda?

Rozbój w towarzystwie kilku innych praludków, które poznała już wcześniej, czał się nerwowo koło jej stóp.

– Bardzo... przytulne – powiedziała Akwila, bo to wydawało jej się uprzejmiejsze od „jakie okopcone” lub „jak cudownie hałaśliwe”. I dodała: – Gotujecie dla wszystkich na tym małym ognisku?

Na środku pomieszczenia znajdowało się niewielkie palenisko, nad nim był mały otwór w suficie, którym uchodził dym, a w zamian wpadało światło.

– Tak, panienko – odparł Rozbój.

– Tylko drobiazgi, takie jak króliki – dodał Głupi Jaś. – Dużą zdobycz pieczemy w kredowej pie... mmm... mmm.

– Przepraszam, ale nie do końca cię zrozumiałam – powiedziała grzecznie Akwila.

– Czego nie rozumiałaś? – zapytał Rozbój niewinnie, mocno przytrzymując szarpiącego się Jasia i zasłaniając mu dłonią usta.

– Co takiego powiedział o pieczeniu dużej zdobyczy w kredowej pieczarze. Czy ta duża zdobycz wydaje dźwięk zbliżony do „beee”? Wydaje mi się, że na tych wzgórzach nie spotyka się innych dużych zdobyczy!

Uklękła na brudnej podłodze i przysunęła twarz do twarzy Rozbója, który udając uśmiech, wykrzywił się jak szaleniec i obficie pocił.

– Co to jest?

– Och... no nie... tylko tak powiedział...

– Co to jest?!

– To nie tak, panienko! – Rozbój cały dygotał. – Nigdy nie wzięliśmy nic od Dokuczliwych poza owcami, które pozwalała nam wziąć babcia.

– Babcia pozwalała wam wziąć sobie owcę?

– Oczywiście, że pozwalała. Jako zapłatę!

– Zapłatę? Za co?

– Żadna owca należąca do rodziny Dokuczliwych nie została nigdy porwana przez wilka!

– wyliczał Rozbój jak katarynka. – Żaden lis nie zabrał nigdy żadnego jagnięcia, prawda? A od kiedy Hamisz patroluje niebo, nigdy też czarne ptaki nie zaatakowały waszych zwierząt.

Akwila zerknęła na ropucha.

– Wrony – odpowiedział. – Czasami wydłubują oczy.

– Tak, wiem, co robią. – Uspokoila się nieco. – Rozumiem. Trzymaliście wrony, wilki i lisy z daleka od babci, tak?

– Tak, panienko. I nie tylko odpędzaliśmy je! – oświadczył triumfalnie Rozbój. – Mięso

wilka jest bardzo smaczne.

– Kebab z wilka to pyszota, ale nie ma nic lepszego od jagnięciny – zdążył wtrącić Jaś, lecz zaraz znowu miał zasłonięte usta.

– Od wiedźmy bierze się tylko to, co sama daje – mówił dalej Rozbój, trzymając w silnym uścisku swego szarpiącego się brata. – Od kiedy odeszła, no cóż, zdarza nam się wziąć starą owcę, ale tylko taką, która i tak by niedługo wyciągnęła kopyta, i przysięgam na mój honor, że nigdy nie braliśmy tych ze znakiem Dokuczliwych.

– Przysięgasz na swój honor pijaka i złodzieja? – zapytała Akwila.

Rozbój aż rozpromienił się na te słowa.

– Oczywiście – oświadczył. – A moja reputacja w tym zakresie jest świetna, mam co chronić! Taka jest cała prawda, panienko. Ze względu na pamięć o babci Dokuczliwej pilnowaliśmy owiec, a w zamian braliśmy naprawdę byle co.

– No i tytoń oczy... mmm... mmm – kolejny raz Głupi Jaś nie mógł dokończyć zdania.

Akwila wzięła głęboki oddech, co nie było zbyt mądrym posunięciem, gdyż poziom zapachów wydzielanych przez Figle był wysoki. Rozbój próbował się uśmiechać, ale wychodziło mu to dość żałośnie.

– Zabieraliście tytoń? – wyszczała. – Tytoń, który pasterze zostawiali dla... mojej babci?

– No tak, o tym zapomniałem – wykrzeczał Rozbój. – Ale zawsze oczekiwaliśmy parę dni, na wypadek gdyby wróciła i sama go wzięła. Z wiedźmą nigdy nic nie wiadomo. I naprawdę pilnowaliśmy owiec, panienko. A ona by nie miała nam tego za złe, panienko. Często siadywały z wodzą przed jej domem i razem paliły. Nigdy by nie pozwoliła zmarnować się dobremu tytoniowi. Litości, panienko.

Akwila czuła ogromny gniew, a najgorsze w tym było, że czuła gniew na samą siebie.

– Kiedy znaleźliśmy zagubione jagnię, zawsze prowadziliśmy je w takie miejsce, by pasterze mogli je łatwo znaleźć – dodał zaniepokojony Rozbój.

A co ja myślałam? Że niby co się dzieje? – besztła samą siebie Akwila. Sądziłam, że ona wróci po paczkę tytoniu? Sądziłam, że ciągle spaceruje po tych wzgórzach, doglądając owiec? Myślałam, że ona... wciąż tu jest i opiekuje się jagniętami?

Tak. Chciałam, żeby to była prawda. Nie dopuszczałam do siebie myśli, że ona po prostu... odeszła. Ktoś taki jak babcia Dokuczliwa nie może po prostu... po prostu nie być. I tak bardzo chciałam, żeby wróciła, bo kiedy tu była, nie wiedziała, jak ze mną rozmawiać, a ja za bardzo się bałam, żeby mówić do niej, więc nigdy nie rozmawialiśmy i zamieniłyśmy ciszę w coś wspólnego.

Nic o niej nie wiem. Mam tylko kilka książek i pamiętam kilka historii, które próbowała

mi opowiadać, a ja nie rozumiałam. Pamiętam duże czerwone miękkie dłonie i ten zapach. Nigdy jej naprawdę nie znałam. Ona też kiedyś musiała mieć dziewięć lat. Nazywała się Sara Mazgaj. Wyszła za mąż i miała dzieci, dwoje. Mieszkała w szałasie dla pasterzy.

Musiała robić mnóstwo rzeczy, o których ja nie mam pojęcia.

I w umyśle Akwili pojawił się obraz, tak jak zawsze się pojawiał wcześniej lub później, figurka biało-niebieskiej pasterki z porcelany, wirująca w czerwonej mgłę wstydu...

Ojciec zabrał Akwilę na jarmark w mieście Yelp na jeden dzień przed jej siódmymi urodzinami. Mieli do sprzedania kilka baranów. Miasto dzieliło od ich osady dziesięć mil, nigdy wcześniej nie była tak daleko. Znajdowało się nawet poza Kredą. Wszystko wyglądało tam inaczej. Pola były ogrodzone, pasły się na nich krowy. Domy kryto dachówką, nie strzechą. Traktowała to jak podróż za granicę.

W drodze tata powiedział jej, że jadą dalej, niż kiedykolwiek była babcia Dokuczliwa, bo babcia nienawidziła opuszczać Kredę. Mówiła, że gdzie indziej kręci jej się w głowie.

To był cudowny dzień. Akwili było wprost niedobrze od cukierków, które kupował jej tata, stara wróżbiarka przepowiedziała jej przyszłość, a przede wszystkim to, że wielu, bardzo wielu mężczyzn będzie się starać o jej rękę. I wygrała pasterkę zrobioną z biało-błękitnej porcelany.

Była to główna nagroda w rzucaniu kółkiem. Tata Akwili twierdził, że to jedno wielkie oszustwo, bo słupek jest ustawiony tak, że można rzucać milion razy i się nie trafi. A ona rzuciła kółkiem raz i to był ten jeden raz na milion, kiedy kółko trafiło w odpowiednie miejsce. Właściciel nie był zbyt uszczęśliwiony, że musi się rozstać z główną nagrodą, chciał Akwili dać jedną z nic niewartych gumowych zabawek. Oddał pasterkę, dopiero gdy ojciec na niego huknął. Przez całą drogę powrotną na wozie Akwila mocno ją do siebie przytulała.

Następnego ranka z dumą wręczyła zdobycz babci Dokuczliwej. Stara kobieta wzięła pasterkę ostrożnie w pomarszczone dłonie i długo się jej przyglądała.

Teraz już Akwila wiedziała z całą pewnością, że to, co zrobiła, było okrutne.

Babcia Dokuczliwa z pewnością nigdy nie słyszała o pasterkach. Ci, którzy zajmowali się na Kredzie owcami, nazywani byli pasterzami i tyle. A to piękne stworzenie było zupełnie do babci Dokuczliwej niepodobne.

Porcelanowa pasterka miała na sobie staroświecką długą suknię z wybrzuszeniami po bokach, tak jakby przy majtkach miała boczne torby. Sukienkę zdobiły błękitne kokardki, podobnie jak strojny słomiany kapelusz i laskę pasterską, która miała tak powykrecaną rączkę

jak żadna pasterska laska, jaką Akwila kiedykolwiek widziała.

Nawet na buciku, który wystawał spod koronkowego obramowania sukni, też znajdowała się błękitna kokardka.

Pasterka na Kredzie wyglądała zupełnie inaczej, w znoszonych dużych starych butach, wypchanych wełną, wędrująca po wzgórzach w porywistym wietrze, z rękami zniszczonymi od śniegu i mrozu. Nigdy by w takiej sukience nie poradziła sobie z baranem, któremu w krzakach zaplątały się rogi. Ani podczas zawodów w strzyżeniu owiec, kiedy cięła nożycami przez siedem godzin, tnąc równo z najlepszymi, owca po owcy, aż powietrze było gęste od tłuszczu i wełny, a także od złorzeczeń, gdy kolejny mężczyzna odpadał, bo nie potrafił dotrzymać kroku babci Dokuczliwej. I żaden szanujący się pies pasterski nie podszedłby do niej. Nikt też nie przeszedłby się z dziewczyną, która ma torby przytroczone do majtek. To była śliczna figurka, ale wykonana przez kogoś, kto nigdy z bliska nie widział żadnej pasterki.

Co myślała o tym babcia Dokuczliwa? Akwila mogła tylko się domyślać. Wyglądała na szczęśliwą, bo do roli babci należy być szczęśliwą, kiedy wnuczka coś jej daje. Postawiła pasterkę na swojej półce, a potem wzięła dziewczynkę na kolana i nazywała ją swoim małym mendelkiem, trochę speszona, bo próbowała zachowywać się, jak na babcię przystało.

Czasami, kiedy babcia była na farmie, stawiała przed figurką i patrzyła na nią. Ale gdy tylko zauważała spojrzenie Akwili, udawała, że sięga po książkę.

Być może, myślała udręczona dziewczynka, babcia potraktowała to jako obrazę. Może myślała, że wnuczka chce jej pokazać, jak powinna wyglądać prawdziwa pasterka. Nie powinna być starą kobietą w ubłoconej sukni i dużych butach, ze starym workiem na ramionach jako ochrona przed deszczem. Pasterka powinna lśnić jak rozgwieżdżone nocne niebo. Akwila nie chciała tego, za nic tego nie chciała, ale może powiedziała w ten sposób babci, że nie jest taka, jak powinna być.

Kilka miesięcy później babcia umarła i od tego czasu wszystko toczyło się nie tak.

Urodził się Bywart, potem zniknął syn barona, a wreszcie nadeszła ciężka zima i pani Lucjanowa zamarzła w śniegu.

Akwila nie przestawała się martwić wspomnieniem pasterki. Nie potrafiła o tym rozmawiać. Zresztą wszyscy byli tacy zajęci, nikogo to nie interesowało. Wydawało się, że są nieustannie poirytowani. Powiedzieliby, że zamartwianie się głupią figurką jest po prostu... głupie.

Kilka razy miała ochotę ją rozbić, nie zrobiła tego tylko dlatego, że ludzie by to zauważyli.

Oczywiście teraz już nie dałaby babci czegoś tak nieodpowiedniego. Teraz była na to za dorosła.

Pamiętała, jak babcia uśmiechała się czasami dziwnie, gdy spoglądała na pasterkę.

Gdyby tylko kiedyś coś powiedziała. Ale babcia lubiła ciszę.

A teraz okazało się, że przyjaźniła się z małymi błękitnymi ludzikami, które pilnowały owiec, ponieważ ją lubiły. Akwila zamrugała oczami.

To miało sens. Ze względu na pamięć o babci Dokuczliwej ludzie zostawiali tytoń. I ze względu na pamięć o niej Fik Mik Figle pilnowały owiec. I choć nie było to magią, działało. Ale również oddalało babcię od niej.

– Głupi Jasiu – zagadnęła szamoczące się praludki. Z trudem powstrzymywała płacz.

– Mmmm?

– Czy to, co powiedział mi Rozbój, to prawda?

– Mmmm! – Brwi Jasia energicznie powędrowały w górę i w dół.

– Panie Figiel, czy byłby pan tak łaskaw zdjąć rękę z jego ust?

Jaś został uwolniony.

Wyglądał na prawdziwie przerażonego. Ściągnął z głowy czapkę i trzymał ją w dłoniach jak tarczę.

– Czy to wszystko prawda, Głupi Jasiu? – zapytała Akwila.

– Ojej, ojej, ojej...

– Po prostu tak lub nie, proszę.

– Tak. Tak właśnie było. Ojej, ojej...

– Dziękuję wam. – Akwila pociągnęła nosem, starając się po wstrzymać łzy. – Wszystko w porządku. Teraz rozumiem.

Figle przyglądały jej się uważnie.

– Nie masz zamiaru się za to gniewać? – zapytał Rozbój.

– Nie. To... ma sens.

Usłyszała, jak to, co powiedziała, odbija się echem w całej grocie, a setki małych ludzików wzdychają z ulgą.

– Ona nie zamierza zamienić mnie w formicę! – wykrzyknął uszczęśliwiony Głupi Jaś do pozostałych praludków. – Słuchajcie, chłopaki, rozmawiałem z małą wiedźmą i nie spojrzała na mnie krzywo, tylko się do mnie uśmiechnęła! – Cały rozpromieniony spojrzał na Akwilę i ciągnął dalej: – A czy wiesz, panienko, że kiedy odwróci się papier od tytoniu do góry

nogami, to kawałek kaptura żeglarza i jego ucho tworzą kobietę bez mmmm...

– A to znowu ja! Tak się składa, że byłem w pobliżu! – wykrzyknął Rozbój, zakrywając mu dłonią usta.

Akwila już miała coś powiedzieć, ale nie zdążyła, bo dziwnie zaświerzbiało ją w uszach.

Nietoperze obudziły się i czym prędzej wyleciały przez otwór w sklepieniu.

Kilku Figli uwijało się po drugiej stronie pomieszczenia. To, co Akwila wzięła za okrągły kamień, zostało odtoczone na bok, odsłaniając duży otwór.

Teraz usłyszała w uszach chlupotanie i poczuła się tak, jakby wypłynął z nich cały воск. Figle ustawiły się w dwa rzędy prowadzące do dziury.

Akwila nachyliła się do ropucha.

– Czy ja chciałabym wiedzieć, co to jest formica? – wyszeptwała.

– Tak biologowie nazywają mrówki – odparł ropuch.

– Och? Jestem... nieco zdziwiona. A co to za dźwięk, który świdruje mi w uszach?

– My, ropuchy, nie szcycimy się najlepszym słuchem. Ale najprawdopodobniej to ten Figiel, którego tam widać.

W otworze po drugiej stronie pomieszczenia ukazała się postać, którą otaczało jasnożółte światło.

Nowo przybyły miał włosy nie rude, lecz całkiem białe, jak na praludka odznaczał się całkiem wysokim wzrostem i był chudy niczym szczapka. Trzymał coś na kształt żołądka, z którego wystawały piszczalki.

– Coś takiego niewielu ludzi miało okazję zobaczyć i przeżyć – oświadczył ropuch. – On gra na mysich dudach!

– Świdruje mi w uszach! – Akwila próbowała nie widzieć dwóch mysich uszek sterczących z worka z piszczalkami.

– Wysokie dźwięki, co? Oczywiście praludki inaczej je słyszą niż ludzie. To prawdopodobnie ich bard.

– Chodzi ci o kogoś, kto układa pieśni o bohaterach i heroicznych czynach?

– Nie. Deklamuje poematy, które mają przerazić wroga. Pamiętasz, że dla Fik Mik Figli słowa mają ogromne znaczenie. Kiedy dobrze wytrenowany bard zaczyna recytację, uszy wrogowi odpadają. No, wygląda na to, że są gotowi...

Rozbój grzecznie poklepywał but Akwili.

– Wodza może cię teraz zobaczyć, panienko – powiedział.

Dudziarz przestał grać i teraz stał w pozie pełnej szacunku.

Akwila poczuła, że setki jasnych bystrych oczu spoczywa na niej.

- Specjalny Płyn dla Owiec – wyszeptał ropuch.
- Słucham?
- Weź ze sobą. To będzie dobry prezent!

Praludki patrzyły z uwagą, kiedy położyła się na podłogę i przepełzła przez dziurę z ropuchem skaczącym u jej boku. Gdy znalazła się bliżej, zrozumiała, że to, co brała za kamień, było okrągłą tarczą, zielono-błękitną, skorodowaną przez czas. Otwór, który tarcza zakrywała, był na tyle duży, by mogła się przezeń prześlizgnąć, ale musiała zostawić nogi na zewnątrz, bo brakło na nie miejsca. Po pierwsze, z powodu łóżka, w którym leżała woda. A po drugie, ponieważ całe pomieszczenie wypełnione było złotem.

Rozdział siódmy.

Pierwszorzędne patrzenie i dopuszczenie drugiej myśli

Błyskać, błyszczyć, świecić, lśnić...

Podczas długich godzin wyrabiania masła Akwila często myślała o słowach.

Przeczytała w słowniku, że „onomatopeja” to słowo brzmiące jak dźwięk, które oznacza. Na przykład „kuku”. Uważała jednak, że powinno istnieć słowo brzmiące jak dźwięk, jaki dana rzecz by wydawała, nawet jeśli tak naprawdę tego nie robi, ale gdyby robiła, to brzmiałoby właśnie tak.

Na przykład „błyskać”. Gdyby światło wydawało dźwięk, na przykład odbijając się od odległej szyby, brzmiałoby to „łysk!”. A światełka zapalane na choince, wszystkie te małe punkciki połączone razem, wydawałyby odgłos „świeć świeć”. „Świecenie” byłoby czystym gładkim odgłosem słyszonym z miejsca, które ma świecić przez cały dzień. A „błyszczyć” oznaczałoby miękki, wręcz lepiący się dźwięk czegoś intensywnego i tłustego.

W małej jaskini wszystko to działo się równocześnie. Palila się tu tylko jedna świeca, śmierdząca owczym łojem, ale złote talerze i kubki błyskały, błyszczały, świeciły, lśniły i odbijały ten blask. Tutaj nawet pachniało bogactwem.

Złoto otaczało łożo wodzy siedzącej na poduchach. Była o wiele, ale to naprawdę o wiele tęższa niż inne praludki, wyglądała jak zrobiona z okrągłych kawałków nieco zgniecionego ciasta wypieczonego na kolor orzechowy.

Kiedy Akwila wsuwała się do pomieszczenia, oczy wodzy były zamknięte, ale natychmiast się otworzyły, w momencie gdy dziewczynka przestała się poruszać. Było to najbardziej bystre spojrzenie, jakie Akwila w życiu napotkała, dużo bystrzejsze niż spojrzenie panny Tyk.

– A więc... to ty jesteś małą dziewczynką Sary Dokuczliwej? – za pytała wodza.

– Tak. To znaczy, chciałam powiedzieć, że owszem – odparła Akwila. Leżała na brzuchu i nie było jej zbyt wygodnie. – A pani jest wodzą?

– Owszem. To znaczy, chciałam powiedzieć, że tak. – W uśmiechu okrągła twarz wodzy stała się siateczką linii. – Jak ci na imię?

– Akwila, hmmm, wodzo.

Fiona pojawiła się z jakiejś dalszej części jaskini i usiadła na stołeczku przy łóżku, spoglądając na dziewczynkę z dezaprobatą. – Dobre imię, w naszym języku by brzmiało Woda – powiedziała wodza.

– Nie sędzę, by ktokolwiek myślał, że to imię...

– Och, to, co ludzie myślą, i to, co robią, to dwie różne rzeczy – stwierdziła wodza. Jej oczy lśniły. – Twój mały braciszek jest... bezpieczny, dziecko. Można powiedzieć, że tam, gdzie się teraz znajduje, jest bezpieczniejszy, niż był w całym swoim życiu. Nie ma dostępu do niego żadna choroba grożąca śmiertelnikom. Królowa nie pozwoli, by włos mu spadł z głowy. Ale w tym jest również niebezpieczeństwo. Pomóż mi podnieść się, dziewczyno.

Fiona natychmiast podskoczyła, by pomóc wodzy podciągnąć się wyżej na poduszkach.

– Co to ja mówiłam? – kontynuowała wodza. – Aha, mały chłopiec. Można powiedzieć, że jest mu całkiem dobrze tam, gdzie przebywa, w krainie Królowej. Ale trzeba pamiętać o rozpaczliwej matki.

– I ojca także – dodała Akwila.

– I jego siostrzyczki? – zapytała wodza.

Akwila czuła, jak słowa „Tak, oczywiście” automatycznie spływają jej na język.

Wiedziała też, że byłoby głupotą pozwolić wypłynąć im dalej. Ciemne oczy starej kobiety przewiercały jej umysł.

– Trzeba przyznać, że z ciebie urodzona wiedźma. – Wodza nie spuszczała z niej wzroku. – Masz to coś w sobie, co cię cały czas pilnuje, prawda? Przygląda się wszystkiemu z uwagą. To pierwszorzędne patrzeć i umiejętność dopuszczania drugiej myśli, czyli pewien mały dar i wielkie przekleństwo. Widzisz i słyszysz to, czego inni nie dostrzegają, świat otwiera przed tobą swoje sekrety, lecz zawsze będziesz się czuła jak osoba, która przyszła na przyjęcie i nawet dostała drinka, ale nie potrafi się włączyć do zabawy. To małe coś w tobie nie będzie potrafiło się nigdy zapomnieć. Jesteś kolejną w linii Sary Dokuczliwej, nie ma wątpliwości. Chłopcy przyprowadzili odpowiednią osobę.

Akwila nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, więc nie odpowiedziała nic. Poczuła się zakłopotana pod baczny wzrok wodzy.

– Dlaczego Królowa zabrała mojego brata? – zapytała wreszcie. – I dlaczego mnie prześladowa?

– Myślisz, że tak właśnie jest?

– Oczywiście! Jenny to jeszcze mógł być przypadek, ale jeździec bez głowy już nie. A potem piekielna sfera... No i porwanie Bywarta.

– Nachyliła swój umysł nad tobą – odparła wodza. – Kiedy tak się dzieje, niektóre fragmenty jej świata przedostają się do naszego. Może chce cię sprawdzić.

– Sprawdzić?

– Jak dobra jesteś. Jako wiedźma masz obowiązek strzec krawędzi i bram. Twoja babcia też to robiła, choć ona nigdy by się nie nazwała wiedźmą. Potem robiłam to ja, a teraz przekazuję obowiązki tobie. Jeśli Królowa chce zająć te ziemie, musi cię pokonać. Masz zdolność pierwszorzędnego patrzenia i dopuszczania drugiej myśli, tak jak twoja babcia. To bardzo rzadkie u wielkich dzieł.

– Nie masz czasem na myśli jasnowidzenia? – dopytywała się Akwila. – Niektórzy ludzie widują duchy i temu podobne...

– Och, nie. To akurat jest całkiem typowe dla wielkich dzieł. Pierwszorządne patrzenie polega na tym, że potrafisz widzieć rzeczy w ich prawdziwej postaci, a nie w takiej, którą ci się przedstawia. Widziałas Jenny, widziałas jeźdźca bez głowy i zobaczyłaś je jako realne istoty. Jasnowidztwo jest nudne, bo widzisz tylko to, co chcesz zobaczyć. Taką własność ma większość osobników twojego rodzaju. Posłuchaj mnie, bo gasnę, a jeszcze o wielu sprawach nie wiesz. Myślisz, że to jest jedyny świat? To dobre myślenie dla owcy albo śmiertelników, którzy nie otwierają szerzej oczu. Ponieważ prawda jest taka, że światów jest więcej niż gwiazd na niebie. Rozumiesz? Są wszędzie, duże i małe, tuż przy tobie. Wszędzie. Niektóre możesz zobaczyć, a innych nie, ale istnieją drzwi, Akwilo. To może być wzgórze albo drzewo, albo kamień, albo zakręt drogi, to może być myśl w twojej głowie, ale są wszędzie. Musisz się nauczyć je dostrzegać, ponieważ chodzisz wśród nich, a ich nie widzisz. A niektóre z nich są jak... trucizna.

Wodza jakiś czas milczała, wciąż patrząc na Akwilę, a wreszcie podjęła wątek:

– Zapytałaś, dlaczego Królowa porwała twojego braciszka. Królowa lubi dzieci. Nie ma własnych. I niekiedy któreś mocno ją chwyta za serce. Da malcowi wszystko, czego będzie chciał. Tylko to, co będzie chciał.

– Ależ on chce tylko słodczy! – wykrzyknęła Akwila.

– Naprawdę? A ty mu je dajesz? – zapytała wodza, jakby zaglądając przy tym w myśli dziewczynki. – Twój braciszek potrzebuje miłości, opieki, nauki i nawet tego, by od czasu do czasu usłyszeć „nie”. Tego potrzebuje, by wyrosnąć na silnego człowieka. Ale tego nie otrzyma od Królowej. Będzie dostawał słodczy. Bez końca.

Akwila pragnęła, by wodza przestała na nią patrzeć w ten sposób.

– Ale ja widzę, że mały chłopiec ma siostrę gotową ponieść wszelki trud, by go sprowadzić z powrotem – powiedziała mała staruszka, spuszczać wzrok. – Co za szczęściarz z niego. A ty wiesz, co znaczy być silną, prawda?

– Wydaje mi się, że tak.

– Dobrze. A czy wiesz, jak być słabą? Czy potrafisz się ugiąć przed sztormem? – Wodza uśmiechnęła się. – Nie, nie musisz mi na to odpowiadać. Małe piskłę zawsze musi wyskoczyć z gniazda, by sprawdzić, czy potrafi latać. Tak czy siak, widzę, że masz w sobie dużo z Sary Dokuczliwej, a nic, co ja bym powiedziała, nie potrafiło zmienić jej postanowienia, skoro już je powzięła. Nie jesteś jeszcze kobietą, ale to dobrze, bo tam, gdzie się wybierzesz, łatwiej być dzieckiem niż dorosłym.

– Świat Królowej? – Akwila usiłowała nadążyć.

– Tak. Potrafię go wyczuć, kładzie się nad naszym światem niby mgłą, jest tak blisko jak druga strona lustra. Ja już tracę siły. Nie mogę obronić tego miejsca. Oto moja propozycja: ja pokażę ci, jak trafić do Królowej, a ty zastąpisz mnie i zostaniesz wodzą.

Te słowa zdumiały nie tylko Akwilę. Fiona aż podskoczyła do góry, otworzyła usta, by zaprotestować, ale wodza tylko podniosła pomarszczoną dłoń.

– Jeśli się jest wodzą, dziewczyno, oczekuje się, że inni zrobią to, co każesz. Więc w ogóle ze mną nie dyskutuj. To jest moja propozycja, Akwilo. Lepszej nie dostaniesz.

– Ale ona nie może... – zaczęła Fiona.

– Czego nie może?

– Ona nie jest praludkiem, matko.

– To prawda, jest nieco większa – zgodziła się wodza. – Akwilo, nie martw się, to nie potrwa długo. Potrzebuję tylko, byś przez chwilę popilnowała spraw. Zaopiekowała się ziemią i chłopcami. Potem, kiedy już twój brat znajdzie się bezpiecznie w domu, Hamisz poleci w góry, by ogłosić, że klan z Kredowego Wzgórza potrzebuje nowej wodzy. To dobre miejsce i dziewczęta zjawiają się tu tłumnie. Co na to powiesz?

– Ona nie zna naszych obyczajów – protestowała dalej Fiona. – Jesteś przemęczona, matko.

– To prawda, jestem zmęczona – zgodziła się wodza. – Ale córka nie może rządzić klanem matki, wiesz o tym równie dobrze jak ja. Jesteś posłuszną dziewczyną, Fiono, ale już czas, byś wybrała swego strażnika i ruszyła na poszukiwanie własnego klanu. Nie możesz tu pozostać. – Spojrzała znowu na Akwilę. – Zrobisz to? – Wyciągnęła w jej stronę kciuk wielkości łebka zapalki i czekała.

– Co będę musiała robić? – zapytała Akwila.

– Myśleć – odparła wodza, wciąż wyciągając palec. – Moi synowie to dobre chłopaki, nie ma odważniejszych od nich. Ale uważają, że głowy najlepiej sprawdzają się w walce jako broń. Tacy już są mężczyźni. My, praludki, nie przypominamy was, dużych ludzi. Czy masz wiele siostr? Fiona nie ma żadnej. Jest moją jedyną córką. Wodza jest szczęśliwa, jeśli uda jej się urodzić w czasie całego życia choć jedną córkę, ale może mieć setki synów.

– To wszystko twoi synowie? – Akwila była zaszokowana.

– O tak – uśmiechnęła się wodza. – Poza kilkoma braćmi, którzy przybyli tu wraz ze mną. Och, nie dziw się tak. Dzieci, kiedy się rodzą, są naprawdę malutkie, jak groszki. A potem bardzo szybko rosną. – Westchnęła. – Choć czasami myślę sobie, że mózgi dostają tylko dziewczynki. To dobre chłopaki, ale żadni z nich myśliciele. Będiesz musiała pomóc im pomóc tobie.

– Matko, ona nie może przejąć wszystkich obowiązków wodzy! – zaprotestowała Fiona.

– Nie bardzo rozumiem, dlaczego nie, jeśli dowiem się, na czym one polegają – odparła Akwila.

– Nie rozumiesz? – powtórzyła ostro Fiona. – No, no, to zaczyna być bardzo interesujące.

– Pamiętam, jak Sara Dokuczliwa opowiadała o tobie – powiedziała wodza. – Mówiła, że jesteś dziwnym dzieckiem, potrafisz patrzeć i słuchać. Że masz głowę pełną słów, których nigdy nie wypowiadasz głośno. Zastanawiała się, co z ciebie wyrośnie. Czas się tego dowiedzieć, prawda?

Świadoma, że Fiona patrzy na nią z gniewem, i może głównie z powodu tego spojrzenia, Akwila polizała swój kciuk i przytknęła go delikatnie do kciuka wodzy.

– Postanowione – oświadczyła wodza i w tej samej chwili osunęła się na poduszki.

Nagle wyglądała na dużo mniejszą. Twarz miała jeszcze bardziej pomarszczoną niż wcześniej. – Niech nikt nie powie, że pozostawiłam swoich synów bez wodzy, która się nimi za opiekuje – wyszeptała. – Teraz mogę wrócić do Ostatniego Świata. Od tej chwili Akwila jest wodzą, Fiono. W jej domu będziesz robiła to, co ona ci każe.

Fiona spuściła wzrok na swoje stopy. Akwila widziała jej gniew. Wodza zapadała się w sobie. Przywołała bliżej Akwilę i wyszeptała:

– Dokonane. A teraz moja część układu. Posłuchaj. Znajdź... miejsce, gdzie nie pasuje czas. To będzie droga, ona ci zaświeci. Przyprowadź brata z powrotem, by ukoić biedne serce twojej matki, a może i twoją głowę...

Jej głos cichł. Fiona pochyliła się szybko nad łóżkiem. Wodza pociągnęła nosem. I otworzyła jedno oko.

– Nie tak szybko – mruknęła do Fiony. – Czy ja czasami nie czuję Specjalnego Płynu dla

Owiec, wodzo?

Akwila przez chwilę nie rozumiała pytania, po czym ocknęła się.

– Och, tak. Mam go. Jest... tutaj...

Stara wodza podźwignęła się na łóżku.

– Najlepsze co ludzie kiedykolwiek stworzyli – oznajmiła. – Poproszę o solidną kropelkę, Fiono.

– Od tego rosną włosy na piersiach – lojalnie uprzedziła Akwila.

– No cóż, dla kropli Specjalnego Płynu dla Owiec zrobionego przez Sarę Dokuczliwą jestem w stanie zaryzykować nawet spory loczek – odparła staruszka.

Wzięła z rąk Fiony kubeczek wielkości naparstka i wyciągnęła go do nalania.

– Nie sądzę, by to ci posłużyło, matko – odezwała się Fiona.

– Pozwolisz, że tym razem ja to osądzę – powiedziała wodza. – Kropelkę przed podróżą, wodzo Akwilo.

Akwila przechyliła leciutko butelkę. Wodza potrząsnęła głową z irytacją.

– Chodziło mi o większą kropkę – oświadczyła. – Wodza powinna mieć szczodre serce.

Wypiła więcej niż łyżek, choć mniej niż łyk.

– Och, wiele czasu upłynęło od ostatniego razu, kiedy to piłam – powiedziała. – Gdy siedzieliśmy z twoją babcią zimną nocą przy ogniu, zdarzało nam się pociągnąć z tej buteleczki...

Akwila widziała to wyraźnie w swojej wyobraźni, babcia Dokuczliwa i ta mała gruba kobieta siedzące przy pękatym piecyku w chacie na kołach, a wokół wzgórza i śpiące na trawie owce pod rozgwieżdżonym niebem...

– Widzisz to, prawda? – zapytała wodza. – Czuję twój wzrok. To jest właśnie pierwszorzędne patrzenie. Fiono, idź przyprowadź Rozbója i barda Williama.

– Wielkie dzieło blokuje przejście – odpowiedziała Fiona posępnie.

– Widzę, że jest dość miejsca, byś tam przeszła – stwierdziła stara wodza bardzo spokojnie, ale w jej głosie czaiła się nadchodząca burza, na wypadek gdyby łagodna prośba nie została spełniona.

Fiona, rzuciwszy Akwili spojrzenie pełne gniewu, przeszła przez otwór.

– Czy znasz kogoś, kto hoduje pszczoły? – zapytała wodza. Kiedy Akwila potaknęła głową, stara kobieta mówiła dalej: – W takim razie zrozumiesz, dlaczego nie mamy więcej córek. Nie można mieć w ułach dwóch królowych, skończyłoby się to wojną. Fiona musi wybrać kilku braci, którzy zdecydują się jej towarzyszyć, i iść w poszukiwaniu klanu potrzebującego wodzy. Tak to się u nas dzieje. Ona sądzi, że mogłoby być inaczej,

dziewczęta często chcą zmieniać stare zwyczaje. Musisz na nią bardzo uważać.

Akwila poczuła, że ktoś się koło niej przeciska i w pokoju pojawił się Rozbój wraz z bardem. Za sobą usłyszała hałasy i szepty. Gromadziła się tam reszta klanu.

Kiedy zapanował jako taki spokój, stara wodza się odezwała:

– Nie jest dobrze, kiedy klan zostaje bez wodzy nawet na godzinę. Tak więc Akwila zostanie nią, zanim nadejdzie inna. – Popatrzyła na barda Williama. – Czy nie myłę się, że bywało już tak wcześniej?

– Tak. Pieśni opowiadają o dwóch takich przypadkach – odparł William. Zmarszczył brwi i dodał: – A właściwie można powiedzieć, że o trzech, jeśli weźmiemy pod uwagę czas, gdy Królowa była...

Przerwał mu krzyk dochodzący zza Akwili.

– Nie mamy króla! Nie mamy królowej! Nie mamy pana! Nie damy się znowu oszukać!

Stara wodza podniosła dłoń:

– Akwila jest potomkinią babci Dokuczliwej. Wszyscy ją znaleźliśmy.

– Tak, matko. Widzieliśmy też, jak ciutwiedźma patrzyła w oczy jeźdźcowi bez głowy – powiedział Rozbój. – Niewielu ludzi to potrafi.

– A ja byłam waszą wodzą przez siedemdziesiąt lat i nie możecie sprzeciwiać się moim słowom – oświadczyła stara wodza. – Tak więc wybór został dokonany. Każę wam również pomóc wykraść małego braciszka z powrotem. To macie zrobić ze względu na pamięć o mnie i Sarze Dokuczliwej.

Opadła znowu na łóżko i dodała ciszej:

– A teraz chcę, by bard zagrał „Moje piękne kwiaty”, i żegnam was z nadzieją, że zobaczymy się wszyscy w Ostatnim Świecie. Do Akwili mówię: Bądź ostrożna. – Wodza westchnęła głęboko. – Czasami opowieści są prawdziwe, a w pieśniach opiewa się to, co się wydarzyło naprawdę.

Stara wodza zamilkła. Bard William nadął worek swoich mysich dud i dmuchnął w piszczałkę. Akwila poczuła świerzbiecie w uszach od dźwięków zbyt wysokich dla człowieka.

Po chwili Fiona pochyliła się nad łóżkiem matki i wybuchnęła płaczem.

Rozbój odwrócił się do Akwili. Jego oczy także były pełne łez.

– Czy mogę cię prosić, wodza, byś przeszła do głównej komnaty? – zapytał cicho. – Mamy tu teraz coś do zrobienia, wiesz, jak to jest...

Skinęła głową i z wielką ostrożnością, czując, jak praludki usuwają jej się z drogi, wycofała się do głównego pomieszczenia groty. Znalazła kąt, gdzie nikomu nie

przeszkadzała, i usiadła tam, opierając się plecami o ścianę.

Spodziewała się wielu „ojjku, ojajku, ojajku!”, ale najwyraźniej śmierć wodzy była czymś zbyt poważnym na takie zawrodożenia. Niektóre Figle płakały, inne wpatrywały się gdzieś niewidzącym wzrokiem, a kiedy wieść się rozchodziła, w pomieszczeniu zapanowała pełna rozpacz cisza...

... w dniu, kiedy umarła babcia Dokuczliwa, na wzgórzach panowała cisza.

Każdego poranka ktoś zanosił babci świeży chleb, mleko i jedzenie dla psów. Nie chciała, by przychodzili codziennie, lecz Akwila podsłuchiwała rozmowę rodziców, gdy jej tata mówił, że muszą mieć teraz oko na mamę.

Tego dnia przypadła kolej na Akwilę, która nigdy nie traktowała wyprawy na wzgórze jak przykrego obowiązku. Lubiła to.

Zauważyła ciszę. Nie była to normalna cisza, którą wypełnia tysiące małych odgłosów, ale posępne milczenie całej przyrody.

I wtedy już wiedziała, zanim jeszcze weszła przez otwarte drzwi i znalazła, babcię leżącą w wąskim łóżku.

Otulał ją chłód. Można go było wręcz usłyszeć – był jak wysoka, ostra nuta. Miał też głos. Jej własny głos, który mówił: Już za późno, na nic ły, już nic nie można powiedzieć, teraz trzeba zrobić to, co należy...

Nakarmiła psy, które cierpliwie czekały na śniadanie. Pomogłoby, gdyby zrobiły coś psiego, gdyby skomlały albo lizały babcię po twarzy, ale one nic takiego nie robiły. A Akwila wciąż słyszała ten głos w swojej głowie: Żadnych łez, nie płacz. Nie płacz po babci Dokuczliwej.

I teraz, we własnej głowie, przyglądała się sobie samej, tylko nieco mniejszej, krążącej wokół chaty na kołach, poruszającej się niczym mała kukielka...

Wysprzątała dom. Poza łóżkiem i piecem niewiele tu było. Wieszak na ubrania, duża beczka na wodę i pudło na jedzenie, to wszystko. No i oczywiście wszędzie walały się przedmioty związane z owcami, miseczki, butelki, smoczki, noże i nożyce – ale nie było nic, co by powiedziało, że żył tu jakiś człowiek, chyba że setki papierków po tytoniu Wesoły Żeglarz przypiętych do jednej ze ścian.

Zabrała wtedy jeden z papierków – nadal leżał w domu pod jej materacem – i przypomniała sobie opowieść.

Bardzo rzadko się zdarzało, by babcia powiedziała więcej niż jedno zdanie. Używała słów oszczędnie, jakby wiele kosztowały. Ale pewnego dnia, kiedy Akwila przyniosła na wzgórze jedzenie, babcia opowiedziała jej historię. Coś w rodzaju historii. Rozwinęła tytoń, przyjrzała

się papierkowi, po czym spojrzała na wnuczkę tym swoim nieco zdziwionym spojrzeniem i powiedziała:

– Tysiące razy patrzyłam na to opakowanie i nigdy nie zauważyłam jego łodzi.

Oczywiście Akwila podbiegła, żeby spojrzeć, ale też nie dostrzegła żadnej łodzi, podobnie jak nie widziała nagiej kobiety.

– Bo łódź jest tam, gdzie nie możesz jej zobaczyć – wytłumaczyła babcia. – Żeglarz płynie łodzią, goniąc po morzu wielkiego białego wieloryba. Ściga go przez cały czas. Wieloryb jest wielki jak Kreda, tak słyszałam. Piszą o tym w książce.

– Dlaczego on go goni? – zapytała Akwila.

– Aby go złapać – odpowiedziała babcia. – Ale to się nie stanie nigdy, ponieważ świat jest okrągły jak wielki talerz i morze tak samo, więc ściga jeden drugiego, i to jest tak, jakby gonił sam siebie. Niech cię nigdy nie ciągnie nad morze, mendelku. Tam się zdarza ją najgorsze rzeczy. Każdy ci to powie. Pozostań tutaj, bo masz te wzgórza w swych kościach.

I to wszystko. To był ten jeden z bardzo niewielu razy, kiedy babcia Dokuczliwa powiedziała do Akwili coś, co nie dotyczyło w jakiś sposób owiec. I był to jedyny raz, kiedy wspomniała, że istnieje jakiś świat poza Kredą. Akwila śniła potem o wesołym żeglarzu, który ściga na swej łodzi wieloryba. A czasami wieloryb ścigał ją, ale zawsze wtedy się zjawiał wesoły żeglarz na wielkiej łodzi i pogoń zaczynała się od nowa.

Czasami biegła do latarni morskiej, lecz budziła się zawsze w momencie, gdy otwierały się przed nią drzwi. Nigdy nie widziała morza. Jeden z sąsiadów miał stary obraz na ścianie, który przedstawiał mężczyzn trzymających się z całych sił tratwy płynącej po czymś, co wyglądało jak wielkie jezioro z falami. Ale latarni morskiej nie umiała tam wypatrzeć.

Akwila usiadła na wąskim łóżku i rozmyślała o babci Dokuczliwej i o małej dziewczynce, Sarze Mazgaj, która starannie pokolorowała kwiatki w książce, i o tym, że jej świat stracił swoją oś.

Brakowało jej ciszy. Cisza, która panowała teraz, nie była już tą samą ciszą, którą była wcześniej. Cisza babci była pełna ciepła i przyjmowała cię do siebie. Babcia Dokuczliwa miała czasami kłopot, by pamiętać, czym dzieci różnią się od jagniąt, ale wnuczka zawsze była mile widziana w obszarze jej ciszy. I jedyne, co trzeba było tam wnieść, to własną ciszę.

Akwila tak bardzo chciała by przeprosić babcię za pasterkę.

A potem poszła do domu powiedzieć wszystkim, że babcia umarła. Miała siedem lat i jej świat się skończył.

Ktoś grzecznie pukał w jej but. Otworzyła oczy i ujrzała ropucha, który trzymał w ustach mały kawałek skały. Wypłuł go.

– Przepraszam za to – powiedział. – Powinienem użyć ręki, ale jesteśmy bardzo miękkimi stworzeniami.

– Co powinnam zrobić? – zapytała Akwila.

– No cóż, jeśli uderzysz się głową o ten niski sufit, możesz żądać zadośćuczynienia – oświadczył ropuch. – Ojej... czy ja to właśnie powiedziałem?

– Tak, ale mam nadzieję, że żałujesz. Skąd ci to przyszło do głowy?

– Nie mam pojęcia. Nie mam pojęcia – jęczał ropuch. – Przepraszam, ale o czym właściwie rozmawialiśmy?

– Chciałabym wiedzieć, co praludki chcą, żebym zrobiła teraz?

– Och, nie sądzę, by to się tak odbywało – rzekł ropuch. – To ty jesteś wodzą. I to ty mówisz, co powinno zostać zrobione.

– Dlaczego Fiona nie może być wodzą? Ona jest praludkiem!

– W tym względzie nie mogę ci pomóc – odparł ropuch.

– Czy ja mogę służyć pomocą? – zapytał głos tuż przy uchu Akwili.

Odwróciła głowę i na jednej z galerii biegnącej wokół pieczary ujrzała barda Williama.

Z bliska widać było, że wygląda inaczej niż pozostałe Figle. Włosy miał starannie uczesane i związane w kucyk. Nie miał też tak wielu tatuaży. Poza tym inaczej mówił, wolniej i bardziej zrozumiale, przy czym gdy wymawiał „r”, brzmiało to tak, jakby bił werbel.

– O tak – poprosiła Akwila. – Dlaczego Fiona nie może być tutaj wodzą?

William pokiwał głową.

– Dobrrre pytanie – odparł grzecznie. – Dlatego że wodza nie może połączyć się wparrrrrę ze swoim brrrratem. Musi znaleźć jakiś inny klan i tam poślubić wojownika.

– W takim razie dlaczego ten wojownik nie może przyjść z nią tutaj?

– Ponieważ Figle z tego klanu nie znają go i nie darzyłyby go rrrrrrespektem – w ustach Williego „respekt” zabrzmiał jak spadająca lawina.

– No dobrze... co to było na temat Królowej? Miałeś zamiar coś powiedzieć, ale ci przerwali.

William spojrzał na nią zakłopotany.

– Nie sądzę, bym mógł o tym teraz mówić.

– Ja jestem czasowo wodzą – oświadczyła wyniośle Akwila.

– Oczywiście. Był taki czas, kiedy żyliśmy w świecie Krrrrólowej i służyliśmy jej. To

było, jeszcze zanim stała się tak zimna. Ale ona nas oszukała, więc zorrrrganizowaliśmy rrrrebelię. Mrrrrocne czasy. Ona nas nie lubi. I to wszystko, co mam w tej sprrrrawie do powiedzenia.

Akwila przyglądała się Figlom, które wchodziły i wychodziły z komnaty wodzy. Coś się tam działo.

– Pochowają ją w innej części kopca – rzekł niepytany William. – Tam gdzie spoczywają inne wodze naszego klanu.

– Myślałam, że będą bardziej... hałaśliwe – zauważyła Akwila.

– Była ich matką – odparł William. – Nie chcą zgielku. W ich serrrrcach jest zbyt wiele słów. Potem urządzimy czuwanie przy zwłokach, by pomóc jej wrrrrócić do świata żywych, i wtedy będzie naprrrrawdę głośno, zobaczysz. Będziemy tańczyć do melodii „Diabeł pomiędzy prrrrawnnikami”, jeść i pić, i idę o zakład, że potem będą mieli kaca wielkiego jak owca. – Uśmiechnął się przelotnie. – Ale na rrrrazie każdy z nas wspomina ją w milczeniu. Nasza żałoba jest inna niż wasza. My żałujemy, że nie możemy jeszcze za nią podążyć.

– Czy ona była także twoją matką? – zapytała cicho Akwila.

– Nie, była moją siostrrrrą. Nie mówiła ci, że kiedy wodza idzie do nowego klanu, zabierrrra ze sobą kilku brrrraci? Jej serrrrce nie wytrzymałoby samotności, gdyby znalazła się wśrrrród obcych. – Bard westchnął. – Oczywiście po jakimś czasie, kiedy wodza już poślubi wojownika, klan jest pełen jej synów i przestaje być taka samotna.

– Dla ciebie musiało to być trudne – powiedziała Akwila.

– Szybko łapiesz – stwierdził William. – Jestem ostatnim z tych, którzy z nią przyszli. Gdy będzie po wszystkim, poprrrroszę nową wodzę, by pozwoliła mi wrrrrócić w górrrry do moich braci. To jest miła tłusta krrrraina i moi siostrzeńcy są prrrrawdziwymi twarrrrrdzielami, ale chciałbym umrzeć tam, gdzie się urrrrodziłem. A terrrraz pozwól, że przeproszę cię na chwilę, wodzo...

I odszedł.

Akwila nagle zapragnęła wrócić do domu. Może tak na nią podziałał smutek Williama, ale teraz poczuła się w kopcu zamknięta.

– Chcę stąd wyjść – szepnęła.

– Świetny pomysł – przytaknął ropuch. – Musisz teraz znaleźć miejsce, gdzie czas płynie inaczej.

– Ale jak mam to zrobić? – jęknęła. – Czasu przecież nie widać.

Złapała dłońmi za krawędzie wejścia do pieczary i wydostała się na świeże powietrze.

Na farmie mieli wielki stary zegar, który raz na tydzień był ustawiany na właściwą

godzinę. Kiedy jej ojciec był na jarmarku w Creel Springs, zapisywał sobie położenie wskazówek wielkiego zegara na wieży, a gdy przyjeżdżał do domu, ustawiał wskazówki zegara w takich samych pozycjach. Ale i tak było to tylko na pokaz, bo każdy kierował się słońcem, słońce nie mogło pokazywać złego czasu.

Akwila leżała pomiędzy korzeniami, nad nią jednostajnie szumiały liście. Kopiec był niczym wyspa na nieskończoności murawy. W zaciszu stwarzanym przez korzenie rosły tu późne pierwiosnki i nawet trochę naparstnicy. Fartuszek leżał tam, gdzie go zostawiła.

– Mogła mi po prostu powiedzieć, gdzie mam szukać – oświadczyła Akwila.

– Ależ ona sama nie miała pojęcia – odparł ropuch. – Wiedziała tylko, jakimi znakami należy się kierować.

Akwila przetoczyła się na plecy i spojrzała na niebo przeświecające pomiędzy gałęziami. Wodza powiedziała, że będzie świecić...

– Powinnam porozmawiać z Hamiszem – zdecydowała.

– Oczywiście, panienko – rozległ się głos tuż przy jej uchu.

Odwróciła głowę.

– Od jak dawna jesteś tutaj? – zapytała.

– Przez cały czas, panienko – oświadczył praludek. Inne również wystawiły głowy zza drzewa i spomiędzy liści. Było ich tu co najmniej dwudziestu.

– Cały czas mnie pilnowaliście?

– Oczywiście, panienko. Naszym zadaniem jest pilnowanie wodzy. Poza tym ja i tak większość czasu spędzam na zewnątrz, ponieważ uczę się na barda. – Młody Figiel pochwalił się swymi mysimi dudami. – A oni nie pozwalają mi grać tam na dole, bo twierdzą, że wydaję dźwięki niczym pajak starający się pierdzić uszami, panienko.

– Ale co by się stało, gdybym chciała spędzić... mieć... pójść do... Co by się stało, gdybym powiedziała wam, że nie chcę być pilnowana?

– Jeśli mówisz o wołaniu natury, panienko, odpowiednie miejsce znajduje się tam w dziurze. Musisz tylko powiedzieć nam, gdzie idziesz, i nikt nie będzie podglądał, masz na to nasze słowo – powiedział towarzyszący jej Figiel.

– Jak ci na imię? – zapytała.

– Nie-tak-duży-jak-Sredniej-Wielkości-Jock-ale-większy-niż-Ciut-Jock-Jock, panienko. Bo widzisz, Figle nie mają aż tylu imion i musimy się nimi dzielić.

– No dobrze, Nie-tak-duży-jak-mały-Jock... – zaczęła Akwila.

– To byłby Średniej-Wielkości-Jock, panienko – powiedział Nie-tak-duży-jak-Średniej-Wielkości-Jock-ale-większy-niż-Ciut-Jock-Jock.

– No dobrze. Nie-tak-duży-jak-Średniej-Wielkości-Jock-ale-większy-niż-Ciut-Jock, chciałabym...

– Nie-tak-duży-jak-Średniej-Wielkości-Jock-ale-większy-niż-Ciut-Jock-Jock, panienko – powiedział Nie-tak-duży-jak-Średniej-Wielkości-Jock-ale-większy-niż-Ciut-Jock-Jock. – Umknął ci jeden Jock – dodał pomocnie.

– Nie byłbyś szczęśliwszy, nazywając się na przykład Henry? – zapytała bezradnie Akwila.

– O nie, panienko. – Nie-tak-duży-jak-Średniej-Wielkości-Jock-ale-większy-niż-Ciut-Jock-Jock się skrzywił. – Takie imię nie ma wcale historii. Ale żyło wielu dzielnych wojowników o imieniu Nie-tak-duży-jak-Średniej-Wielkości-Jock-ale-większy-niż-Ciut-Jock-Jock. To jest prawie tak słynne imię jak sam Ciut-Jock. No i kiedy Ciut-Jock zostanie zabrany do Ostatniego Świata, wtedy ja otrzymam imię Ciut-Jock, co oczywiście nie znaczy, że nie podoba mi się imię Nie-tak-duży-jak-Średniej-Wielkości-Jock-ale-większy-niż-Ciut-Jock-Jock. Istnieje wiele wspaniałych opowieści o wojownikach o imieniu Nie-tak-duży-jak-Średniej-Wielkości-Jock-ale-większy-niż-Ciut-Jock-Jock – dodał z zapalem i Akwila nie miała serca, by mu powiedzieć, że to musiały być naprawdę bardzo długie opowieści.

Zamiast tego poprosiła tylko:

– No więc... chciałabym porozmawiać z lotnikiem Hamiszem.

– Nie ma problemu – oświadczył Nie-tak-duży-jak-Średniej-Wielkości-Jock-ale-większy-niż-Ciut-Jock-Jock. – Jest tuż nad nami.

I zniknął. Chwilę później Akwila usłyszała, a raczej poczuła w uszach gwizd Figla.

Wyciągnęła z kieszeni fartuszka dość zmaltretowane już „Choroby owiec”. Ostatnia strona książki była pusta. Wyrwała ją, czując się jak kryminalistka, i znalazła ołówek.

+++++

Czytała swój liścik z uwagą, kiedy usłyszała nad głową łopot skrzydeł. Potem doszedł ją warkoczący odgłos, a wreszcie cichy, zmęczony i nieco stłumiony głosik powiedział:

– Na litość...

Podniosła wzrok na murawę. Hamisz tkwił do góry nogami o kilka stóp od niej. Jego ręce z deszczułkami były szeroko rozpostarte.

Wyciągnięcie go z ziemi zabrało trochę czasu. Ponieważ wylądował na głowie, a był wprowadzony w ruch obrotowy, teraz trzeba go było wykręcić w drugą stronę, aby nie stracił w tej przygodzie uszu.

Kiedy był już ustawiony jak należy, choć jeszcze nieco się chygotał, zapytała:

– Czy mógłbyś owinąć tym listem kamień i rzucić go przed farmą mojej rodziny, tak by

ludzie go znaleźli?

– Oczywiście, panienko.

– I... czy... to boli cię, kiedy lądujesz w taki sposób?

– Nie, panienko, ale to bardzo krępujące.

– W takim razie może ci pomóc pewna zabawka, którą posługują się ludzie – powiedziała Akwila. – Robisz coś w rodzaju... torby na powietrze...

– Torby na powietrze – powtórzył zdziwiony awiator.

– No cóż, wiesz przecież, jak wiszące na sznurach pranie wydyma wiatr. Musisz więc zrobić torbę z materiału, przywiązać do niej kilka sznurków, a do tych sznurków kamień. Kiedy wyrzucisz to, będąc w górze, torba napęlni się powietrzem, a kamień spowoduje, że będzie spadać w dół.

Hamisz wpatrywał się w nią bez słowa.

– Rozumiesz to, co do ciebie mówię? – zapytała.

– O tak, ja tylko czekam, czy chcesz mi powiedzieć coś jeszcze – odparł grzecznie Hamisz.

– Czy myślisz, że mógłbyś, hm, pożyczyć gdzieś odpowiedni kawałek materiału?

– Nie, panienko, ale wiem dobrze, skąd go mogę ukraść – odparł Hamisz.

Postanowiła nie komentować tej odpowiedzi. Zamiast tego zapytała:

– Gdzie była Królowa, kiedy pokazała się mgła?

– Tam, jakieś pół mili stąd. – Hamisz wskazał ręką.

Akwila zobaczyła kilka kopców i parę kamieni z dawnych czasów.

Nazywano je trzymieniami, co oznaczało „trzy kamienie”. Jedyne kamieniami znajdowanymi na wzgórzach były krzemienie, zawsze niewielkie. Ale trzymienie zostały przyniesione z daleka, co najmniej z odległości dziesięciu mil, i zostały ustawione tak, jakby dziecko poukładało klocki. Tu i ówdzie potężne bryły tworzyły okrąg, a czasami jakiś kamień sterczał pojedynczo. Aby to wszystko zrobić, potrzeba było wielu ludzi i wiele czasu.

Niektórzy twierdzili, że składano tam ofiary z ludzi. Inni, że odprawiano obrzędy starej religii. A jeszcze inni, że to oznaczenia starych grobów.

Byli też tacy, co mówili: Unikaj tych miejsc.

Akwila nie słuchała. Była tam kilka razy z siostrami, wzajemnie się prowokowały, szukały czaszek. Ale kopce wokół kamieni miały tysiące lat. Można było tam dziś znaleźć tylko królicze nory.

– Czy coś jeszcze, panienko? – zapytał grzecznie Hamisz. – Nie? W takim razie będę się zbie...

Uniósł ręce nad głową i ruszył biegiem przez murawę. Akwila aż podskoczyła, kiedy myszołów zanurkował kilka kroków od niej i złapał go w locie, by natychmiast wzbić się w niebo.

– Jak ktoś mierzący sześć cali może wytrenować takiego ptaka? – zapytała, gdy myszołów zatoczył koło nad ich głowami.

– Och, potrzeba tylko ciut dobroci, panienko – odparł Nie-tak-duży-jak-Średniej-Wielkości-Jock-ale-większy-niż-Ciut-Jock-Jock.

– Naprawdę?

– No i ciut okrucieństwa – mówił dalej Nie-tak-duży-jak-Średniej-Wielkości-Jock-ale-większy-niż-Ciut-Jock-Jock. – Hamisz trenował je, biegając w kółko w stroju królika, aż wreszcie ptak się na niego rzucił.

– To okropne! – wykrzyknęła Akwila.

– Och, nie, on wcale nie był okropny dla ptaka, tylko przywalał mu głową – ciągnął Nie-tak-duży-jak-Średniej-Wielkości-Jock-ale-większy-niż-Ciut-Jock-Jock – a kiedy ptak się ocknął, myślał, że Hamisz to jego mama i słuchał go we wszystkim.

Myszołów był już tylko odległym punktem.

– Chyba rzadko spędza czas na ziemi – zauważyła Akwila.

– Prawie w ogóle. W nocy śpi w gnieździe myszołowa, panienko. Twierdzi, że jest tam cudownie ciepło. A pozostały czas lata – powiedział Nie-tak-duży-jak-Średniej-Wielkości-Jock-ale-większy-niż-Ciut-Jock-Jock. – Kiedy nie czuje wiatru pod spódniczką, jest nie szczęśliwy.

– I ptakowi to nie przeszkadza?

– Nie, panienko. Wszystkie tutejsze ptaki i zwierzęta wiedzą, że przyjaźń z Fik Mik Figłami przynosi szczęście.

– Naprawdę?

– No, żeby już tak powiedzieć całą prawdę, to brak przyjaciół wśród Fik Mik Figli przynosi pecha.

Akwila spojrzała w słońce. Już tylko kilka godzin dzieliło ją od zachodu.

– Muszę odnaleźć to wejście – powiedziała. – Posłuchaj, Nie-tak-mały jak...

– Nie-tak-duży-jak-Średniej-Wielkości-Jock-ale-większy-niż-Ciut-Jock-Jock, panienko – poprawił ją praludek cierpliwie.

– Tak, tak, dziękuję ci. Gdzie jest Rozbój? A właściwie gdzie są wszyscy?

Młody Figiel wyglądał na zakłopotanego.

– Na dole odbywa się debata, panienko – powiedział.

– Ale przecież musimy odnaleźć mojego braciszka, prawda? Ja jestem wodzą na tę okolicę.

– To jest ciut bardziej skomplikowane, panienko. Oni tam dyskutują... hm... czy...

Akwila zrezygnowała z wysłuchania go do końca. Praludek się czerwienił. A ponieważ początkowo był bardzo dokładnie niebieski, uzyskiwał nieprzyjemnie fioletowy kolor.

– Pójdę tam na dół. Czy mógłbyś pchnąć moje buty?

Zjechała w dół po ziemi. Figle rozpierzchły się na jej widok. Kiedy oczy Akwili przyzwyczały się do mroku, zobaczyła, że praludki okupują galerie. Niektóre myły się, a nawet, nie wiadomo po co, smarowały tłuszczem swoje rude włosy. Teraz gapily się na nią, jakby ich przyłapała na niecnym uczynku.

– Jeśli mamy podążać za Królową, powinniśmy się zbierać – powiedziała do Rozbója, który szorował twarz w misce wielkości połówki orzecha. Woda spływała mu po brodzie zaplecionej w warkocz. Włosy też miał splecione w trzy długie warkocze. Gdyby się gwałtownie obrócił, mógłby zabiczować kogoś na śmierć.

– No cóż – odparł – jest jeszcze ciuteńki problem, który musi my rozwiązać, wodzo. – Miał w dłoniach maleńki ręczniczek. A to oznaczało, że jest czymś zmartwiony.

– Tak? – zapytała Akwila.

– No... czy napiłabyś się z nami herbaty? – zapytał Rozbój.

Praludki wystąpiły naprzód, niosąc wielką złotą filiżankę, która musiała być kiedyś zrobiona dla jakiegoś króla.

Akwila przyjęła herbatę z wdzięcznością. Była bardzo spragniona. Kiedy upiła łyk, tłum wydał westchnienie. Napój był całkiem smaczny.

– Ukradliśmy całą torbę wędrownemu sprzedawcy, który spał sobie przy drodze – wyjaśnił jej Rozbój. – Niezła, co? – Przyklepał mokrymi dłońmi włosy.

Akwila znów uniosła filiżankę, ale zatrzymała rękę w połowie drogi do ust. Może praludki nie zdawały sobie sprawy, jak głośno szepczą, ponieważ teraz słyszała każde słówko z ich rozmowy:

– Nie chciałem jej obrażać, ale jest dość duża.

– No tak, ale wodza musi być duża, żeby mieć dużo dzieci.

– Co prawda, to prawda, w dużej kobiecie nie ma nic złego, ale jeśli chłopak będzie chciał się z nią popieścić, musi zaznaczyć kredą, w jakim miejscu skończył poprzedniego dnia.

– No i jest dość młoda.

– Nie musi na razie mieć dzieci. A może po prostu nie tak wiele naraz. Nie więcej niż dziesięć.

– Na litość, chłopaki, o czym wy mówicie? I tak wybierze Rozbója. Nie widzicie, jak ją kuksa kolanem?

Akwila mieszkała na farmie. A kiedy się żyje na farmie, złudzenia, że dzieci dostarczane są przez bociany lub znajdowane pod krzakami, ulatniają się błyskawicznie, szczególnie kiedy w środku nocy trzeba pomóc krowie urodzić cielaka. Pomagała też często przy owcach, bo w ciężkich przypadkach bardzo przydatne są drobne rączki. Wiedziała, dlaczego baranom przywiązywano na piersiach torby z czerwoną kredą i dlaczego owce z czerwonymi smugami na plecach zostaną na przyszłą wiosnę matkami. To niesamowite, ile potrafi się nauczyć ciche dziecko umiejące dobrze patrzeć, w tym również na tematy, które dorośli uznaliby za kompletnie dla niej nieodpowiednie.

Zauważyła, że Fiona stoi po drugiej stronie pomieszczenia i uśmiecha się jakoś niepokojąco.

– Co się dzieje, Rozboju? – zapytała.

– Wiesz... takie są zasady klanu – odparł niepewnie. – Jesteś naszą nową wodzą, więc, no, mamy obowiązek cię zapytać, rozumiesz, niezależnie od tego, co czujemy, musimy cię zapytać... – urwał.

– Nie do końca cię zrozumiałam – powiedziała spokojnie Akwila.

– Myjemy się do czysta, widzisz – tłumaczył Rozbój. – Niektóre chłopaki wzięły nawet kąpiel w stawie, choć to dopiero maj, a Duży Jan po raz pierwszy umył się pod pachami. Głupi Jaś zbierał dla ciebie bukiet polnych kwiatów...

Głupi Jaś wystąpił do przodu aż sztywny z nerwów, lecz i z dumy, i wyciągnął przed siebie bukiet. Kwiaty najprawdopodobniej były kiedyś ładne, ale ponieważ nie miał pojęcia co to jest bukiet ani jak je zbierać, wiele już nie miało płatków, a gałązki sterczały na wszystkie strony.

– Prześliczny – powiedziała Akwila, upijając kolejny łyk herbaty.

– No dobrze, dobrze. – Rozbój wycierał spocone czoło. – Więc może będziesz tak miła i powiesz nam...

– Chcą wiedzieć, za którego z nich zamierzasz wyjść za mąż – oświadczyła głośno Fiona.

– Takie są zasady. Musisz wybrać lub przestać być wodzą. I musisz dziś podać imię tego szczęśliwca.

– Właśnie tak – potwierdził Rozbój, nie patrząc jej w oczy. Dłoń z filiżanką nawet nie zadrżała, ale tylko dlatego, że Akwilę wprost zamurowało. Nie potrafiła ruszyć żadnym mięśniem. Natomiast w jej głowie panowała prawdziwa burza: Wrrrrr! Coś takiego nie może mi się przydarzyć! Ja nie chcę... Ja nie mogę... Ja nie będę... Oni nie są nawet... To

śmieszne...

Muszę uciekać...

Ale jednocześnie zdawała sobie sprawę z setek zmartwionych wpatrzonych w nią oczu. To, jak sobie z tym poradzisz, jest bardzo ważne, dopuściła do siebie drugą myśl.

Wszyscy ci się przyglądają. A szczególnie Fiona bardzo chce zobaczyć, co zamierzasz z tym zrobić. I naprawdę powinnaś być miłsza dla dziewczyny cztery stopy niższej od ciebie.

– Cóż, zupełnie się tego nie spodziewałam – oświadczyła, zmuszając się do uśmiechu. – To wielki zaszczyt dla mnie.

– No tak, no tak – powtarzał Rozbój, nie odrywając wzroku od podłogi.

– A że jest was tak wielu, wybór będzie trudny – ciągnęła Akwila, nie przestając się uśmiechać. Dopuszczona do głosu druga myśl podpowiadała: On też nie jest z tego powodu szczęśliwy!

– Tak, to prawda – zgodził się z nią Rozbój.

– Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza, żeby się zastanowić – stwierdziła Akwila i nie przestając się uśmiechać, wysunęła się z kopca.

Ukucnęła, zaglądając pod krzaczek pierwiosnków.

– Ropuchu!

Wysunął pyszczek, w którym wyraźnie coś przeżuwał.

– Hm? – zapytał.

– Chcą się ze mną ożenić!

– Mmmm hmmm mm?

– Co tyjesz?

– Jakiegoś niedożywionego ślimaka.

– Powiedziałam, że chcą się ze mną ożenić.

– I... ?

– Może byś wyraził się precyzyjniej. Tylko pomyśl!

– No dobrze, wielka mi rzecz – powiedział ropuch. – Teraz to jeszcze nie problem, ale gdy urośniesz, one nadal będą miały sześć cali wzrostu.

– Nie śmieję się ze mnie. Jestem wodzą!

– Oczywiście, w tym cały problem. Jeśli o nie chodzi, tak to właśnie działa. Nowa wodza wybiera sobie jednego z wojowników i ma ją potem mnóstwo małych Figli. Odmowa równałaby się potwornej obrazie...

– Nie zamierzam się żenić z żadnym Figlem. Nie mogę mieć setek dzieci! Powiedz mi, co mam zrobić!

– Ja miałbym wydawać wodzy polecenia? Wżyciu bym nie śmiał – oświadczył ropuch. – A poza tym nie lubię, kiedy się na mnie krzyczy. Lepiej zapamiętaj, że ropuchy też mają swoją dumę. – Wpełził pomiędzy liście.

Akwila wzięła głęboki oddech, gotując się do wrzasku, ale po chwili zamknęła usta.

Pomyślała, że stara wodza musiała być tego wszystkiego świadoma. Więc... najwyraźniej uważała, że Akwila poradzi sobie z taką sytuacją. To tylko uświęcone tradycją obyczaje, Figle nie wiedzą, co mają teraz począć. Żaden z nich nie chciał się żenić z wielką dziewczuchą, chociaż ani jeden by się do tego nie przyznał. Taka była tradycja i już.

Musi istnieć jakiś sposób, żeby ją obejść. Z pewnością. Ale od niej wymaga się, by wskazała męża i dzień zaślubin. To już jej powiedzieli.

Przez chwilę przyglądała się korzeniom drzew. Hm, pomyślała.

A potem wślizgnęła się z powrotem do dziury.

Praludki oczekiwały na nią, kręcąc się nerwowo to tu, to tam. Ledwo udało im się ukryć przerażenie, pochylali twarze, by na nią nie patrzeć.

– Przyjmuję ciebie, Rozboju – oświadczyła.

Jego twarz zastygła w grymasie lęku. Usłyszała, jak wyszeptał cichutko: „Na litość”.

– Ale to narieczona wyznacza dzień ślubu, prawda? – mówiła rozpromieniona Akwila.

– O tym wie każdy.

– Owszem – odparł Rozbój drżącym głosem. – Taka jest właśnie tradycja.

– W takim razie słuchajcie. – Wzięła głęboki wdech. – Na końcu świata wznosi się granitowa góra wysoka na milę. I każdego roku mały ptaszek leci przez świat na tamtą górę, by uszczknąć jej czubek. Tak więc kiedy ptaszek zetrze górę do wielkości ziarnka piasku... tego dnia ja poślubię Rozbója Figła!

Podczas tej przemowy z twarzy Rozbója stopniowo znikał strach, a rozlewał się szeroki uśmiech.

– No tak, to dobry pomysł! Pewnych rzeczy nie trzeba przyspieszać.

– Całkowicie się z tobą zgadzam – potwierdziła Akwila.

– Dzięki temu zdążymy przygotować listę gości i wszystko co potrzebne – dodał inny praludek.

– Oczywiście.

– Trzeba też pamiętać o sukni ślubnej i bukietcie panny młodej. – Rozbój z każdą chwilą pogodniał coraz bardziej. – A o takich sprawach można dyskutować do bólu.

– O tak – przytaknęła Akwila.

– Ale przecież ona właśnie powiedziała nie! – wybuchnęła Fiona. – Milion lat minie,

zanim ptaszek...

– Powiedziała to, co trzeba! – krzyknął Rozbój. – Słyszeliście ją wszyscy! I wyznaczyła dzień! Zgodnie z tradycją!

– A tą górą się tak nie przejmujcie – wtrącił Głupi Jaś, wciąż ściskając w dłoni bukiet. – Tylko nam powiedz, gdzie ona jest, a poradzimy sobie znacznie szybciej niż jakiś tam ptaszek...

– To musi być ptaszek! – zakrzyczał go Rozbój, znowu ogarnięty przerażeniem. – Malutki ptaszek. I nie mówmy o tym więcej! A kto chce się spierać, poczuje mój but. Niektórzy z nas mają za zadanie wykraść dzieciaka z łap Królowej. – Wyciągnął miecz i pomachał nim nad głową. – Kto ze mną idzie?

To zadziało. Figle najwyraźniej lubiły jasno wyznaczone cele. Setki mieczy i toporków oraz jeden bukiet kwiatów w wypadku Głupiego Jasia uniosły się w górę, a grotę wypełnił okrzyk wojenny Fik Mik Figli. Czas przejścia praludków od stanu normalnego do gorączki wojennego szalu jest tak niewielki, że da się go zmierzyć tylko najmniejszym z zegarków.

Niestety, ponieważ praludki były plemieniem indywidualistów, każdy miał własny okrzyk, a Akwila zrozumiała jedynie kilka z nich:

– Mogą odebrać nam życie, ale nie odbiorą spodni!

– Ty pójdziesz górą, a ja dojdę potem.

– Jest nas tylko tysiąc.

Ale po chwili ścianami zatrzęsł jeden potężny okrzyk:

– Nie mamy króla! Nie mamy królowej! Nie mamy pana! Nie damy się znowu oszukać!

Okrzyk ucichł, chmura pyłu opadła na ziemię i zapanowała cisza.

– Dalej, jazda! – krzyknął Rozbój.

Praludki jak jeden mąż rzuciły się z galerii w dół na podłogę i przez dziurę na dwór.

Komnata w jednej chwili opustoszała, zostali tylko bard i Fiona.

– Gdzie oni poszli? – zapytała Akwila.

– Och, po prostu wyszli. – Fiona wzruszyła ramionami. – Ja zamierzam tu pozostać, dopilnować ognia. Ktoś powinien się zachowywać jak porządna wodza. – Spojrzała ostro na Akwilę.

– Mam szczerą nadzieję, że znajdziesz dla siebie klan, Fiono – odparła słodko Akwila.

Fiona jeszcze bardziej się zmarszczyła.

– Jakiś czas będą biegać w kółko, może przy tym ogłuszą kilka królików i wywalą się parę razy – wtrącił się William. – Potem przyhamują, kiedy dotrze do nich, że nie wiedzą, co i gdzie powinni zrobić.

– Czy zawsze tak zmykają jak teraz? – zapytała Akwila.

– No cóż, Rozbój nie ma najmniejszej ochoty rozmawiać o małżeństwie. – William uśmiechnął się szeroko.

– Jeśli o to chodzi, mamy ze sobą wiele wspólnego – stwierdziła Akwila. Wysunęła się z dziury na zewnątrz, gdzie już czekał na nią ropuch.

– Słyszałem – oświadczył. – Dobra robota. Bardzo sprytne. I bardzo dyplomatyczne.

Akwila rozejrzała się. Od zachodu słońca dzieliło ich jeszcze kilka godzin, ale cienie się już wydłużały.

– Czas iść – oświadczyła, zawiązując fartuszek. – A ty idziesz ze mną.

– Ale ja nie bardzo się znam na wejściu do... – zaczął ropuch, starając się wycofać.

Ponieważ jednak ropuchy nie najlepiej posuwają się rakiem, złapała go i wsadziła do kieszeni fartuszka.

Pobiegła w kierunku kopców i kamieni. Mój brat nigdy nie dorośnie, myślała. To właśnie powiedziała stara dama. Jak to działa? Jak wygląda miejsce, w którym się nie dorasta? Zobaczyła, że William i Nie-tak-duży-jak-Średniej-Wielkości-Jock-ale-większy-niż-Ciut-Jock-Jock biegną tuż obok niej, lecz reszty Figli nie było nigdzie widać.

I nagle znalazła się między kopcami. Siostry opowiadały, że spoczywa w tym miejscu wielu rycerzy, co jednak wcale jej nie przerażało. Tak naprawdę na wzgórzach nigdy niczego się nie bała.

Ale teraz poczuła chłód. Którego nie odczuwała nigdy wcześniej.

„Znajdź miejsce, gdzie nie działa czas”. No cóż, kopce były bardzo, ale to bardzo stare. Kamienie też. Czy pasowały w tym miejscu? Tak, jednak tak, należały do przeszłości, ale przez tysiące lat wryły się w te wzgórza. Tutaj się zestarzały. Były częścią krajobrazu.

Niskie słońce wydłużało cienie. To była pora, kiedy Kreda zdradzała swe sekrety.

Gdzeniegdzie, jeśli światło odpowiednio padało, dostrzec można było zarysy dawnych dróg i pól. Cienie pokazywały to, co ginęło w ostrym świetle dnia.

To Akwila wymyśliła określenie „ostre światło”.

Nie widać było śladów racic. Przechadzała się wokół trzymieni, które trochę przypominały wielkie kamienne odrzwia, ale nawet gdy próbowała przez nie przechodzić, nic się nie działo.

To nie zgadzało się z planem. Powinny być jakieś magiczne drzwi. Tego była pewna.

Szum w uszach podpowiedział jej, że ktoś gra na mysich dudach. Rozejrzała się i zobaczyła barda Williama stojącego na strzaskanym kamieniu. Miał wydęte policzki, dudy też były pełne powietrza.

Pomachała do niego.

– Czy coś widzisz? – zapytała.

William wypuścił z warg ustnik i szum w jej uszach ustał.

– O tak – powiedział.

– Drogę do ziemi należącej do Królowej.

– O tak.

– Czy opowiesz mi o niej?

– Ja nie muszę mówić wodzy. Wodza sama zobaczy.

– Ale mógłbyś mi ją pokazać!

– Tak, a ty mogłabyś powiedzieć „prrrroszę” – odparł William. – Mam dziewięćdziesiąt sześć lat i nie jestem zabawką z twojego domku dla lalek. Miałas wspaniałą babcię, ale to nie powód, by mi rrrrozkazywała ciutdziewczynka.

– Ciut? – powtórzyła.

– Chodzi mu o coś bardzo małego – podpowiedział ropuch. – Zaufaj mi.

– On nazywa mnie małą!!!

– Wewnątrz jestem dużo większy niż ty – oznajmił William. – I powiedziałbym, że twój tata nie byłby uszczęśliwiony, gdyby jego wielka ciutdziewczynka zaczęła się szarrrogeścić!

– Stara wodza rozkazywała ludziom! – odparła Akwila.

– Oczywiście. Ale ona zaprrrrracowała na rrrrespekt. – Słowa barda odbiły się echem od kamieni.

– Proszę, pomóż mi! Nie wiem, co robić! – jęknęła Akwila.

William przyjrzał się jej uważnie.

– No cóż, rrrradzisz sobie nie najgorzej – odparł już znacznie miłszym tonem. – Załatwiłaś sprrrrawę ślubu, nie łamiąc zasad, a co więcej, lubisz rrrryzyko, muszę ci to przyznać. Znajdziesz drrrrogę, wszystko w swoim czasie. Tylko uważaj, gdzie stąpasz, i nie oczekuj, że świat się dostosuje do ciebie. Musisz szukać słodyczy, to wszystko. Użyj swych oczu. I użyj swej głowy.

Włożył ustnik między wargi, nadął policzki, aż mysi pęcherz napęknął się powietrzem.

Akwila znowu poczuła świdrowanie w uszach.

– Co na to powiesz? – spytała, zaglądając do kieszeni fartuszka.

– Obawiam się, że możesz liczyć tylko na siebie – odrzekł ropuch. – Kimkolwiek byłem, nie wiem zbyt wiele na temat znajdowania niewidzialnych drzwi. I nie życzę sobie żadnych nacisków.

– Ale... ja nie mam pojęcia, co robić! Czy jest jakieś magiczne słowo, które powinnam

wymówić?

– Nie wiem, czy jest jakieś magiczne słowo, które powinnaś wymówić – odparł ropuch, odwracając się tyłem.

Akwila uświadomiła sobie, że Figle wyrastają wokół jak spod ziemi. Miały nieprzyjemną umiejętność cichego poruszania się, kiedy tylko tego chciały.

O nie, pomyślała. Ich zdaniem ja wiem, co powinnam zrobić! To nie fair. Nie mam żadnego wykształcenia w tym względzie. Nie chodziłam do szkoły dla czarownic. Nawet jej nie znalazłam! Wejście musi być gdzieś tutaj, muszą też być jakieś klucze, a ja nie mam pojęcia jakie!

Chcę zobaczyć, czy się do czegoś nadaję. Potrafię tylko robić ser. A czarownica umie sobie radzić w każdej sytuacji.

Odkładając ropucha z powrotem do kieszeni, namacała „Choroby owiec”. Wyciągnęła książkę i w tej samej chwili usłyszała jednocześnie westchnienie wyrywające się z wszystkich ust praludkowych.

Uważają, że słowa mają magiczną moc...

Otworzyła książkę na chybił trafił i zmarszczyła brwi.

– Zatykanie – przeczytała na głos. Wokół niej praludki kiwały głowami i przepychały się jeden przez drugiego. – Zatykanie wywołuje dygot – kontynuowała – co z kolei prowadzi do stanu zapalnego. Nielezione może prowadzić do pogorszenia stanu. Zalecane leczenie: codzienna dawka terpentyny do zakończenia czegokolwiek – dygotania, terpentyny lub owcy.

Zaryzykowała podniesienie głowy. Zza każdego kamienia i kopca zerkają na nią Figle.

Wyraźnie to, co właśnie przeczytała, zrobiło na nich wrażenie.

Jednakże słowa z „Chorób owiec” nie przecinały lodu w żadnych magicznych odrzwiach.

– Strupy – czytała dalej Akwila. W powietrzu czuło się oczekiwanie. – Strupy powstają wskutek łuszczenia się skóry, szczególnie w okolicach pyska. Stosownym lekarstwem może być terpentyna...

I w tym momencie dostrzegła kątem oka niedźwiadka.

Był malutki, w kolorze czerwieni, jakiej by nigdy nie wyprodukowała natura. Akwila wiedziała, co to jest. Bywart uwielbiał takie gumisie. Smakowały jak klej zmiksowany z cukrem i były wyprodukowane w stu procentach z produktów nienaturalnych.

– Och! – wyrwało jej się. – Mój brat był tutaj...

To wywołało zamieszanie.

Szła dalej, czytając na głos o zapaleniu nozdrzy i chwiejnym chodzie, ale nie spuszczała wzroku z ziemi. I nagle zobaczyła kolejnego gumisia, tym razem zielonego i przez to ledwie

widocznego wśród trawy.

Tutaj! – pomyślała Akwila.

Kawałek dalej widoczny był portal utworzony z trzech kamieni, dwa wielkie głązy, a trzeci położony na nich. Przechodziła już pod nimi wcześniej i nic się nie wydarzyło.

Ale nic nie powinno się zdarzyć, pomyślała. Nie można zostawić drzwi do swego świata tak, by każdy mógł sobie przez nie przejść, bo ludzie wchodziliby tam całkiem przypadkowo. Trzeba wiedzieć, że drzwi znajdują się właśnie w tym miejscu.

Być może to jedyny sposób, żeby to działało.

W porządku. W takim razie uwierzę, że wejście jest właśnie tam.

I weszła. To, co ujrzała, było niesamowite: zarówno zielona trawa, jak i błękit nieboskłonu w świetle zachodzącego słońca stały się różowe, wokół pozostało jeszcze kilka spóźnionych chmurek, które zapomniały, że pora na sen, a wszystko spowijała ciepła miodowa poświata. Ten obraz był prawdziwie zadziwiający. A fakt, że Akwila oglądała go praktycznie każdego dnia, w żaden sposób nie zmniejszał jego fantastyczności. I dodatkowo wcale nie trzeba było przechodzić przez jakiś kamienny łuk, by to zobaczyć. Widać to było praktycznie z każdego miejsca.

Tyle tylko... że coś się nie zgadzało. Akwila przeszła pod łukiem kilka razy i wciąż nie była tego pewna. Podniosła dłoń na wysokość ramienia, próbując zmierzyć wysokość słońca nad horyzontem.

A potem zobaczyła ptaka, jaskółkę, która w pogoni za muchami zanurkowała za skały.

Efekt był, no cóż, dziwny, jakby smutny. Ptak zniknął za kamieniem, a ona podążała za nim wzrokiem... lecz już było za późno. Bo ptak powinien się wyłonić, ale tak się nie stało.

A potem zjawił się w prześwicie między kamieniami i przez chwilę widniał po obu stronach kamienia w tym samym czasie.

Patrzac na to, Akwila czuła się tak, jakby ktoś wyciągnął jej oczy i obrócił dookoła.

„Szukaj miejsca, gdzie nie pasuje czas”...

– Świat, który widać przez prześwit, jest przynajmniej o sekundę spóźniony w stosunku do czasu, który płynie tutaj – mówiła głosem tak pewnym, jak to tylko możliwe. – Myślę... wiem, że tam jest wejście.

Fik Mik Fikle zaczęły wiwatować i klaskać w dłonie, po czym ruszyły biegiem ku niej.

– Twoje czytanie było wspaniałe – oświadczył Rozbój. – Nie rozumiałem ani słowa.

– Tak, to musi być naprawdę potężny język, kiedy nie wiadomo w ogóle, o co chodzi! – dodał jego kompan.

– Zdecydowanie ma panienka predyspozycje do bycia wodzą – oświadczył Nie-tak-duży-

jak Średniej-Wielkości-Jock-ale-większy-niż-Ciut-Jock-Jock.

– Wspaniale! – dodał Głupi Jaś. – Powaliło mnie to, gdy zobaczyłaś słodczyce i w ogóle się z tym nie zdradziłaś. Nie sądziliśmy też, że dostrzeżesz zielonego!

Praludki przestały wiwatować i spojrzały na niego z wyrzutem.

– Czy coś złego powiedziałem? – dopytywał się.

Akwila zmarkotniała.

– Od początku wiedzieliście, gdzie jest przejście, tak? – zapytała.

– Oczywiście – potwierdził Rozbój. – Używaliśmy go, kiedy mieszkaliśmy w świecie Królowej, ale była zła, więc się zbuntowaliśmy...

– No właśnie, a ona nas wyrzuciła pod pretekstem, że pijemy, kradniemy i bijemy się przez cały czas – dodał Głupi Jaś.

– To wcale nie było tak! – wrzasnął Rozbój.

– I czekaliście, żeby zobaczyć, czy mnie uda się je znaleźć? – Akwila przerwała im, bojąc się, że rozpoczną zaraz bójkę.

– Oczywiście. Znakomicie sobie poradziłaś, dziewczyno.

Pokręciła przecząco głową.

– Nieprawda. Nie czarowałam. Nie wiem, jak to się stało. Po prostu przyglądałam się i udało mi się zrozumieć, co zobaczyłam. Tak naprawdę to oszukiwałam.

Praludki popatrzyły na siebie.

– Przecież na tym właśnie polega magia – powiedział Rozbój. – Machasz różdżką i wymawiasz kilka magicznych ciutskówek. I co w tym takiego sprytnego? Ale przyglądanie się światu, takie przyglądanie, że naprawdę się go widzi, a potem rozumienie tego, co się zobaczyło, to dopiero jest coś.

– No właśnie – zgodził się z nim ku zdziwieniu Akwili bard William. – Użyłaś swych oczu i użyłaś swojej głowy. Tak właśnie robią prawdziwe wiedźmy. Magia służy tylko promocji.

– O, naprawdę? – Akwila się rozpogodziła. – W takim razie... to są nasze drzwi!

– Zgadza się – powiedział Rozbój. – Teraz pokaż nam przez nie drogę.

Zawahała się, ale potem przysła myśl: czuję, że myślę. I widzę to, jak myślę. A co ja myślę? Myślę, że przechodziłam pod tym łukiem wcześniej i nic się nie wydarzyło.

Ale wtedy nie patrzyłam. I nie myślałam. W każdym razie nie tak, jak należy.

Świat, który widzę za łukiem, nie jest prawdziwym światem. Tylko wygląda jak prawdziwy. To rodzaj... czarodziejskiego obrazka, który został tam postawiony, by ukryć wejście. I jeśli nie uważasz, no cóż, po prostu mijasz prawdziwe wejście, nie zdając sobie

w ogóle z tego sprawy.

Przeszła pod łukiem. I nic się nie stało. Fik Mik Fikle przyglądały jej się z powagą.

No dobrze, pomyślała. Znowu dałam się oszukać, prawda?

Stanęła na wprost kamieni, wyciągnęła ręce na boki, zamknęła oczy. A potem bardzo powoli zrobiła krok do przodu...

Coś zaskrzypiało pod jej nogami, ale nie otworzyła oczu, dopóki nie była pewna, że nie ma pod nimi kamieni. I wtedy spojrzała na....na czarno-biały krajobraz.

Rozdział ósmy.

Kraina zimy

– O tak, ona pierwszorzędnie patrzy, nie ma żadnych wątpliwości – usłyszała za sobą głos Williama, gdy wkraczała w świat Królowej. – Widzi to, co jest naprawdę...

Śnieg rozciągał się pod tak brudnobiałym niebem, że Akwila poczuła się jakby we wnętrzu piłeczki pingpongowej. Tylko czarne pnie i gałęzie drzew, widoczne tu i ówdzie, mówiły jej, gdzie kończy się ziemia i zaczyna niebo...

... to i oczywiście ślady kopyt. Biegły w stronę ciemnej linii lasu.

Zimno kłuło ją niczym maleńkie igielki wbijane w skórę.

Spojrzała w dół i ujrzała Fik Mik Figle gromadnie wysypujące się przez bramę, brnące po pas w śniegu. Na terenie Królowej rozpraszały się. Niektóre już z wyciągniętymi mieczami.

Teraz wcale nie śmiały się ani nie żartowały. Były czujne.

– No dobrze – powiedział Rozbój. – Dobra robota. Tutaj na nas poczekasz, a my jak najszybciej sprowadzimy twojego ciutbraciszka, nie ma problemu...

– Idę z wami! – zachnęła się Akwila.

– Nie, wodza nie...

– Ja tak – odparła Akwila, dygocząc. – To jest mój brat. Gdzie w ogóle jesteście?

Rozbój podniósł wzrok na białe niebo. Nigdzie nie widać było ani śladu słońca.

– No cóż, i tak już tu jesteś – oświadczył – więc chyba ci mogę powiedzieć. Ten świat nazywają Krainą Baśni.

– Kraina Baśni? Niemożliwe. Widziałam rysunki. W Krainie Baśni jest... jest mnóstwo kwiatów i drzew, i świeci słońce, i wszędzie dzwonią dzwoneczki! Małe dzieci w śpioszkach. I ludzie ze skrzydłami! I... okropni ludzie też! Widziałam na ilustracjach.

– Nie zawsze jest tak, jak mówisz – powiedział Rozbój krótko. – I nie możesz iść z nami, bo nie masz żadnej broni.

– A co się stało z moją patelnią? – zapytała Akwila. Coś podskoczyło koło jej nóg

i zobaczyła, jak Nie-tak-duży-jak-Średniej-Wielkości-Jock-ale-większy-niż-Ciut-Jock-Jock wyciąga ku niej triumfalnie patelnię.

– No tak, masz patelnię – przyznał Rozbój – ale tutaj potrzebujesz miecza, który powstał z gromu z jasnego nieba. To jest oficjalna broń, kiedy się napada na Krainę Baśni.

– Wiem, jak skorzystać z korzyścią z tej patelni – odparła Akwila. – I ja jestem...

– Nadchodzą! – wykrzyknął Głupi Jaś.

Ujrzała w oddali czarne kropki, poczuła też, że ktoś wspina się po jej plecach i staje na głowie.

– To piekielna sfora – ogłosił Nie-tak-duży-jak-Średniej-Wielkości-Jock-ale-większy-niż-Ciut-Jock-Jock. – Dobry tuzin.

– Psów nie zdołamy przegonić! – wykrzyknęła Akwila, łapiąc mocno rączkę patelni.

– Nie ma takiej potrzeby – oświadczył Rozbój. – Tym razem mamy ze sobą barda. Tyle że lepiej by było, gdybyś sobie zatkała uszy.

William, nie spuszczając wzroku z psów, spokojnie odkręcał niektóre z piszczałek mysich dud i przekładał je do torby, którą miał przerzuconą przez plecy.

Psy były już dużo, dużo bliżej. Akwila widziała metaliczne zęby i ogień w oczach.

William powoli wyjął z torby znacznie krótsze piszczałki, lśniące, jakby były wykonane ze srebra, i przykręcił je na miejsce poprzednich. Wyglądał na kogoś, kto nie musi się spieszyć.

Akwila z całych sił ścisnęła rączkę patelni. Psy nie warczały. Gdyby wydawały jakiś dźwięk, może byłoby to choć trochę mniej przerażające.

Bard wsunął dudy pod ramię i dmuchnął w jeden miech, by wypełnić go powietrzem.

– Zagrrram – oświadczył, podczas gdy psy zbliżyły się już na tyle, że Akwila mogła dostrzec ich ślinę – „Krrrról pod wodą”.

Fik Mik Fikle jak jeden pramąż wypuściły z rąk miecze i zatkały sobie uszy.

William ujął piszczałkę w usta, raz czy dwa przytupnął nogą i dokładnie w chwili, gdy psy szykowały się do skoku na Akwilę, zagrał.

Wiele rzeczy wydarzyło się mniej więcej w tym samym czasie. Akwili zadzwoniły wszystkie zęby. Patelnia zawibrowała w jej dłoniach i upadła w śnieg. A pies, który znajdował się na wprost niej, zrobił zeza i zamiast skoczyć, runął jak długi.

Psy z piekła rodem nie zwracały uwagi na praludki. Wyły. Kręciły się wokół własnych ogonów, chcąc je złapać zębami. Wpadały jeden na drugiego. Sfora rozpadła się na tuzin przerażonych zwierzaków, usiłujących wyskoczyć z własnych skór.

W krąg wokół Williama, którego policzki aż spurpurowiały z wysiłku, topił się śnieg

i parowała ziemia. Gdy wyjął piszczałkę z ust, piekielna sfora, upačkana w mokrej brei, uniosła głowy. A potem, jak jeden pies, podkulila ogony i czmychnęła niczym pospieszny przez śnieg z powrotem.

– No tak, to już wiedzą, że tu jesteśmy – stwierdził Rozbój, wycierając łzy.

– Szo sze stało? – zapytała Akwila, dotykając językiem zębów, by sprawdzić, czy wciąż są na miejscu.

– Zagrał ból – wyjaśnił jej Rozbój. – Dla ciebie dźwięki są zbyt wysokie, ale psy słyszą. Ból rozbrzmiewa w ich głowach. A teraz lepiej ruszajmy, zanim wyśle coś innego.

– Królowa je przysłała? Ależ one wyglądają jak z koszmaru! – wykrzyknęła Akwila.

– Zgadza się – odparł jej Rozbój. – Właśnie stamtąd je wzięła.

Akwila spojrzała na barda Williama, który najspokojniej wymieniał piszczałki. Kiedy dostrzegł jej spojrzenie, puścił oko.

– Fik Mik Fige trrrraktuują muzykę strrrrasznie poważnie – powiedział. Po czym pokazał skinieniem głowy coś, co leżało u stóp dziewczynki.

W śniegu widniał żółty gumis wyprodukowany w stu procentach z produktów nienaturalnych.

A wszędzie wokół Akwili roztopiał się śnieg.

Dwa praludki niosły dziewczynkę całkiem bez wysiłku. Mknęła przez śnieg, a obok mknęły inne Fik Mik Fige.

Na niebie nie było słońca. Nawet w najbrzydszy dzień da się powiedzieć, gdzie jest słońce, ale nie tutaj. I jeszcze było coś dziwnego, coś, czego nie potrafiła do końca nazwać.

To miejsce nie wyglądało na prawdziwe. Nie wiedziała, czemu tak uważa, ale nie zgadzał jej się horyzont. To było oczywiście idiotyczne, lecz wydawał się na wyciągnięcie ręki.

A wewnątrz tego świata wydawało się... niedokończone. Na przykład drzewa w lesie, do którego się zbliżali. Drzewo to drzewo, pomyślała. Czy jesteś daleko, czy tuż-tuż, nie ma znaczenia. Ma pień, gałęzie i korzenie. I wiesz o tym, że z nich się składa, choćby drzewo znajdowało się tak daleko, że stanowi zamazaną plamę.

A jednak tutaj drzewa były jakoś inne. Miała silne poczucie, że składają się z zamazanej plamy, jakby nią były, a pnie, gałęzie i korzenie tworzyły się, w miarę gdy ona się zbliżała, jakby myślały: Szybko, ktoś nadchodzi! Musimy wyglądać na prawdziwe.

To było tak, jakby się znaleźć na rysunku namalowanym przez artystę, który nie bardzo się starał przy szczegółach drugiego planu, ale wszędzie, gdzie się spojrzało, dodawał

realności.

Powietrze było nieświeże, niczym w starej piwnicy.

Kiedy zbliżali się do lasu, światło stawało się coraz mroczniejsze. Pomiędzy drzewami było wręcz niebieskie i nierzeczywiste.

I tutaj nie ma żadnych ptaków, pomyślała.

– Zatrzymajcie się – zarządziła.

Praludki postawiły ją na ziemi, ale Rozbój nie był zadowolony.

– Nie powinniśmy się tu zbyt długo szwendać. Miecze w pogotowiu, bracia.

Akwila wyciągnęła z kieszeni ropucha. Zamrugał oczami, oślepiiony światłem odbijającym się od śniegu.

– To nie dla mnie – wymruczał. – Powiniennem się hibernować.

– Dlaczego wszystko jest takie... dziwne?

– Nic ci nie pomogę – odparł ropuch. – Widzę tylko śnieg. Widzę tylko lód. Widzę, że zaraz zamarznię na śmierć. To mi mówi mój wewnętrzny ropuch.

– Nie jest aż tak zimno!

– Mnie... się... wydaje... zimno.

Zamknął oczy. Akwila westchnęła i włożyła go z powrotem do kieszeni.

– Ja ci powiem, gdzie jesteś – rzekł Rozbój, skanując wzrokiem błękitne cienie. – Znasz takie gryzące ciutrobaki, które wkręcają się w owce i odpadają, dopiero kiedy napiją się krwi?

Cały ten świat jest niczym taki robak.

– Chodzi ci o kleszcze? Czy o wampiry?

– To jedno i to samo. Latają w kółko, aż znajdują słabe miejsce na świecie, gdzie nikt nie zwraca na nie uwagi, i otwierają drzwi. Potem Królowa wysyła swoich ludzi. Na wyprawę łupieską.

– Kiedyś to my kradliśmy i łupiliśmy dla niej – oświadczył Głupi Jaś.

– Jasiu! – Rozbój wymierzył w niego swój miecz. – Mówiłem ci, że są pewne sytuacje, kiedy zanim otworzysz swoją głupią gębę, powinieneś najpierw pomyśleć, tak?

– Tak.

– To była właśnie jedna z tych sytuacji. – Rozbój podniósł wzrok na Akwilę wyraźnie zakłopotany. – Owszem, byliśmy najlepszymi złodziejami Królowej – powiedział. – Ludzie bali się polować ze strachu przed nami. Ale dla niej nigdy nie jest dość. Zawsze chce więcej. A my powiedzieliśmy jej, że to nie w porządku ukraść starej kobiecie jedyną świnkę albo jedzenie tym, którzy ledwie co mają włożyć do garnka. Figle nie czują strachu, gdy mają ukraść złoty puchar bogatego wielkiego dzieła, ale zabrać kubek staruszkowi, który trzyma

w nim sztuczną szczękę, to ich upokarzało, mówili. Fik Mik Figle potrafią walczyć i kraść, ale kto chciałby się bić ze słabym czy okraść biednego?

Dziewczynka na krańcu lasu cieni wysłuchiwała historii małego świata, w którym nic nie rosło i gdzie wszystko trzeba było przynosić z innych światów. To był świat, który mógł tylko brać, a nie miał nic do dania poza strachem. Mieszkańcy tego świata organizowali najazdy – a ludzie nauczyli się zostawać w łózkach, kiedy słyszeli nocami dziwne odgłosy, bo gdy tylko ktoś chciał stanąć na drodze Królowej, ona zaczynała rządzić jego snami.

Akwila nie do końca rozumiała jak to się działo, ale potrafiła wyobrazić sobie piekielne sfory i jeźdźców bez głowy. Sny te były... bardziej realne. To właśnie potrafiła Królowa, robiła coś, że te sny stawały się... solidne. Można było w nie wejść i zniknąć. I człowiek się nie budził, dopóki stwory się z nim nie rozprawiły.

– Ludzie Królowej nie kradli tylko jedzenia. Kradli też ludzi...

– Na przykład dudziarzy – tłumaczył jej bard William. – Postacie z bajek nie potrafią tworzyć muzyki, więc porywają człowieka, żeby robił ją dla nich.

– I dzieci – powiedziała Akwila.

– Tak. Twój brat nie jest pierwszy – przyznał Rozbój. – Tutaj nie ma zbyt wiele radości czy śmiechu. A ona myśli, że jest dobra dla dzieci.

– Stara wodza powiedziała, że ona ich nie krzywdzi – przypomniała sobie Akwila. – Czy to prawda?

W Fik Mik Figlach dało się czytać jak w książce. I byłaby to duża książka z Alą i psem oraz jednym lub najwyżej dwoma zdaniami na każdej stronie. To, co myśleli, w jednej chwili pojawiał się na ich twarzach, a teraz mieli na nich wypisane wyraźnie:

Na litość! Mam nadzieję, że ona nie zada nam pytania, na które nie będziemy chcieli odpowiedzieć...

– Czy to prawda, co powiedziała wodza? – zapytała jeszcze raz.

– Tak – powoli odpowiedział Rozbój. – Nie okłamała cię. Królowa będzie próbowała być dla niego miła, tyle że nie wie, jak być miłą. Bo widzisz, ona jest elfem. A elfy nie umieją myśleć tak jak inni.

– Co się stanie z moim bratem, jeśli go nie odnajdziemy?

I znowu na ich twarzach pojawił się wyraz „nie podoba nam się, dokąd zmierzają te pytania”.

– Zapytałam... – zaczęła znowu Akwila.

– Powiedziałbym, że w odpowiednim czasie odeśle go z powrotem do domu – wtrącił szybko William. – A on nie postarzy się ani o dzień. Tutaj nic się nie starzeje. Nic nie rośnie.

W ogóle nic.

– Więc nic mu się nie stanie?

Rozbój wydał z siebie dziwny dźwięk, jakby chciał powiedzieć „tak”, ale język klócił się z mózgiem, który kazał mu powiedzieć „nie”.

– Powiedz to, czego mi nie mówisz – rozkazała.

– Ale takich rzeczy jest mnóstwo – wyrwał się Głupi Jaś. – Na przykład temperatura topnienia ółowiu wynosi...

– Im głębiej zanurzasz się w ten świat – przerwał mu Rozbój – tym czas wolniej płynie. Lata mijają jak dni. Królowa za kilka miesięcy może się chłopcem znudzić. Ale te kilka miesięcy tutaj, gdzie czas płynie wolno, liczy się inaczej. Kiedy chłopiec wróci do świata żywych, możesz być staruszką albo już w ogóle nie żyć. Więc jeśli dochowasz się własnych dzieci, lepiej im powiedz, żeby rozglądali się za trochę lepkim zapłakany maluchem wędrującym po wzgórzach w poszukiwaniu czegoś słodkiego, bo może być ich wujkiem Bywartem. Ale to nie musi być jeszcze najgorsze. Po długim życiu w snach obudzenie bywa zbyt trudne, niekiedy nie da się już wrócić do rzeczywistości...

Akwila nie spuszczała z niego wzroku.

– Coś takiego już się zdarzało – dodał William.

– Przyprowadzę go z powrotem – cicho oświadczyła Akwila.

– Nikt w to nie wątpi – przytaknął Rozbój. – A gdzie ty pójdziesz, my pójdziemy razem z tobą. Fik Mik Figle niczego się nie boją!

Jego bracia zaczęli wznosić okrzyki, ale dziewczynce wydawało się, że niebieskie cienie wciągają w siebie wszystkie dźwięki.

– No właśnie, niczego prócz prawników mmmm mmm – tyle tylko zdążył wydobyć z siebie Głupi Jaś, zanim Rozbój zatkał mu usta.

Akwila wróciła na szlak kopyt, by kontynuować wędrówkę.

Pod jej stopami nieprzyjemnie skrzypiał śnieg.

Przeszła kawałek, przyglądając się, jak drzewa realnieją, gdy się do nich zbliża, a potem się obejrzała.

Wszystkie Fik Mik Figle szły za nią. Rozbój pokiwał jej głową dla dodania kurażu. Jej ślady stawały się dziurami w śniegu, w których widać było zieloną trawę.

Te drzewa zaczęły ją denerwować. Sposób, w jaki się zmieniały, był bardziej przerażający niż jakiegokolwiek potwór. Potwora można uderzyć, trudno jednak się bić z lasem.

A ona miała ochotę komuś przyłożyć.

Zatrzymała się i odgarnęła śnieg tuż przy pniu drzewa. W miejscu śniegu nie było nic,

tylko szarość. Po chwili zjawił się na tym kawałku pień. Potem już tam był, udając, że jest tu od zawsze.

To ją bardziej martwiło niż piekielna sfora. Psy były tylko potworami. Można je pokonać. Ale brak pnia pod drzewem... przerażał ją.

Starala się stosować teraz pierwszorzędne myślenie. Czuła, jak narasta w niej strach, czuła, jak jej żołądek staje się czerwoną i rozgrzaną kulą, czuła pot pod pachami. Ale nie miało to... związku. Widziała przerażoną siebie, a to oznaczało, że ta jej część, która potrafi się przyglądać samej sobie, przerażona nie jest.

I właśnie w tym momencie coś poszło nie tak. Całkiem nagle lęk złapał ją w kleszcze.

Była w dziwnym świecie, zamieszkanym przez potwory, a towarzyszyły jej setki niebieskich ludzików. I były tu też... piekielne sfory. Jeźdźcy bez głów. Potwory w rzece. Barany przemieszczające się na grzbiecie po polu. Głosy pod łóżkiem...

Strach rzucił się na nią. Ale ponieważ miał do czynienia z Akwilą, ona ruszyła ku niemu, wznosząc patelnię. Miała za zadanie przejść przez las, odnaleźć Królową, zabrać brata i wrócić!

Usłyszała za sobą głosy...

Obudziła się.

Nie było śniegu, ale była biel prześcieradła i sufitu nad głową. Przez chwilę wpatrywała się weń, a potem pochyliła się, by zajrzeć pod łóżko.

Poza nocnikiem nie widziała tam nic. Wstała, podeszła do domku dla lalek i zamasyście otworzyła jego drzwi. Tam też nie było nikogo poza dwoma żołnierzami, misiem i lalką bez głowy.

Ściany wyglądały solidnie. Sufit był popękany w tych samych miejscach co zawsze.

Jej kapcie również były takie jak zawsze: stare, wygodne, z oderwanymi różowymi kłaczkami.

Stała pośrodku podłogi i powiedziała bardzo spokojnie:

– Czy ktoś tutaj jest?

Z pola dobiegło beczenie owcy, ale najprawdopodobniej nie była to odpowiedź na pytanie.

Zaskrzypiały drzwi i do sypialni wszedł Szczurołów. Otarł się o jej nogi, wydając z siebie pomruk niczym odległy grzmot, a następnie wskoczył na łóżko i zwinął się w kłębek.

Akwila starannie ubrała się, czekając, by pokój zrobił coś dziwnego.

Potem zeszła do kuchni, gdzie przygotowywano śniadanie. Jej mama stała przy zlewie.

Akwila przebiegła przez pomieszczenia gospodarskie do mleczarni, tam opadła na kolana, zajrzała pod koryta i za kredens.

– Uczciwie wam mówię, że możecie teraz wyjść – powiedziała. Ale nikt nie wyszedł.

Była sama. Często bywała tu sama i zawsze to lubiła. Tak jakby mleczarnia należała wyłącznie do niej. Ale teraz wydało jej się tu dziwnie pusto i nazbyt czysto...

Kiedy wróciła do kuchni, matka wciąż stała przy zlewie, myjąc naczynia, a na stole stał talerz z parującą owsianką.

– Ubiję dzisiaj trochę masła. – Akwila usiadła do śniadania. – Mam tyle mleka.

Matka skinęła głową i odstawiła talerz na ociekacz tuż przy zlewie.

– Nie zrobiłam nic złego, prawda? – zapytała dziewczynka.

Matka potrząsnęła głową.

Akwila westchnęła. Więc to był tylko sen.

To chyba najgorsze zakończenie dla tej całej historii. Ale przecież wszystko wyglądało tak realnie. Pamiętała dymny zapach w grocie praludków i sposób, w jaki... kto to był?... no tak, wołali na niego Rozbój... i nerwowy sposób, w jaki Rozbój zawsze do niej mówił.

Jakie to dziwne, pomyślała teraz, że Szczurołów otarł się o moje nogi. Zdarzało się, że sypiał w moim łóżku, ale za dnia trzyma się ode mnie jak najdalej. Jakie to dziwne...

Z okolic kominka doszedł ją jakiś stukot. Pasterka z porcelany przesuwiała się po półce babci. Akwila zamarła z łyżką owsianki w pół drogi do ust. Figurka spadła i rozbiła się na podłodze.

Stukotanie nie ustawało, tym razem przeniosło się do wielkiego pieca. Drzwiczki drżały w zawiasach.

Odwróciła się w stronę matki, która odstawiała kolejny talerz, ale nie trzymała go w rękach.

W tej chwili drzwiczki odpadły od pieca i poleciały na ziemię.

– Nie jedz owsianki!

Fik Mik Figle wpadły do kuchni niczym rwący strumień.

Ściany zaczęły się przesuwać. Podłoga falowała. I nagle Akwila dostrzegła, że postać przy zlewie nie jest nawet człowiekiem, tylko po prostu... czymś, nie bardziej ludzkim niż strach na wróble, brunatnym niczym stary pączek i zmieniającym kształt, kiedy zbliżał się do Akwili.

Praludki przelatywały koło niej niczym śnieżna zamieć.

Popatrzyła w małe czarne oczka tego czegoś, co ku niej sunęło.

Krzyk powstał gdzieś w głębi. To nie była nawet druga myśl, która rodzi się z wątpliwości, to nie była nawet intuicyjna myśl, tylko krzyk. Krzyk, który w chwili gdy opuszczał usta Akwili, rozszerzał się, by stać się czarnym tunelem tuż przed nią, a kiedy w niego wpadła, usłyszała w tłumie za sobą słowa:

– Jak myślisz, chłopie, na kogo patrzysz? Na litość, nawet nie wiesz, jaki cię czeka kop!

Otworzyła oczy.

Leżała na mokrej ziemi w ponurym zaśniewionym lesie. Praludki obserwowały ponurość między pniami drzew.

Na drzewach... było coś. Kawalki czegoś. Brunatne. Zwisły jak stare ubranie.

Odwrociła głowę i ujrzała Williama, który patrzył na nią z troską.

– To był sen, prawda? – zapytała.

– No... był i jednocześnie nie był.

Gwałtownie usiadła. Praludki musiały odskoczyć do tyłu.

– Ale to... coś tam było, a potem wy wszyscy wyskoczyliście z pieca! – powiedziała. – Byliście w moim śnie! Co to było... za stworzenie?

Bard William przyglądał się jej, jakby podejmując decyzję.

– My to nazywamy senkiem – odparł. – Nic z tego, co tu spotkasz, tak naprrrrrawdę nie jest z tego świata, pamiętasz? Wszystko jest odbiciem świata zewnętrznego lub czymś porrrrwanym z tamtego świata, lub czymś wycarrrrrowanym przez Krrrrólową. Ukrrrrywa się w drzewach i porrrrusza tak szybko, że tego nie widzisz. Znasz pająki?

– Oczywiście.

– No więc pajak przędzie sieć. Senki przędą sny. Tutaj to całkiem łatwe. Świat, z którrrego ty przybyłaś, jest prrrrawie rrrealny. Ten świat jest prawie nierrrealny, więc właściwie jest snem. Senk przędzie twój sen, a ty w niego wpadasz. Jeśli coś zjesz we śnie, już nigdy nie będziesz chciała z niego wyjść.

Patrzył tak znacząco, jakby uważał, że opowieść powinna była zrobić na niej wielkie wrażenie.

– Ale co ma z tego senk?

– Lubi przyglądać się snom. Cieszy go, jeśli tobie jest tam dobrze. I będzie się przyglądał, jak zajadasz w śnie, a ty w tym czasie umrzesz z głodu. I wtedy senk zje ciebie. Nie od rrrazu oczywiście. Poczekaj, aż się trrrroszeczkę rrrrozłożysz, bo senk nie ma zębów.

– Więc jak mam się od niego uwolnić?

– Najlepiej znaleźć senka – odparł Rozbój. – On będzie we śnie razem z tobą, w przebraniu. No a wtedy wystarczy mu solidnie przywalić.

– A co dokładnie macie na myśli, mówiąc o przywaleniu?

– Zazwyczaj znakomicie działa odcięcie głowy.

Rzeczywiście, pomyślała Akwila, to zrobiło na mnie wrażenie. Choć wcale tego nie chcę.

– I to ma być Kraina Baśni? – zapytała.

– Jasne. Można by rzec, że to jej ciemne strony, których turyści zazwyczaj nie dostrzegają. A ty dajesz sobie tu świetnie radę. Walczyłaś z nim. Widziałas, że coś ci się nie zgadza.

Akwila przypomniała sobie przyjacielskiego kota i spadającą pasterkę. Starła się przesłać samej sobie wiadomość. Powinna była jej posłuchać.

– Dziękuję, że przybyliście mnie uratować – powiedziała potulnie. – Jak wam się to udało?

– Wszędzie potrrrrafimy znaleźć drogę, nawet do snów. – William się uśmiechnął. – Pamiętaj, że jesteśmy złodziejaskami.

Kawałek senka spadł z drzewa w śnieg.

– Żaden z nich mnie już nie dostanie! – oświadczyła.

– Wierzę ci. W twoich oczach widać żądzę morrrrdu. – W głosie Williama brzmiał podziw. – Gdybym był senkiem, no i oczywiście gdybym miał odrrrrobinę rrrrozumu, zacząłbym się bać. Tylko pamiętaj, że ich jest wielu, a niektórzy są całkiem przebiegli.

Krrrrólowa używa ich jako strrrrażników.

– Nie dam się oszukać! – Przypomniała sobie przerażenie, które ogarnęło ją w momencie, gdy to coś zaczęło zmieniać kształt. Najgorsze było, że wszystko działo się w jej domu, u niej. Wielka bezkształtna postać chodząca po jej kuchni budziła przerażenie, ale również gniew. Ponieważ wtargnęła na jej obszar.

To coś nie tylko próbowało ją zabić, ono ją obraziło...

William przyglądał się Akwili.

– Trzeba przyznać, że wyglądasz na nieźle wściekłą – ocenił. – Musisz barrrrdzo kochać swego brrrrata, jeśli potrafisz stanąć przeciw takim potworrrrom w jego obrrrronie...

Akwila nie potrafiła tego nie pomyśleć. Nie kochanego. Wiem, że nie. On jest taki... lepki i nie nadaża, kiedy idę, i zbyt dużo czasu zabiera mi opiekowanie się nim, no i na dodatek ciągle czegoś chce. Nie da się z nim rozmawiać. On nie mówi, tylko wrzeszczy.

Ale druga myśl, która nadeszła, mówiła tak: On jest mój. Mój świat, mój dom, mój brat. Jak śmie ktoś ruszać coś, co do mnie należy!

Została tak wychowana, by nie być samolubna. I wiedziała, że taka nie jest, w odróżnieniu od wielu ludzi. Starła się myśleć o innych. Nigdy nie sięgała po ostatni kawałek chleba. Ale to, co czuła teraz, było czymś zupełnie innym.

Nie robiła tego dzięki szczególnej odwadze, szlachetności czy dobroci. Robiła, ponieważ powinno być zrobione, ponieważ nie wyobrażała sobie, że mogłaby tego nie zrobić.

Pomyślała:

+++++

... Światło babci Dokuczliwej kluczące powoli pomiędzy wzgórzami, w lodowatą, lśniąca gwiazdami noc lub podczas szalejącej burzy. Babcia ratowała jagnięta przed zamarznięciem i barany przed upadkiem w przepaść. Marzyła i wędrowała umordowana wzgórzami przez noc, by odnaleźć jakąś głupią owcę, która nigdy nie powiedziała dziękuję i było bardzo prawdopodobne, że przygoda niczego jej nie nauczy i wkrótce wpadnie w podobne kłopoty. Robiła to, ponieważ nie przyszło jej nawet do głowy, że mogłaby tego nie zrobić.

Pewnego dnia, gdy Akwila szła z babcią, spotkały na ścieżce obwoźnego handlarza z osiołkiem. To był mały osiołek i ledwo dało się go dostrzec pod pakunkami, które niósł na grzbiecie. A kiedy się potknął i upadł, handlarz uderzył go.

Akwila aż krzyknęła na ten widok, babcia spojrzała na nią, a potem powiedziała coś do Grzmotu i Błyskawicy...

Handlarz usłyszał warkot i znieruchomiał. Psy zajęły pozycje po jego bokach, tak że nie mógł ich widzieć obu naraz. Podniósł kij, jakby chciał uderzyć Błyskawicę, ale Grzmot tylko głośniejsz warknął.

– Radziłabym ci tego nie robić – odezwała się babcia.

To nie był głupi człowiek. Oczy wpatrzonych w niego psów przypominały metalowe kulki. Opuścił ramię.

– A teraz odrzuć kij – powiedziała babcia.

Posłuchał jej. Wypuścił kij z ręki tak gwałtownie, jakby nagle zaczął go parzyć.

Babcia Dokuczliwa podniosła kij. Akwila pamiętała, że był długi i giętki jak bicz.

Nagle, tak szybko, że ruch ręki był tylko mignięciem, babcia smagnęła handlarza dwukrotnie po twarzy na krzyż, zostawiając dwa czerwone ślady. Już miał się odwinąć, ale resztką rozumu zatrzymała go, bo psy aż się rwały do ataku.

– To boli, prawda? – zapytała uprzejmie babcia. – Teraz chciałam ci powiedzieć, że wiem, kim jesteś, myślę też, że ty wiesz, kim jestem ja. Sprzedajesz garnki i patelnie, wcale nie są

złe. Ale uprzedzam, jeśli powiem słowo, nie będziesz mógł na tych wzgórzach już niczego sprzedać. Lepiej nakarm osła, a nie chłostaj go. Słyszysz?

Handlarz przytaknął, nie otwierając oczu. Dłonie mu się trzęsły.

– Wystarczy – oświadczyła babcia i w tej samej chwili psy stały się dwoma grzecznymi owczarkami. Wywiesiły języki i usiadły spokojnie.

Handlarz odczepił część pakunków i sam sobie je włożył na grzbiet, a potem bardzo delikatnie pogonił osiołka drogą. Babcia przyglądała mu się, nabijając fajkę tytoniem Wesoły Żeglarz. A kiedy ją zapaliła, powiedziała, jakby ta myśl właśnie jej przyszła do głowy:

– Ci, którzy mogą, muszą robić za tych, co nie mogą. I ktoś musi mówić za tych, którzy nie mają głosu.

Akwila pomyślała: Czy na tym polega bycie czarownicą? Nie tego się spodziewałam.

Kiedy zdarzy się ta dobra część? Wstała.

– Ruszajmy – powiedziała.

– Nie jesteś zmęczona? – zapytał Rozbój.

– Jak się ruszymy, to się rozruszam!

– Tak? Najprawdopodobniej udała się do swego pałacu za lasem. Jeśli cię nie poniesiemy, zajmie nam to kilka godzin...

– Będę szła! – Wspomnienie wielkiej martwej twarzy senka starało się wedrzeć w jej umysł, ale gniew nie pozostawiał na nic miejsca. – Gdzie jest moja patelnia? Dziękuję. Idziemy.

Ruszyła pomiędzy dziwne drzewa. Ślady kopyt prawie lśniły w mroku. Tu i tam przecinały je jakieś inne ślady-ślady, które mogły pozostawić ptaki, postrzępione okrągłe ślady nóg, które mogło zostawić cokolwiek, esy-floresy, które mógł pozostawić wąż, jeśli istnieją śnieżne węże.

Prałudki biegły po obu jej stronach w równych liniach.

Chociaż jej gniew już się stępił, patrzenie na otaczającą ją nie-rzeczywistość wywoływało ból głowy. To, co znajdowało się daleko, zbliżało się nazbyt blisko. Drzewa, które mijała, zmieniały kształty...

Prawie nierealne, powiedział William. Prawie sen. Temu światu brakowało realności przy większych odległościach i kształtach. Czarodziej malarz malował jak oszalały. Kiedy patrzyła uważnie na drzewo, stawało się bardziej podobne do prawdziwego, a mniej do czegoś, co rysował Bywart z zamkniętymi oczami.

To jest wymyślony świat, stwierdziła Akwila. Prawie jak opowieść. Drzewa nie muszą być dokładnie wykończone, bo kto w opowieści zwraca, uwagę na wygląd drzewa?

Zatrzymała się na niewielkiej polance i popatrzyła na drzewo uważnie. Wydawało się, że ono zdaje sobie sprawę z jej spojrzenia. Stawało się bardziej realne. Pień robił się chropowaty, gałęzie odpowiednio grube, a z tych grubych wyrastały małe gałązki.

Wokół jej stóp topniał śnieg. Chociaż „topniał” nie było najlepszym słowem. Po prostu znikał, zostawiając liście i trawę.

Gdybym była światem, w którym jest za mało realności, pomyślała Akwila, to śnieg byłby mi bardzo na rękę. Nie wymaga zbyt wiele wysiłku. To tylko białe coś. Wszystko jest w jednej barwie. To bardzo proste. Ale ja mogę to skomplikować. Jestem bardziej realna niż ten świat.

Usłyszała bzyczenie wokół głowy, podniosła wzrok.

Nagle w powietrzu było pełno małych ludzi, mniejszych niż Figle, ze skrzydłami jak ważki. Lśniły złotem. Zachwycona podniosła rękę...

I w tym samym momencie poczuła, jak cały klan Fik Mik Figli ląduje jej na plecach i powalają prosto w śnieg.

Kiedy zdołała się pozbierać, ujrzała, że polanka jest polem bitwy. Praludki podskakiwały i cięły latające stworki, które bzyczały wściekle niczym osy. Na jej oczach dwa zaatakowały Rozbója, podnosząc go za włosy w górę.

Wierzgał i wyrywał się, wisząc w powietrzu. Akwila złapała go w pasie, drugą dłonią odtrącając latające stworki. Dość łatwo było się ich pozbyć, trzepotały w powietrzu niczym kolibry. Jeden z nich, zanim odfrunął, ugryzł ją w palec.

Ktoś zaintonował:

– Oooooooooooooooooeeerrrrr...

Rozbój szarpał się w dłoni Akwili.

– Postaw mnie na ziemi! – krzyczał. – Nadchodzi poezja!

Rozdział dziewiąty.

Zagubieni chłopcy

Jęk przetoczył się wokół polany, zawodząc, jakby...

- ... rrrraaaaaaoooooooo...

... jakby zwierzę wyło w ogromnym bólu. Ale był to tylko Nie-tak-duży-jak-Średniej-Wielkości-Jock-ale-większy-niż-Ciut-Jock-Jock, stojący na zaspie śnieżnej, z jedną dłonią przyciśniętą do serca, a drugą wyciągniętą teatralnie.

Ponadto przewracał oczami.

– ... 000000000000000000000000000000000000...

– Co za straszliwa przypadłość, kiedy mężczy cię talent – powiedział Rozbój, zatykając dłońmi uszy.

– Ooo jest wielkim lamentem i przeraźliwym
przerażeniem – jęczał praludek – ponieważ widzimy nędzę Krainy Baśni i jej rozpad.

Latające stworzenia przestały atakować, rozpięchły się w panice, wpadały jedne na drugie.

– Ponieważ dzień w dzień zdarzają się przeraźliwe wydarzenia w znacznej ilości – recytował Nie-tak-duży-jak-Średniej-Wielkości-Jock-ale-większy-niż-Ciut-Jock-Jock – wliczając w to, przykrro mi to powiedzieć, powietrzny atak z drugiej strony całkiem atrakcyjnych dziwów.

Latacze zapiszczały. Niektóre wpadły w śnieg, a te, które wciąż zdolne były do lotu, utworzyły rój wokół drzewa.

– Czego doświadczyliśmy wszyscy i co ucziliśmy tą pieśnią! – wykrzyczał za nimi Nietak-duży-jak-Średnie-j-Wielkości-Jock-ale-wiekszy-niż-Ciut-Jock-Jock.

I zniknęły.

Figle pozbierały się z ziemi. Niektóre krwawiły, pogryzione przez wróżki. Kilka leżało skulonych, jęcząc.

Akwila spojrzała na swój palec. Po ugryzieniu widniały dwie małe dziurki.

– Nie jest najgorzej! – wykrzyczał z dołu Rozbój. – Nikogo nie zdołały uprowadzić, poszkodowani są tylko ci, którzy na czas nie za tkali uszu. Nie potrzeba im nawet lekarza.

Na śnieżnym pagórku William poklepywał przyjacielsko Nie-tak-dużego-jak-Średniej-Wielkości-Jock-ale-większego-niż-Ciut-Jock-Jock.

– Chłopcze – oświadczył z podziwem – tak zły poezji nie słyszałem już dawno. Obrrrrażliwa dla uszu, torrrrturrra dla duszy. Kilku ostatnim linijkom przydałoby się podszlifowanie, ale już teraz mogę śmiało powiedzieć, że jesteś barrrrdem.

Nie-tak-duży-jak-Średniej-Wielkości-Jock-ale-większy-niż-Ciut-Jock-Jock pokraśniał z dumy.

W Krainie Baśni słowa mają prawdziwą moc, pomyślała Akwila. A ja jestem prawdziwsza od nich. Muszę to zapamiętać.

Praludki znowu zebrały się w porządku bojowym, choć był to raczej nieporządek.

Tym razem Akwila nie rwała się naprzód.

– No to miałaś swoje elfy – powiedział Rozbój, widząc, jak dziewczynka ssie palec. – Czy teraz jesteś szczęśliwsza?

– Dlaczego próbowały cię uprowadzić?

– Zanoszą ofiary do swych gniazd, gdzie ich małe...

– Przestań! – zawołała Akwila. – To będzie bardzo straszne, prawda?

– Owszem. – Rozbój się uśmiechnął. – Makabryczne.

– I ty kiedyś tutaj żyłeś?

– Tak, tyle że wtedy nie było aż tak źle. Doskonale też nie, ale Królowa w tamtych czasach nie była taka zimna. Wtedy jeszcze był Król. To ją uszczęśliwiało.

– Co się wydarzyło? Czy Król umarł?

– Nie. Padły pewne słowa, jeśli rozumiesz, co chcę powiedzieć.

– Chodzi ci o kłótnię...

– No jakby trochę – zgodził się. – Ale to były magiczne słowa. Zniszczony las, po górze ani śladu, parę setek zabitych, takie tam. Kraina Baśni nigdy nie była bułką z masłem, nawet w dawnych czasach. Ale przy pewnej czujności dało się żyć. Były tu nawet kwiaty, dziewczyny i lato. Teraz są senki, żądłące elfy i inne stworzenia, które wpełzają tu ze swoich światów i całe to miejsce schodzi na piekielne sfory.

Zjawiają się tu istoty ze swoich światów, myślała Akwila, przedzierając się przez śnieg. Światy są ściśnięte niczym groszki w strączku, a nawet chowają się jedno w drugim, przenikają niczym bańki mydlane.

Zobaczyła oczami wyobraźni stwory przepełzające ze swych światów do innych, jak myszy, które włązą do spiżarni. Tyle że były dużo gorsze od myszy.

Co zrobiłby senk, gdyby dostał się do naszego świata? Nikt by nie wiedział, że on tam jest. Siedziałby w kącie i nawet by się go nie widziało, ponieważ on by na to nie pozwolił. I zmieniałby sposób, w jaki postrzegasz rzeczywistość, zsyłałby na ciebie koszmary, tak że w końcu pragnąłbyś umrzeć...

A jej pierwszorzędne myślenie podsunęło następującą refleksję: Ciekawam, ile ich już się tam znalazło, choć tego nie wiemy?

A ja jestem w Krainie Baśni, gdzie sny potrafią ranić. Gdzie wszystkie opowieści, wszystkie ballady są prawdziwe. Myślałam, że to dziwne, co powiedziała wodza...

Nadeszła druga wąpiąca myśl: Zaczekaj, czy to było pierwszorzędne myślenie? Ależ nie, pomyślała Akwila, to już myśl trzecia, ta co przychodzi po myśli pierwszej spontanicznej, i po drugiej wąpiącej, czyli jest to myśl najrozsądniejsza. Myślę o tym, co myślę, że myślę. A przynajmniej tak właśnie myślę.

Jej druga (wąpiąca) myśl nakazała: Spokój! Bo już straszny natłok myśli w tej głowie.

Las wydawał się nigdzie nie kończyć. Choć może był to całkiem mały las, który w jakiś sposób przesuwał się wraz z nimi. Ostatecznie była to Kraina Baśni. Trudno mieć do niej zaufanie.

Śnieg wciąż znikał w miejscach, gdzie Akwila stawiała nogi, i wystarczyło, by tylko popatrzeć na drzewo, a od razu piękniało i zaczynało wyglądać jak prawdziwe.

Królowa jest, pomyślała Akwila, no cóż... po prostu Królową. Ma własny świat. I może z nim zrobić wszystko, co chce. A że cieszy ją wykradanie rzeczy i mieszanie w ludzkich losach...

Doszedł ją z oddali tętent kopyt.

To ona! Co powinnam zrobić? Co powinnam powiedzieć?

Fik Mik Figle ukryły się za pniami drzew.

– Zejdź ze ścieżki! – wysyczał Rozbój.

On nadal może z nią być! – Akwila ścisnęła kurczowo rączkę patelni i wpatrywała się w błękitne cienie pomiędzy drzewami.

No to co? Przecież go jej nie wykradniesz. Ostatecznie to jest Królowa. Królowej nie bije się jak jakiegoś pionka.

Tętent był coraz głośniejszy, teraz brzmiał tak, jakby biegło kilka zwierząt.

W prześwicie między drzewami pojawił się jeleni, unosiły się nad nim kłęby pary.

Spojrzał na Akwilę przekrwionymi oczami, a potem skoczył. Padając na ziemię, czuła

jego wstrętny zapach i własny pot płynący po karku.

To było prawdziwe zwierzę. Takiego rogacza nie można sobie wyobrazić.

A potem przyszły psy...

Pierwszego trafiła brzegiem patelni, którą machnęła niczym rakieta tenisową. Kiedy drugi już miał ją dosięgnąć zębami, zrezygnował na rzecz spojrzenia w dół, zdziwionego spojrzenia na dziesiątki praludków, które się pojawiły pod jego łapami. Trudno gryźć kogokolwiek, jeśli każda z czterech łap przesuwa się w innym kierunku, a w dodatku inne praludki lądują ci na głowie i po chwili gryzienie kogokolwiek staje się po prostu... niemożliwe. Fik Mik Figle nienawidzą piekielnych sfor.

Akwila podniosła wzrok na białego konia. On również, tak dalece jak potrafiła to powiedzieć, był prawdziwy. Dosiadał go chłopiec.

– Kim jesteś? – zapytał. Ale zabrzmiało to jak: Jakim jesteś stworzeniem?

– A kim ty jesteś? – zapytała Akwila, odsuwając włosy z twarzy. Nie potrafiła w tym momencie wymyślić niczego lepszego.

– To jest mój las – odparł chłopiec. – Rozkazuję ci, byś robiła to, co ci powiem!

Akwila przyjrzała mu się. Mętne światło z drugiej ręki używane w Krainie Baśni nie było zbyt dobre, ale im bardziej się przyglądała, tym była pewniejsza, że się nie myli.

– Masz na imię Roland, prawda? – zapytała.

– Nie będziesz tak do mnie mówić!

– Ależ tak! Jesteś synem barona.

– Żądam, żebyś zamilkła! – Chłopiec poczerwieniał i najwyraźniej wstrzymywał łzy.

Podniósł rękę, w której trzymał palcat...

Rozległo się bardzo ciche „brzdęk”. Akwila spojrzała w dół. Fik Mik Figle ustawiły się w wieżę aż pod brzuch konia, wdrapując się jeden drugiemu na ramiona, i właśnie przecięły popręg.

Wyciągnęła przed siebie dłoń.

– Stój! – krzyknęła, starając się, by zabrzmiało to jak rozkaz. – Jeśli pojedziesz, spadniesz z konia!

– A to niby co? Czar? Jesteś wiedźmą? – Chłopiec opuścił palcat, a wyciągnął z pochwy miecz. – Wiedźmom śmierć!

Spiął konia do skoku, uderzając go kolanami w boki, a potem nastąpił jeden z tych długich momentów, kiedy cały wszechświat mówi „uch!”, a po którym chłopak, nie wypuszczając miecza, wywinął kozła i upadł w śnieg.

Akwila świetnie wiedziała, co się teraz wydarzy. Głos Rozbója rozbrzmiał echem między

drzewami:

– No to teraz wpadłeś w kłopoty, chłopcze. Brać go!

– Nie!!! – wrzasnęła. – Zostawcie go!

Chłopiec odskoczył w tył, spoglądając w przerażeniu na Akwilę.

– Ja cię znam – powiedziała. – Masz na imię Roland. I jesteś synem barona. Mówili, że zginąłeś w lesie...

– Nie wolno ci o tym mówić!

– Dlaczego nie?

– Złe słowa się sprawdzają!

– Właśnie się sprawdziły. Posłuchaj – ciągnęła Akwila – przybyłam tutaj, by uratować mojego...

Ale chłopiec już się pozbierał i biegł przez las.

– Odejdź ode mnie! – krzyczał.

Ruszyła za nim, przeskakując przez pokryte śniegiem kłody drzew. Roland przebiegał od drzewa do drzewa. Nagle zatrzymał się i spojrzał w tył.

– Umie cię stąd wyciągnąć... – powiedziała w chwili, gdy go dogoniła. ... i tańczyć.

Trzymała dłoń papugi, a przynajmniej kogoś, kto miał głowę papugi.

Nogi poruszały się pod nią w doskonałym rytmie. Obracały nią w koło i tym razem kątem oka ujrzała pawia, a przynajmniej kogoś, kto miał głowę pawia. Zerknęła ponad ramieniem i uzmysłowiła sobie, że jest teraz w sali, i to nie byle jakiej, tylko w sali balowej pełnej tańczących ludzi w maskach.

Kolejny sen, pomyślała. Powinnam była patrzeć, gdzie idę...

Muzyka była rytmiczna, ale dziwna, jakby muzycy grali gdzieś na zapleczu albo pod wodą i w dodatku nigdy wcześniej nie widzieli swoich instrumentów na oczy.

Akwila uświadomiła sobie, że sama również patrzy przez otwory w masce. Miała na sobie długą lśniąca suknię. Zaciekawilo ją, jak sama wygląda.

No tak, pomyślała spokojnie. Musiał być jakiś sen, a ja nie zatrzymałam się, by popatrzeć. I teraz jestem we śnie. Ale to nie mój sen. Senki używają tego, co znajdują u człowieka w głowie, a ja nigdy czegoś takiego nie widziałam.

– Okt ca okto la kta? – zapytał paw. Jego głos brzmiał jak muzyka. Brzmiał prawie jak prawdziwy głos, ale nie do końca.

– O tak – odparła Akwila. – Świetnie.

– Caaa?

– Oh. Eee... uff okata la?

To najwyraźniej zadziało. Tancerz o głowie pawia lekko się skłonił.

– Mla law law – rzekł i odszedł.

Gdzieś tutaj musi być senk, powiedziała do siebie Akwila. I z pewnością nie jest mały.

Bo to sen na dużą skalę.

Jednak drobiazgi się nie zgadzały. W sali znajdowało się paręset osób, ale te dalsze, choć poruszały się w całkiem naturalny sposób, przypominały jej drzewa – jakby składały się z samych tylko kształtów i kolorów. Ale żeby to dostrzec, trzeba się było uważnie przyjrzeć.

Pierwszy rzut oka, pomyślała Akwila.

Ludzie w przepięknych kostiumach i maskach spacerowali wokół niej, tak jakby była kolejnym gościem. Ci, którzy nie przyłączyli się do tanecznego korowodu, gromadzili się teraz wokół długiego stołu uginającego się pod stosami jedzenia.

Akwila widziała takie potrawy tylko na obrazkach. Na farmie nikt nie głodował, ale nawet gdy jedzenia było w obfitości, w Noc Strzeżenia Wiedźm lub po zbiorach, nigdy to nie wyglądało jak tutaj. Jedzenie na farmie miało zazwyczaj kolor biały lub brązowy. Nigdy różowy ani niebieski, no i nigdy nie dygotało.

Były tu różności na patykach i miski, w których coś lśniło i błyszczało. Nic nie było zwyczajne. Każda potrawa ozdobiona została kremem lub esami-floresami z czekolady, lub tysiącami kolorowych kuleczek. Wszystko było zakręcone albo polukrowane, ozdobione albo pomieszane. To nie było jedzenie, raczej coś, co się może zjedzeniem stać, jeśli było tak dobre, że się dostało do jedzeniowego raj.

Bo nie tylko chodziło o jedzenie, chodziło o pokaz. Potrawy zostały zaaranżowane na zielonych liściach i ogromnych kwiatach. Tu i tam ogromne przezroczyste rzeźby przedzielały krajobraz dań. Akwila sięgnęła ręką, by dotknąć lśniącego kogucika. To był lód, który zaczął się topić pod jej palcami. Były też inne, na przykład radosny grubasek, misa pełna lodowych owoców, łabędź...

Przez chwilę czuła pokusę. Wydało jej się nagle, że minęło strasznie dużo czasu, od kiedy ostatni raz jadła. Ale jedzenie nazbyt wyraźnie wcale nie było jedzeniem. Było przynętą. Jego zadaniem było wołać: Hej, dziecino, zjedz mnie!

To mnie wcale nie ciągnie, pomyślała. Jak dobrze, że senk nie pomyślał o serze...

... I był ser. Zupełnie nagle, ale od zawsze, ser leżał na wszystkich stołach.

Widziała w kalendarzu ilustracje, na których pokazano dziesiątki różnych serów.

Znała się na serach i zawsze chciała spróbować tych znanych tylko z obrazka. To były sery z odległych stron o dziwnie brzmiących nazwach, jak W Trybach Dybach, Waniej Smaczniej, Stary Argg, Czerwony Prędko czy legendarny Lancrański Błękitny, którego trzeba

było przyszpilić do stołu, by nie rzucił się na inne sery.

Jeśli spróbuję odrobinę, z pewnością mi nie zaszkodzi, uznała. To nie to samo co jedzenie. Przecież panuję nad sytuacją. Przejrzałam ten sen na wylot. Więc z pewnością mi nie zaszkodzi.

A poza tym... trudno uznać ser za pokusę...

Co prawda senk ustawił sery w tej samej chwili, kiedy o nich pomyślała, ale jednak...

Miała już w ręku nóż do sera, a nawet nie pamiętała, kiedy po niego sięgnęła.

Zimne krople kapnęły jej na rękę. Podniosła wzrok na najbliższą rzeźbę z lodu – pasterkę ubraną w szeroką suknię i w dużym kapeluszu. Akwila była pewna, że kiedy patrzyła tam wcześniej, widziała łabędzia.

Znowu ogarnął ją gniew. O mały włos dałaby się oszukać! Spojrzała na nóż do sera.

– Bądź mieczem – rozkazała. Bo chociaż senk tworzył jej sen, ale śniła go ona. A ona była naprawdę. I część jej nie usnęła.

Brzdęk!

– Poprawka – powiedziała Akwila. – Bądź nie tak ciężkim mieczem. – Tym razem uzyskała coś, co mogła utrzymać.

Zieleń na stołach zaszeleściła i spośród liści wychynęła ruda głowa.

– Pssst! Nie jedz tych kanapek!

– Zgłaszacie się trochę zbyt późno.

– Cóż, mamy tu do czynienia ze starym chytrym senkiem – rzekł Rozbój. – Nie chciał nas wpuścić, dopóki nie zdobyliśmy odpowiedniego ubrania...

Wyszedł spomiędzy zieleni. Rzeczywiście wyglądał dość śmiesznie w czarnym smokingu. Liście znowu zaszeleściły i pokazały się inne praludki. Wyglądały trochę jak rudogłowe pingwiny.

– Odpowiedniego ubrania? – powtórzyła Akwila.

– Owszem – poświadczył Głupi Jaś, który miał na głowie liść sałaty. – A te spodnie są w pewnych miejscach nieco zbyt sztywne, proszę wybaczyć, że o tym wspominam.

– Czy wypatrzyłeś już to stworzenie? – zapytał Rozbój.

– Nie. Strasznie tu tłoczno.

– Pomożemy ci szukać – odparł. – On nie może się ukryć, jeśli podejdziesz naprawdę blisko. Ale uważaj. Jeśli domyśli się, że chcesz go załatwić, nie wiadomo, co spróbuje zrobić. Rozejdźmy się, chłopaki, będziemy udawać, że się dobrze bawimy na przyjęciu.

– Co? Masz na myśli, że będziemy pić i bić? – zapytał Głupi Jaś.

– Na litość! Nigdy bym w to nie uwierzył! – Rozbój przewrócił oczami. – Nie, ty głupku.

To jest eleganckie przyjęcie. Co oznacza rozmowy o niczym i zadawanie się z innymi.

– Och, w tym możesz zdać się na mnie. Nie muszę w ogóle rozmawiać! – odparł Głupi Jaś. – Idziemy.

Nawet we śnie, nawet na eleganckim balu Fik Mik Figle wiedziały, jak się zachować.

– Piękna pogoda jak na tę porę roku, mały skunksie, czyż nie?

– Hej, chłopcze, frytki dla wszystkich!

– Pieknie boska muzyka.

– Poproszę ten kawior bardziej wysmażony.

Z tłumem działo się coś dziwnego. Nikt nie panikował ani nie próbował uciekać, co powinno być oczywistą reakcją na inwazję Figli.

Akwila jeszcze raz się rozejrzała. Na nią ludzie w maskach też w ogóle nie zwracali uwagi. Ponieważ to postaci drugoplanowe, pomyślała. Tak samo jak drugoplanowe drzewa.

Przeszła przez salę do podwójnych drzwi i szeroko je otworzyła.

Za drzwiami panowała ciemność i nic więcej.

Więc... jedynym sposobem było odnalezienie senka. Zresztą niczego innego się nie spodziewała. Mógł kryć się wszędzie. Za każdą maską lub po prostu być stołem. Mógł być czymkolwiek.

Wpatrywała się w tłum. I właśnie wtedy dostrzegła Rolanda.

Siedział samotnie przy stole. Przy stole zastawionym jedzeniem. I trzymał w rękach łyżkę.

Podbiegła i wybiła mu ją na podłogę.

– Czy ty nie masz za grosz rozumu?! – zawołała, łapiąc go za ramiona. – Chcesz tutaj zostać na zawsze?

W tej samej chwili wyczuła za sobą ruch. Później nie potrafiła sobie przypomnieć, co właściwie usłyszała. Ale wiedziała, że coś się dzieje. Ostatecznie to był jej sen.

Obróciła się i zobaczyła senka. Ukrywał się za kolumną.

Roland tylko na nią patrzył.

– Nic ci nie jest? – pytała przerażona, starając się nim potrząsnąć. – Czy coś zjadłeś?

– Okt okto kta – wymamrotał.

Akwila odwróciła się z powrotem do senka. Szedł ku niej bardzo powoli, starając się chować wśród cieni. Wyglądał jak mały bałwan ulepiony z brudnego śniegu.

Muzyka stawała się coraz głośniejsza. Świece się rozjarzyły. Pośrodku olbrzymiej podłogi pary o zwierzęcych głowach wirowały coraz szybciej i szybciej. Podłoga dygotała.

Sen wpadał w kłopoty.

Fik Mik Figle zbiegały się do niej ze wszystkich stron, starając się przekrzyczeć panującą

wrzawę.

Senk także spieszył ku niej, wyciągając białe palce.

– Na pierwszy rzut oka – wyszeptała Akwila. I obcięła Rolandowi głowę.

Wszędzie topił się śnieg, a drzewa wyglądały porządnie, jak prawdziwe.

Senk upadł w tył tuż przed Akwilą. Trzymała w ręce starą patelnię, ale cięcie było doskonałe. Dziwna sprawa, sen.

Odwróciła się i stanęła przed Rolandem. Miał twarz tak białą, że na dobrą sprawę sam wyglądał jak senk.

– Bał się – powiedziała. – Chciał, żebym zaatakowała ciebie, nie jego. Starał się wyglądać jak ty i spowodować, żebyś ty wyglądał jak on. Ale on nie potrafi mówić. A ty tak.

– Mogłaś mnie zabić! – rzekł szorstko.

– Nie. Właśnie ci wyjaśniłam. Proszę, nie uciekaj. Czy widziałeś tutaj małego chłopca? Roland zmarszczył czoło.

– Jakiego chłopca? – zapytał.

– Królowa go porwała. Muszę go zabrać do domu. Jeśli chcesz, mogę zabrać także ciebie.

– Ja nigdy się stąd nie wydostanę – szepnął Roland.

– Ja tu weszłam, prawda?

– Wejść jest łatwo, ale nikt stąd nie wyjdzie!

– Zamierzam znaleźć drogę. – Akwila starała się mówić bardziej pewnie, niż się czuła.

– Ona ci nie pozwoli. – Roland znowu spoglądał gdzieś w bok.

– Proszę, nie bądź taki... taki głupi. Zamierzam odnaleźć Królową i zabrać mojego braciszka. Rozumiesz? Dotarłam tak daleko. I mam pomoc.

– Gdzie?

Rozejrzała się. Nie było śladu po Fik Mik Figlach.

– Pokażą się – odpowiedziała. – Kiedy będę ich potrzebować.

Nagle las wydał jej się... jakiś pusty. I zimny.

– Będą tu łąda chwila – powiedziała głosem pełnym nadziei.

– Zostali złapani przez sen – odparł bezbarwnym głosem Roland.

– Niemożliwe. Przecież zabiłam senka.

– To bardziej skomplikowane, niż ci się wydaje. Nie masz pojęcia, jak tu jest. Są sny w snach. Są... inne rzeczy, które żyją wewnątrz snów, okropne rzeczy. I nigdy nie wiesz, czy się obudziłaś naprawdę. To wszystko kontroluje Królowa. Poza tym pamiętaj, że to postacie

z bajek. Nie można im wierzyć. Nie możesz ufać nikomu. Nawet samej sobie. Zresztą ty też pewnie jesteś tylko snem.

Odwrócił się do niej plecami i odszedł, podążając śladem kopyt.

Zawahała się. Jedyna rzeczywista istota pozostawiała ją w miejscu, gdzie były tylko drzewa i cienie.

I oczywiście wszystkie te potworności, które mogły się spomiedzy nich w każdej chwili ukazać.

– Hej!... – zawołała. – Rozbój? William? Jaś?

Żadnej odpowiedzi. Nawet echa. Wokół panowała całkowita cisza, tylko serce Akwili waliło głośno.

Oczywiście pamiętała, że udało jej się walczyć i wygrywać. Ale zawsze towarzyszyły jej Figle i przez to wszystko wydawało się łatwe. Nigdy nie rezygnowały, potrafiły zaatakować absolutnie każdego i nie wiedziały co to lęk.

Akwila, która przeszła całą drogę przez słownik, miała wątpliwość na ten temat. „Lęk” najprawdopodobniej był jednym z tysięcy słów, których znaczenia praludki nie znały.

Niestety, tak się składało, że ona je znała. Znała też smak strachu i uczucie strachu. I wiedziała dobrze – właśnie teraz to czuje.

Złapała mocno patelnię. Która już nie wydawała się tak znakomitą bronią.

Błękitne cienie między drzewami wydawały się pogłębiać. Najciemniej było w oddali, tam gdzie prowadziły ślady kopyt. Co dziwniejsze, las za nią wydawał się prawie jasny i niesłychanie zachęcający.

Ktoś nie chce, żebym tam poszła, pomyślała. To było... całkiem zachęcające. Ale mrok bez wątpienia nie wyglądał przyjemnie. Mogło tam na nią czekać praktycznie wszystko.

Ona też czekała. Zdała sobie sprawę, że czeka na Fik Mik Figle, ma nadzieję wbrew nadziei, że nagle usłyszy ich głosy, nawet ucieszyłaby się, słysząc: „Na litość!” (była pewna, że Figlom nigdy zresztą o żadną litość nie chodziło!).

Wyjęła ropucha. Leżał na jej dłoni, pochrapując, więc go szturchnęła.

– Co? – zachrypiał.

– Znalazłam się w lesie zamieszkanym przez złe stworzenia, jestem tu całkiem sama i robi się ciemno – powiedziała Akwila. – Co powinnam zrobić?

Ropuch otworzył jedno zamglone oko.

– Iść stąd.

– Nic mi nie pomagasz!

– To najlepsza rada, jakiej ci mogę udzielić – odparł ropuch. – A teraz odłóż mnie

z powrotem, zimno wprowadza mnie w letarg.

Niechętnie schowała ropucha z powrotem do kieszeni, a przy okazji dotknęła książki „Choroby owiec”. Wyciągnęła ją i otworzyła na chybił trafił. Było tam lekarstwo na gazy, ale przekreślone ołówkiem. Obok na marginesie starannym dużym i okrągłym pismem babci Dokuczliwej zostało napisane:

+++++

Akwila zamknęła książkę i jak najdelikatniej, by nie obudzić śpiącego ropucha, wsunęła ją do kieszeni. Następnie, ściskając mocno rączkę patelni, wkroczyła w błękitne cienie.

Jak powstają cienie, jeśli na niebie nie ma słońca? – zastanawiała się, ponieważ znacznie lepiej było myśleć o takich sprawach niż o innych, mniej przyjemnych, które kłębiły się jej w głowie.

Ale te cienie nie potrzebowały słońca, by powstać. Pełzały całkiem samodzielnie po śniegu i wycofywały się, kiedy nadchodziła. Przynajmniej to niosło ulgę.

Potem zbierały się za nią. I podążały krok w krok. Odwróciła się i kilka razy tupnęła nogą – wtedy skryły się za drzewa, była jednak pewna, że gdy spojrzy do tyłu, pojawią się znowu.

W pewnej odległości przed sobą ujrziała senka. Stał na wpół ukryty za drzewem.

Wrzasnęła i machnęła ostrzegawczo patelnią. Szybko odszedł.

Kiedy się rozejrzała, zobaczyła jeszcze dwa za sobą, ale daleko.

Droga wiodła nieco pod górę coraz głębiej w świetlistą mgłę. Akwila ruszyła w tamtą stronę. Gdzie indziej miałyby pójść?

Kiedy dotarta na szczyt wzgórza, popatrzyła w dół na płytką dolinę.

Zobaczyła cztery senki – naprawdę duże, większe od tych, które widziała do tej pory.

Siedziały, tworząc kwadrat, z wyciągniętymi przed siebie pękatymi nogami. Każdy miał na szyi złotą obrozę, do której przyczepiony był łańcuch.

– Udomowione? – zdziwiła się. Ale... – Kto włożyłby senkowi na szyję obrozę? Tylko ktoś, kto potrafi śnić równie dobrze jak one.

My udomawiamy psy pasterskie, by pomagały nam zaganiać owce, pomyślała.

Królowa używa senków, by zaganiać sny...

Kwadrat, jaki tworzyły, wypełniała mgła. Ślady koni, ślady Rolanda prowadziły właśnie tam, a potem znikwały w chmurze mgły. Odwróciła się. Cienie ustąpiły nieco.

Wokół niej nie było nic. Nie śpiewały żadne ptaki, w lesie nic się nie poruszało. Ale potrafiła dostrzec w pewnym oddaleniu kolejne trzy senki zerkające na nią zza drzew. To ją zaganiały.

W takiej chwili jak ta miło byłoby mieć koło siebie kogoś, kto powie: „Zrezygnuj. To zbyt

niebezpieczne! Nie rób tego”.

Niestety nikogo takiego nie było. Zamierzała zdobyć się na akt niezwyklej odwagi i gdyby miało jej się nie udać, nikt się nawet o tym nie dowie. To budziło w niej lęk, ale też pewne... niezadowolenie. Ten cały świat budził w niej niezadowolenie. Był głupi i dziwny.

Dokładnie to samo czuła, kiedy Jenny wyskoczyła z wody. Z jej rzeki. I gdy Królowa porwała jej brata. Może takie myślenie świadczyło o egoizmie, ale gniew był lepszy od strachu. Strach oznaczał zimną moką masę, gniew miał ostrza. A to się mogło przydać.

Zaganiały ją! Niczym... owcę.

No cóż, rozgniewana owca umiała poradzić sobie z psem, tak że zmykał z podkulonym ogonem.

Więc...

Cztery wielkie senki siedziały w czworoboku.

To miał być naprawdę potężny sen... Podniosła patelnię na wysokość ramienia.

Poradzi sobie z każdym, kto się nawinie. Nagle poczuła nieopanowaną chęć, by pójść do toalety. Szła powoli stokiem, przez śnieg, przez mgłę... wiało.

Rozdział dziesiąty.

Wielkie uderzenie

Nagle zrobiło się tak gorąco, jakby ktoś włączył ogromny palnik. Akwila nie mogła złapać tchu.

Dostała kiedyś udaru słonecznego, wysoko w górach, kiedy wybrała się tam bez nakrycia głowy. Wtedy czuła się tak samo jak teraz, świat wokół był nieładnie zielony, żółty i czerwony, bez żadnych cieni. Powietrze było tak rozgrzane, że mogłaby z niego wycisnąć dym.

Przedzierała się przez... trzciny, tak przynajmniej wyglądały, tylko że były dużo wyższe od niej.

... Pomiędzy trzcunami rosły słoneczniki...

... tylko że płatki miały białe...

... ponieważ tak naprawdę to wcale nie były słoneczniki.

To były stokrotki. Z całą pewnością. Przyglądała im się tyle razy, na dziwnym rysunku w „Księdze dziecięcych baśni”. To były stokrotki, i wokół wcale nie rosły trzciny, tylko żdźbła, trawy, a ona stała się bardzo mała.

Znajdowała się na dziwnym rysunku. Obrazek był snem. Lub sen był na obrazku.

Choć tak naprawdę nie miało to znaczenia, ponieważ ona znajdowała się wewnątrz. Jeśli spadasz z urwiska, nieważne, czy ziemia podniosła się w górę, czy ty lecisz w przepaść. Tak czy siak jesteś w kłopotach.

Gdzieś z oddali doszedł ją głośny trzask, a po nim gromki wiwat. Ktoś klaskał, następnie odezwał się zaspąnym głosem:

– Dobra robota. To mistrz. Znakomicie...

Akwila z trudem przedzierała się przez trawy.

Na płaskiej skale jakiś mężczyzna rozbijał orzechy sięgające mu do pasa, oburącz trzymając młotek. Jego wyczyny oglądał tłum ludzi. Akwila pomyślała „ludzie” tylko

dlatego, że nie potrafiła znaleźć bardziej odpowiedniego słowa, ale jego znaczenie należało nieco naciągnąć, aby pasowało do tych... ludzi.

Bardzo różnili się między sobą wzrostem. Jedni byli wyżsi od niej, choć nikt nie wystawał głową ponad trawy. Byli też bardzo małący. Inni mieli twarze, na które nie chciałoby się spojrzeć powtórnie, a jeszcze inni takie, których nie chciałoby się oglądać w ogóle.

To jest tylko sen, powiedziała do siebie Akwila. Nie musi mieć sensu ani być miły. To sen, nie marzenie. Ludzie, którzy życzą innym, by spełniły się im wszystkie sny, powinni pomieszkać choćby pięć minut w jednym z nich.

Wyszła na jasną polankę, gdzie było chyba jeszcze cieplej niż między trawami. W tej właśnie chwili mężczyzna znów dźwignął młotek do uderzenia.

– Przepraszam – odezwała się.

– Tak? – podniósł na nią wzrok.

– Czy jest tu gdzieś Królowa? – zapytała Akwila.

Otarł czoło i kiwnął głową, pokazując drugą część polany.

– Jej wysokość udała się do swojej altany – powiedział.

– Chodzi o zakątek lub miejsce odpoczynku? – zapytała, przypominając sobie definicję ze słownika.

Pokiwał głową.

– Zgadza się, panno Akwilo.

Nie zapytam, skąd zna moje imię, postanowiła.

– Dziękuję – odparła, a ponieważ była dobrze wychowana, do dała: – Życzę szczęścia w rozbijaniu orzechów.

– Ten będzie najtwardszy – mężczyzna wskazał orzech leżący na skale.

Akwila odeszła, starając się udawać, że cudaczny zbiór postaci nie jest dla niej czymś nadzwyczajnym. Najbardziej przerażające były dwie wielkie kobiety.

Duże kobiety ceniono na Kredzie. Farmerzy lubili mieć takie żony. Praca na farmie jest ciężka i do niczego nie przyda się dziewczyna, która nie da rady przenieść pod pachami pary prosiaków lub nie zarzuci sobie na plecy snopka zboża. Ale te wyglądały, jakby potrafiły udźwignąć konia, i to każda z osobna. Spoglądały na Akwilę z wyższością.

I miały idiotyczne małeńkie skrzydełka na plecach.

– Piękny dzień na przyglądanie się rozłupywaniu orzechów! – radośnie wykrzyknęła Akwila, mijając je.

Zmarszczyły ogromne blade twarze, jakby w wysiłku zrozumienia, kim ona jest.

W pobliżu kobiet, obserwując rozłupywanie orzechów z wielką uwagą, siedział

człowieczek z białą brodą i spiczastymi uszami. Miał na sobie bardzo staroświeckie ubranie.

Popatrzył za Akwilą, gdy go minęła.

– Dzień dobry – odezwała się.

– Sneeps! – oświadczył, a w jej głowie pojawiły się słowa: „Uciekaj stąd!”.

– Przepraszam? – zapytała.

– Sneeps! – powtórzył, machając rękami. Tym razem w jej głowie pojawiły się słowa: „To okropnie niebezpieczne!”.

Wymachiwał bladymi rękami, jakby chciał ją przepędzić. Odeszła, kręcąc w zdumieniu głową.

Poza tym byli tu szlachetni panowie i damy, ludzie w pięknych strojach, a nawet kilka pasterek. Ale część wyglądała, jakby poskładano ich z różnych kawałków. Dokładnie tak jak na obrazkach w książce, którą trzymała w sypialni.

Obrazki wykonane były z grubego kartonu i miały rogi zniszczone przez kolejne pokolenia dzieci Dokuczliwych. Na każdej kartce widniała inna postać, przy czym kartka podzielona była na cztery oddzielne pasy, które można było przekładać niezależnie. Nudzące się dziecko mogło tak przekładać pasy, by postaci zmieniały ubrania. Można było dojść do sytuacji, w której głowa żołnierza miała pierś piekarza, spódnicę i farmerskie buty.

Akwila potrafiła tym bawić się bez końca. A teraz ludzie wokół niej wyglądali dokładnie tak, jakby ktoś ich wyjął z tej książki lub jakby się ubierali po ciemku na bal przebierańców. Kilkoro ukloniło się jej, gdy przechodziła, nikt też nie wyglądał na zdziwionego obecnością dziewczynki tutaj.

Przykucnęła pod liściem dużo większym od niej samej i wyjęła ropucha z kieszeni.

– Brrr! Ale zimno – jęknął.

– Zimno? Jest jak w rozgrzanym piecu!

– Wszędzie tylko śnieg – powiedział ropuch. – Odłóż mnie z powrotem. Zamarzam.

Chwileczkę, pomyślała Akwila.

– Czy ropuchy śnią? – zapytała. – Nie!

– Och... więc tu wcale nie jest gorąco?

– Nie, tylko ty tak myślisz.

– Pssst! – rozległo się obok.

Akwila wsunęła ropucha do kieszeni i zastanowiła się, czy ma odwagę odwrócić głowę.

– To ja – powtórzył głos.

Spojrzała w stronę kępki stokrotek dwa razy większych niż mieszkańcy tego lasu.

– To zbyt mało...

– Jesteś stuknięta? – zapytały stokrotki.

– Szukam brata – odpowiedziała Akwila ostrym głosem.

– To ten okropny dzieciak, który przez cały czas wrzaskiem domaga się słodczy?

Kępka stokrotek rozchyliła się i ponad łądygami przeskoczył Roland. Schował się obok niej pod liściem.

– Tak – odpowiedziała niechętnie, ponieważ czuła, że nawet o takim bracie jak Bywart tylko siostra ma prawo mówić „okropny”.

– A kiedy się go zostawi na chwilę samego, od razu woła siusiu? – dopytywał się Roland.

– Tak! Gdzie on jest?

– I to jest twój brat? Permanentnie lepki dzieciak?

– Już ci mówiłam.

– I naprawdę chcesz go z powrotem?

– Tak!

– Dlaczego?

Jest moim bratem, pomyślała Akwila. Co ma z tym wspólnego jakieś „dlaczego”?

– Bo to mój brat! A teraz powiedz mi, gdzie on jest.

– Czy jesteś pewna, że uda ci się stąd wyjść? – zapytał Roland.

– Oczywiście – skłamała Akwila.

– I możesz mnie zabrać ze sobą?

– Tak. – Przynajmniej miała taką nadzieję.

– W porządku. Pozwolę ci to zrobić.

– Ach tak, ty mi pozwolisz?

– Posłuchaj, przecież nie wiedziałem, kim jesteś, tam w lesie – tłumaczył Roland. – Spotyka się tam najdziwniejsze rzeczy. Zagubionych ludzi, kawałki snów... trzeba uważać. Ale jeśli naprawdę znasz drogę powrotną, to chyba powinienem z tobą wrócić, zanim mój ojciec zacznie się poważnie martwić.

Akwila poczuła, jak druga myśl (ta, która niesie wątpliwość) jej podpowiada: „Nie zmieniaj wyrazu twarzy. Pytaj”.

– Długo tutaj jesteś? – zapytała, starannie dobierając słowa. – Czy możesz określić dokładnie?

– Cóż, światło niezbyt się zmieniło w tym czasie – powiedział chłopiec. – Mam wrażenie, że jestem tutaj parę... no, godzin. Może dzień...

Akwila robiła wszystko, by jej twarz niczego nie zdradziła, ale to się nie udało.

Roland przyglądał się jej uważnie.

– Byłem tu parę godzin, prawda?

– No... a czemu pytasz? – rozpaczliwie usiłowała uniknąć odpowiedzi.

– Ponieważ jednak... czuję, że trwało to... dłużej. Miałem ochotę na jedzenie tylko dwa albo trzy razy, no i ze dwa razy poszedłem... wiesz gdzie, więc nie mogło minąć wiele czasu. Ale robiłem tyle różnych rzeczy... to był dzień pełen wrażeń... – jego głos ucichł.

– Hm. Masz rację – zgodziła się z nim Akwila. – Tutaj czas płynie wolniej. To trwało... trochę dłużej...

– Sto lat? Tylko mi nie mów, że minęło sto lat. Że zadziałały czary i sto lat przeszło jak z bicza strzelił.

– Co? Tyle nie. Ale... prawie rok.

Reakcja chłopca ją zaskoczyła. Teraz naprawdę wyglądał na przestraszonego.

– O nie, to gorsze niż sto lat!

– Jak to?

– Gdybym wrócił po stu latach, nie dostałbym lania.

No, no, pomyślała Akwila.

– Nie sądzę, żeby czekało cię coś takiego – powiedziała. – Twój ojciec był bardzo nieszczęśliwy. Poza tym to nie twoja wina, że porwała cię Królowa – zawahała się, bo tym razem jego zdradził wyraz twarzy. – Czyżby twoja?

– Kiedy polowałem w lesie, obok mnie pojawiła się piękna dama na koniu z dzwoneczkami przy uprzęży, śmiała się, więc oczywiście spiąłem konia, żeby ją dogonić i... – zamilkł.

– To chyba nie była rozsądna decyzja – westchnęła Akwila.

– Tutaj nie jest... źle. Tylko że ciągle się... zmienia. Drzwi można znaleźć wszędzie. Chodzi mi o drzwi do innych... światów...

– Lepiej zacznij od początku – poprosiła Akwila.

– Najpierw było fantastycznie – zaczął opowiadać. – Myślałem, że to przygoda. Karmiła mnie słodkimi przysmakami...

– Jakimi? Lodami?

Roland tak intensywnie myślał, że twarz mu poczerwieniała z wysiłku.

– Nie, to były raczej nugaty. A potem kazała mi śpiewać i tańczyć, bawić się i skakać. Powiedziała, że tak zachowują się dzieci.

– I robiłeś to, co chciała?

– A ty byś robiła? Czułem się jak idiota. Mam już dwanaście lat. – Roland zawahał się. – Ale jeśli powiedziałaś prawdę, to mam już trzynaście.

– Dlaczego chciała, żebyś skakał i się bawił? – zapytała Akwila, która nie chciała mu powiedzieć: „Nie, wciąż masz dwanaście lat, a zachowujesz się jak ośmiolatek”.

– Po prostu powiedziała, że to właśnie robią dzieci – odparł Roland.

Akwila zastanowiła się nad jego słowami. W jej opinii dzieci głównie kłóciły się, krzyczały, biegały, śmiały się głośno, brudziły się i obrażały. Jeśli kiedyś widziała jakieś skaczące i kręcące się w kółko, to najprawdopodobniej oznaczało, że użądliła je osa.

– Dziwne – mruknęła.

– A kiedy nie chciałem tego robić, dała mi jeszcze więcej słodczy.

– Więcej nugatów?

– Nie, wtedy to były śliwki w cukrze – rzekł Roland. – Są jak normalne śliwki, tylko z cukrem. Cały czas mi dawała cukier. Myślała, że ja go lubię.

W pamięci Akwili odezwał się dzwoneczek.

– Może ona stara się ciebie utuczyć, a potem upiec w piekarniku i zjeść?

– Na pewno nie. Tak robią tylko złe jędze.

Akwila przyjrzała mu się uważnie.

– No oczywiście – powiedziała ostrożnie. – Zapomniałam. Więc żyłeś słodczami?

– Nie, ponieważ umiem polować! Tutaj dostają się prawdziwe zwierzęta. Nie wiem jak. Sneebs uważa, że trafiają w drzwi przez przypadek. A potem umierają z głodu, bo tu zawsze panuje zima. Ponadto Królowa czasami wysyła piratów na rozbój do któregoś interesującego ją świata. Ta jej kraina jest jak... piracki statek.

– Tak, albo jak kleszcz – stwierdziła Akwila.

– Co to jest kleszcz?

– Pasożyt. Przyczepia się do owcy i pije jej krew. Odpada, dopiero kiedy jest pełen.

– Aha. O tym z pewnością wie każdy wieśniak – domyślił się Roland. – Cieszę się, że ja tego nie wiem. Zaglądałem przez drzwi do kilku światów. Ale oni mnie tam nie wypuszczali. Z jednego braliśmy kartofle, z innego ryby. Myślę, że ludzie ze strachu oddawali im daniny. No i był świat, z którego pochodzą senki. Śmiali się, że tam mnie mogą puścić, jeśli tylko chcę, ale nie chciałem. Jest całkiem czerwony, jak zachód słońca. Wielkie czerwone słońce wisi nad horyzontem ponad wielkim nieruchomym czerwonym morzem, są też czerwone skały, które rzucają długie cienie. Na skałach siedzą okropne stworzenia, żywią się krabami, pajakami i ślimakami. Wokół każdego możesz zobaczyć pierścień muszli i skorup.

– Kim są oni? – zapytała Akwila, której nie umknęło słówko „wieśniak”.

– O co ci chodzi?

– Mówisz: „Oni mnie nie wypuszczali”, „Śmiali się”. Kogo masz na myśli? Tutejszych

ludzi?

– Tych? Skąd, większość z nich nawet nie istnieje naprawdę. Mówię o elfach. O postaciach z bajek. To ich królowa. Nie wiedziałas tego?

– Myślałam, że elfy są malutkie!

– A ja myślę, że mogą być takie, jakie chcą – odparł Roland. – Nie są... do końca prawdziwe. Są takie... jak sny o nich. Przezroczyste niczym powietrze lub solidne jak skała. Tak mówi Sneeps.

– Sneeps? – powtórzyła Akwila. – Aha, ten malutki, który mówi tylko „sneeps”, ale w głowie słyszy się prawdziwe słowa?

– Tak, to on. Jest tu od lat. Stąd wiem, że tutaj dzieje się z czasem coś dziwnego. Sneeps kiedyś trafił do swego świata, ale tam już wszystko się zmieniło. Czuł się tak nieszczęśliwy, że znalazł inne drzwi i wrócił tu natychmiast.

– Wrócił tu? – powtórzyła zaskoczona Akwila.

– Mówi, że lepiej należeć, gdzie się nie przynależy, niż nie należeć tam, gdzie się kiedyś przynależało, pamiętając, jak to było kiedyś przynależeć. Chyba tak właśnie powiedział. I jeszcze dodał, że tu nie jest najgorzej, jeśli się trzymać z daleka od Królowej. I że sporo się można nauczyć.

Akwila spojrzała na zgarbionego Sneepsa, który wciąż przyglądał się rozbijaniu orzechów. On się czegoś uczył? Raczej wyglądał jak ktoś, dla kogo strach stał się chlebem powszednim.

– Nie wolno rozgniewać Królowej – ciągnął Roland. – Widziałem, co się działo z ludźmi, którym się to przytrafiło. Wysyłała na nich kobiety-trzmiele.

– Czy mówisz o tych wielkich kobietach z małymi skrzydełkami?

– Tak! Są straszne. A jeśli Królowa naprawdę się na kogoś wścieknie, po prostu patrzy... i wtedy następuje zmiana.

– W co?

– Różnie. Nie chciałbym ci tego rysować. – Roland się wzdrygnął. – A gdybym już musiał, potrzebowałbym dużo czerwonej i fioletowej kredki. A potem są zostawiane dla senków. – Potrząsnął głową. – Pamiętaj, że tutaj sny są realne. Bardzo realne. I kiedy jesteś wewnątrz snu, to jakbyś już nie była tutaj. Koszmary też są na prawdę. Możesz umrzeć.

Ale teraz wcale nie czuję, że to dzieje się naprawdę, pomyślała Akwila. Czuję się, jakbym śniła. I jakbym się miała ze snu właśnie obudzić.

– Zawsze muszę pamiętać, co dzieje się naprawdę, a co nie.

Spojrzała na swoją wypłowiałą niebieską sukienkę, niestarannie obrębiając, co było

wynikiem wielu pruć i szyc, kiedy kolejne właścicielki dorastały. To było naprawdę.

I ona była naprawdę. I ser. A gdzieś niedaleko naprawdę był świat o zielonej murawie pod błękitnym niebem.

Fik Mik Figle były naprawdę i kolejny raz zapragnęła, żeby zjawiły się jak najszybciej. W sposobie, jak krzyczały: „Na litość!”, i atakowały wszystko, co się rusza, było coś bardzo uspokajającego.

Prawdopodobnie Roland również był prawdziwy.

Wszystko poza tym było tak naprawdę tylko snem o złodziejskim świecie, który żył i żywił się światem prawdziwym, gdzie czas stanął w miejscu i straszliwe rzeczy mogły się wydarzyć w każdej chwili. Nie chcę już nic więcej na ten temat wiedzieć, uznała. Chcę tylko zabrać brata do domu, teraz, gdy jeszcze czuję gniew.

Ponieważ gdy gniew minie, przyjdzie czas na lęk i wtedy będę naprawdę przerażona.

Zbyt przerażona, by myśleć. Tak przerażona jak Sneebs. Muszę myśleć...

– Pierwszy sen, w którym się znalazłam, był jakby moim snem – powiedziała. – Miewam sny, w których się budzę, lecz nadal śpię. Ale nigdy nie byłam w sali balowej...

– Och, ten był mój – wtrącił się Roland. – Pamiętam, kiedy byłem bardzo mały, obudziłem się w nocy i zszedłem na dół do wielkiej sali, a tam tańczyli ludzie w maskach i było tak... jasno. – Posmutniał. – Wtedy jeszcze żyła moja mama.

– A ten z kolei jest z mojej książki – stwierdziła Akwila. – Musiała zapożyczyć go ode mnie...

– Nie, ona go często używa – rzekł Roland. – Lubi go. Zbiera sny, gdzie się da. Kolekcjonuje je.

Akwila podniosła się i złapała patelnię.

– Zamierzam się zobaczyć z Królową.

– Nie rób tego! – zawołał Roland. – Poza Sneebssem jesteś tutaj jedyna prawdziwa, a z niego kiepski kompan.

– Mam zamiar zabrać brata do domu – oświadczyła spokojnie Akwila.

– W takim razie ja z tobą nie idę. Nie zamierzam oglądać, w co cię zamieni.

Akwila wyszła spod liścia, ruszyła ścieżką w górę wzgórza. Tu i tam pojawiali się dziwnie ubrani ludzie o zaskakujących kształtach, przyglądali się jej, ale potem zachowywali się, jakby dziewczynka po prostu sobie wędrowała i nie miało to żadnego znaczenia.

Zerknęła za siebie. W oddali ten, który rozprawiał się z orzechami, znalazł kolejny jeszcze większy i właśnie szykował się do uderzenia.

– Ja chcę, chcę, chcę słodczy!

Akwila obróciła się jak kogucik na dachu podczas tornado. Ruszyła biegiem ścieżką, z opuszczoną głową, gotowa zaatakować patelnię każdego, kto stanie jej na drodze. Wypadła spomiędzy traw na polanę otoczoną kępami stokrotek. Równie dobrze mogła to być altana.

Nie próbowała nawet sprawdzić.

Bywart siedział na dużym płaskim kamieniu obłożony słodkościami. Niektóre były większe od niego. Mniejsze leżały w stosach, duże wyglądały jak kłody. Miały każdy możliwy kolor, jaki miewają słodczy – od Nie-Do-Końca-Truskawkowo-Czerwony przez Sztucznie-Cytrynowo-Żółty, Dziwnie-Chemicznie-Pomarańczowy, Jakiś-Rodzaj-Kwaśno-Zielony do Kto-Widział-Taki-Niebieski.

Łzy płynęły mu po policzkach jak groch. A ponieważ spływały na słodczy, wszystko już było lepkie.

Bywart zawodził. Jego usta były wielkim czerwonym tunelem, z czymś galaretowatym o nazwie nikomu nieznanym, co przesunęło się do przodu i w tył. Milkł tylko na chwilę potrzebną, by nabrać powietrza.

Akwila natychmiast rozpoznała, w czym leży problem. Widywała to już wcześniej, na różnych przyjęciach urodzinowych. Jej brat cierpiał na tragiczny brak słodczy. Co prawda słodczy otaczały go ze wszystkich stron. Ale w chwili kiedy decydował się na coś, już żałował, że nie wybrał czegoś innego. I było tyle słodczy, których nie zdoła zjeść nigdy. To go przerastało. Jedynym rozwiązaniem było zalać się łzami.

W domu radzono sobie w ten sposób, że nakładano mu na głowę kubełek, aż się uspokoił, a w tym czasie większość słodczy chowano. Pozostawiano taką ilość, z którą potrafił sobie poradzić.

Akwila wypuściła z rąk patelnię i wzięła go w ramiona.

– To ja, Akwila – szepnęła. – Idziemy do domu.

Tutaj spotkam Królową, pomyślała.

Ale nie słyszała żadnego gniewnego okrzyku ani eksplozji magii... w ogóle nic.

Tylko odległe brzęczenie pszczoł, szmer wiatru w trawie i czkanie Bywarta, który był zbyt zaskoczony, by płakać.

Dostrzegła teraz, że w dalszej części altany znajduje się łoże z liści otoczone kwiatami. Ale nie było tam nikogo.

– Ponieważ jestem tuż za tobą – usłyszała.

Odwróciła się szybko.

Nikogo tam nie było.

– Wciąż za tobą – powiedziała Królowa. – To jest mój świat, dziecko. Nigdy nie będziesz tak szybka ani tak sprytna jak ja. Dla czego chcesz zabrać mojego chłopca?

– On nie jest twój! On jest nasz! – odpowiedziała Akwila.

– Nigdy go nie kochałaś. Twoje serce to kulka śniegu.

Akwila zmarszczyła czoło.

– Kochać? – powiedziała. – Co to ma do rzeczy? To mój brat. Mój!

– Oczywiście, to charakterystyczne dla czarownic – odezwała się Królowa. – Egoizm. Moje, moje, moje. Czarownice dbają tylko o swoje.

– Ukradłaś go!

– Ukradłam? Czy to znaczy, że uważasz go za swoją własność?

Druga myśl podpowiedziała: Szuka twoich słabych punktów. Nie słuchaj jej.

– Och, więc posiadasz umiejętność dopuszczania drugiej myśli – zauważyła Królowa. – Pewnie uważasz, że dzięki temu jesteś prawdziwą czarownicą?

– Dlaczego nie pozwolisz mi się zobaczyć? – zapytała Akwila. – Boisz się?

– Boję się? Czegoś takiego jak ty?

I oto Królowa stała przed nią. Była dużo wyższa od Akwili, ale równie szczupła, włosy miała długie i czarne, twarz bladą, usta czerwone jak czereśnie, a suknię białą-czerwono-czarną. I coś w tym obrazku nie pasowało.

Druga myśl powiedziała: Jest zbyt doskonała. Po prostu doskonała. Niczym lalka. Nikt prawdziwy nie jest taki doskonały. Ona wcale tak nie wygląda.

Uśmiech Królowej na chwilę znikł, a kiedy powrócił, wyglądał jak posklejany.

– Zupełnie mnie nie znasz, a zachowujesz się niegrzecznie – oświadczyła Królowa, sadowiąc się na liściastej sofie. Poklepała dłonią miejsce obok siebie. – Siądź tutaj. Stanie naprzeciw siebie to jak konfrontacja. Potraktuję twoje złe maniery jako oznakę zagubienia. – Obdarowała Akwilę przepięknym uśmiechem.

Przyjrzyj się jej oczom, podpowiadała druga myśl. Ona nie używa ich, żeby cię widzieć. To tylko piękne ornamenty.

– Wkroczyłaś nieproszona do mego domu, zabiłaś parę zamieszkujących ten kraj postaci i cały czas zachowywałaś się w sposób niedopuszczalny – mówiła Królowa. – To mnie obraża. Ale potrafię zrozumieć, że zostałaś wprowadzona w błąd przez szkodliwe elementy...

– Ukradłaś mojego brata. – Akwila nie wypuszczała Bywarta z objęć. – Kradniesz wszystko, co się da. – Ale jej głos brzmiał słabo nawet w jej własnych uszach.

– Zgubił się – odpowiedziała spokojnie Królowa. – Przyprowadziłam go do domu i zajęłam się nim.

Było coś takiego w głosie Królowej, co mówiło w przyjacielski, pełen zrozumienia sposób, że to ona ma rację, a ty się mylisz. Ale tak naprawdę to nie jest twój błąd.

Najprawdopodobniej jest to błąd twoich rodziców albo jedzenia, albo czegoś okropnego, co się kiedyś zdarzyło, a ty tego nie pamiętasz. Z pewnością to nie był twój błąd, Królowa doskonale to rozumiała, ponieważ ty jesteś miła. Tylko pod złym wpływem zrobiłaś nie to, co potrzeba. Ale jednak zachowywałaś się okropnie. Gdybyś tylko umiała się przyznać, Akwilo, świat byłby znacznie lepszy...

... ten zimny świat, strzeżony przez potwory, świat, gdzie nic się nie starzeje ani nie rośnie, powiedziała jej druga myśl. Świat, którym rządzi Królowa. Nie słuchaj jej.

Akwili udało się zrobić krok w tył.

– Czy ja jestem potworem? – zapytała Królowa. – Potrzebuję jedynie towarzystwa...

W tym momencie druga myśl Akwili, całkiem przyduszona przez uwodzicielski głos Królowej, zdołała jednak wykrztusić: Panna Płci Żeńskiej Robinson...

Wiele lat temu pracowała jako służąca na jednej z farm. Mówiono, że wychowała się w sierocińcu w Yelp. Mówiono, że jej matka zjawiała się tam i urodziła ją podczas straszliwej burzy. Kierownik sierocińca zapisał w swoim wielkim czarnym dzienniku: Panna Robinson, niemowlę płci żeńskiej. Młoda mama nie była zbyt bystra, a może po prostu umierała, w każdym razie zrozumiała, że to jest imię dziecka. Ostatecznie tak zostało zapisane w papierach.

Panna Robinson była już całkiem stara, nigdy się wiele nie odzywała, mało co jadła, ale nikt nigdy nie widział jej bezczynnej. Nikt nie potrafił tak wyszorować podłogi jak panna Płci Żeńskiej Robinson. Miała szczupłą twarz bez wyrazu, z ostrym czerwonym nosem, i nieznające odpoczynku szczupłe blade dłonie z czerwonymi knykциями. Panna Robinson pracowała naprawdę ciężko.

Kiedy ta sprawa się wydarzyła, Akwila mało rozumiała. Kobiety rozmawiały o tym, stojąc przy furkach po dwie, po trzy, z założonymi na piersi rękami i zawsze milkły z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, gdy nadchodzili mężczyźni.

Usłyszała coś to tu, to tam, choć niekiedy to, co do niej dochodziło, brzmiało jak rodzaj kodu: „Nigdy tak naprawdę nie miała nikogo dla siebie, biedactwo. Czy to jej wina, że jest bardziej płaska niż deska do prasowania?” i „Mówią, że kiedy ją znaleźli, kołysała je i powtarzała, że to jej”, i „Dom był pełen dziecięcych ubranek, które zrobiła na drutach!”. To ostatnie najbardziej zdziwiło Akwilę, ponieważ zostało wypowiedziane takim tonem, jakby ktoś mówił: „Miała dom pełen ludzkich czaszek!”.

Ale wszyscy zgadzali się co do jednego: Nie można tego puścić płazem! Zbrodnia to

zbrodnia. Trzeba zawiadomić barona.

Panna Robinson ukradła dziecko, Punktualność Zagadkę, który był bardzo kochany przez swych młodych rodziców, mimo że nazwali go Punktualność (uważali, że jeśli nadaje się dzieciom imiona od innych cech, jak Wiara czy Nadzieja, to nie ma nic złego w naznaczeniu go słowem opisującym dobre pilnowanie czasu).

Pozostawili go w kołysce na podwórku i zniknął. Jak zwykle w takim wypadku rozpoczęto poszukiwania, a potem ktoś zauważył, że panna Robinson zabiera do domu więcej mleka niż zazwyczaj.

To był kidnapping. Na Kredzie rzadko się stawia płoty i drzwi są zazwyczaj pootwierane. Złodzieje wszelkiego autoramentu traktowani są niezwykle surowo. Jeśli nie możesz odwrócić się na pięć minut od dziecka lub swojej własności, do czego to może doprowadzić? Prawo to prawo. Zbrodnia to zbrodnia...

Akwila przysłuchiwała się wymianom opinii na ten temat, bo wioska aż huczała, ale powtarzano cały czas to samo. Biedactwo, nie chciała zrobić nic złego. Tak ciężko pracowała, nigdy się nie skarżyła. Ma w głowie nie po kolei. Prawo to prawo. Zbrodnia to zbrodnia.

Tak więc baron został zawiadomiony, proces odbywał się w wielkiej sali, gdzie pojawili się wszyscy, którzy tylko mogli przyjść, w tym pan i pani Zagadka, ona ze zmartwioną twarzą, on z zaciętą. Była też oczywiście panna Robinson, która nie odrywała wzroku od ziemi, a swych czerwonych dłoni od kolan.

Trudno to było nawet nazwać procesem. Panna Robinson nie rozumiała aktu oskarżenia, Akwili wydawało się zresztą, że mało kto rozumiał. Nie byli pewni, dlaczego właściwie się tam znaleźli i czego mieli się dowiedzieć.

Baron też nie był pewny siebie. Prawo stanowiło jasno. Kradzież jest straszliwą zbrodnią, a kradzież istoty ludzkiej czymś wręcz okropnym. W Yelp znajdowało się więzienie, tuż obok sierocińca. Niektórzy mówili nawet, że są w środku łączące je drzwi.

Baron nie był wielkim myślicielem. Jego rodzina sprawowała władzę, ponieważ mieszkańcy Kredy nie zmieniali zdania na temat niczego przez setki lat. Słuchał, wystukując po stole rytm palcami, przyglądał się ludzkim twarzom i w ogóle zachowywał się jak ktoś siedzący na rozżarzonych węglach.

Akwila zajęła miejsce w pierwszym rzędzie. Słuchała, jak baron wygłasza werdykt, używając wielu słów, by nie powiedzieć tych, które powiedzieć musiał, aż tu nagle drzwi się otworzyły i wbiegły Grzmot i Błyskawica.

Pędziły między rzędami ławek, po czym zajęły miejsce na wprost barona, wpatrując się w niego jasnymi i czujnymi oczami.

Tylko Akwila ośmieliła się odwrócić. Drzwi do sali pozostały lekko uchylone. To były solidne drzwi, o wiele za ciężkie, by otworzył je pchnięciem nawet najsilniejszy pies. Zdołała dostrzec, że ktoś stoi i patrzy na salę przez szparę w drzwiach.

Baron zamilkł i również spojrzał ku drzwiom. Po dobrych kilku chwilach odsunął od siebie prawniczą księgę i rzekł:

– Może powinniśmy to załatwić inaczej...

I rzeczywiście postąpili inaczej. Ludzie zaczęli teraz zwracać uwagę na pannę Robinson. Nie było to rozwiązanie doskonałe, ale działało i wszyscy byli zadowoleni.

Kiedy wyszli z sali, Akwila poczuła lekki zapach tytoniu. Wesoły Żeglarz i pomyślała o psie barona. „Zapamiętaj ten dzień – powiedziała wtedy babcia Dokuczliwa. – Będziesz miał powód, by pamiętać”.

Ale baron potrzebował przypomnienia.

– Kto odezwie się w twojej obronie? – zapytała głośno Akwila.

– W mojej obronie? – Brwi Królowej ułożyły się w doskonały łuk. A trzecia myśl Akwili (ta najrozsądniejsza) powiedziała: „Przyglądaj się jej twarzy, kiedy się martwi”.

– Nie ma kogoś takiego, prawda? – Akwila cofnęła się. – Czy istnieje ktoś, dla kogo byłaś miła? Ktoś, kto powie, że jesteś kimś więcej niż tylko złodziejką? Chyba nie. Masz... jesteś jak senk, stosujesz tylko jeden trik...

I wtedy to się stało. Teraz rozumiała, co chciała jej powiedzieć trzecia myśl. Bo twarz Królowej zamigotała przez chwilę.

– I to nawet nie jest twoje ciało – atakowała Akwila. – Chcesz, żeby ludzie tak cię widzieli, a to nie jest prawdziwe, jak wszystko inne tutaj, to skorupa bez zawartości...

Królowa rzuciła się ku niej i trzepnęła ją znacznie mocniej, niż powinno to być możliwe we śnie. Akwila wylądowała na mchu, a Bywart potoczył się dalej, krzycząc:

– Siusiu!

Dobrze, powiedziała trzecia, najrozsądniejsza myśl Akwili.

– Dobrze? – powtórzyła Akwila na głos.

– Dobrze? – zawtórowała jej Królowa.

Owszem, odpowiedziała rozsądna myśl, ponieważ ona nie wie, że masz rozsądek, a twoja dłoń znajduje się tuż przy patelni. Chyba pamiętasz jeszcze, że te stwory nienawidzą żelaza. Ona płonie gniewem. Rozpal w niej furję, niech przestanie myśleć. Zrań ją.

– Mieszkasz tu, w krainie wiecznej zimy i możesz tylko śnić o lecie – powiedziała Akwila. – Nic dziwnego, że Król cię opuścił.

Królowa zamarła niczym przepiękny posąg, który tak bardzo przypominała. Znowu sen,

który ją stwarzał, zamigotał i Akwila była pewna, że zobaczyła... coś. Niewiele większe od niej, prawie ludzkie w kształcie, dość niepozorne i przez dobrą chwilę zaszokowane. A potem znowu widziała potężną i wielką Królową.

Złapała patelnię i zamachnęła się nią. Uderzenie prześlizgnęło się tylko po Królowej, która jednak zafalowała niczym powietrze nad rozgrzaną drogą i krzyknęła przeraźliwie.

Akwila nie zamierzała czekać, co się dalej wydarzy. Złapała brata i rzuciła się do ucieczki poprzez trawę, mijając dziwaczne postaci odwracające się na dźwięk królewskiego wrzasku.

Teraz cienie traw, które nie miały cieni, zaczęły się poruszać. Niektórzy z ludzi – śmiesznych ludzi, jakby wyciętych z jej książki – zmieniali kształt i ruszyli za Akwilą i jej płaczącym bratem. Po drugiej stronie polany dwie wielkie kobiety-trzmiele wznosiły się nad ziemią, ich małe skrzydełka huczały z wysiłku.

Ktoś ją złapał i wciągnął w trawę. Roland. Był purpurowy na twarzy.

– Czy możesz stąd teraz wyjść? – zapytał.

– No... – zaczęła Akwila.

– W takim razie biegnijmy przed siebie – powiedział. – Podaj mi rękę.

– Czy ty znasz stąd wyjście? – wydyszała Akwila, gdy przedzierali się przez gigantyczne stokrotki.

– Nie. Stąd nie ma wyjścia. Bo widzisz... na zewnątrz czekają senki... to jest naprawdę bardzo silny sen...

– W takim razie dlaczego biegniemy?

– By trzymać się od niej... z daleka. Sneebs twierdzi, że jeśli się schować na dość długo, ona... zapomina...

Nie sądzę, by mogła mnie szybko zapomnieć, pomyślała Akwila.

Roland zatrzymał się, ale ona puściła jego rękę i biegła dalej z Bywartem uczeptionym do niej w milczącym zdziwieniu.

– Gdzie biegiesz?! – krzyknął za nią Roland.

– Naprawdę chcę zejść jej z drogi!

– Wróć tu, bo teraz zawracasz do niej!

– Nieprawda! Biegnę cały czas prosto!

– To jest sen! – Roland krzyczał teraz bardzo głośno, ponieważ dogonił ją. – Biegiesz naokoło...

Akwila wypadła na polanę... na tamtą polanę.

Kobiety-trzmiele wylądowały po obu jej stronach, a Królowa podeszła bliżej.

– Spodziewałam się więcej po tobie – powiedziała. – Oddaj mi chłopca, potem

postanowię, co mam z tobą zrobić.

– Ten sen nie jest zbyt wielki – szeptał z tyłu Roland. – Jeśli dojdiesz za daleko, zaczniesz zawracać...

– Potrafię stworzyć dla ciebie sen, który będzie nawet mniejszy od ciebie – stwierdziła pogodnie Królowa. – To bywa bolesne.

Kolory stały się jaskrawsze. Dźwięki głośniejsze. Akwila poczuła też zapach. Było to dziwne, bo do tego momentu nie czuła w ogóle żadnych zapachów.

A tego zapachu, ostrego i gorzkawego, nie zapomniwałyby za nic na świecie. Tak pachniał śnieg. I mimo brzęczenia owadów w trawie usłyszała też cichuteńkie głosy:

– Na litość! Nie mogę znaleźć wyjścia!

Rozdział jedenasty.

Przebudzenie

Po drugiej stronie polany, tam gdzie pracował człowieczek z młotem, leżał ostatni orzech wielkości połowy Akwili. I kołysał się lekko. Człowieczek wziął zamach, a orzech potoczył się w bok.

Widzieć to, co jest naprawdę, powiedziała do siebie Akwila i roześmiała się.

Królowa rzuciła jej zdziwione spojrzenie.

– Co cię rozbawiło? Co jest w tym śmiesznego? Cóż znajdujesz zabawnego w tej sytuacji?

– Po prostu pomyślałam coś śmiesznego – odpowiedziała Akwila.

Królowa rzuciła jej spojrzenie kogoś, kto nie ma za grosz po czucia humoru i spotyka się ze śmieszną sytuacją.

Nie jesteś zbyt bystra, pomyślała Akwila. Nigdy nie musiałaś być. Zdobywałaś wszystko, co było ci potrzebne, po prostu śniąc to. Wierzysz w swoje sny, więc nie musisz myśleć.

Odwróciła się i wyszeptała do Rolanda:

– Rozbij orzech. Nie martw się tym, co ja robię, rozbij orzech!

Chłopiec popatrzył na nią zaskoczony. Nic nie rozumiał.

– Co mu powiedziałaś? – zachnęła się Królowa.

– Powiedziałam mu „do widzenia” – odparła Akwila, tuląc brata do siebie. – Nigdy nie oddam mojego brata, żebyś nie wiem co zrobiła!

– Czy wiesz, jakiego jesteś koloru w środku? – zapytała Królowa.

Akwila niemo potrząsnęła głową.

– W takim razie się dowiesz. – Królowa uśmiechnęła się słodko.

– Nie masz takiej mocy.

– A wiesz, że masz rację. Taka fizyczna magia jest naprawdę bardzo trudna. Ale sprawię, byś myślała, że zrobiłam... coś najstraszliwszego. I to wystarczy. Czy chcesz mnie teraz

brać o litość? Potem możesz już nie mieć okazji.

Akwila milczała przez chwilę.

– Nie – odezwała się wreszcie. – Chyba tego nie zrobię.

Królowa pochyliła się nad nią.

Jej zielone oczy wypełniał świat Akwili.

– Ludzie będą to pamiętać bardzo bardzo długo – powiedziała.

– Mam nadzieję – zgodziła się Akwila. – Rozbij... orzech.

Przez moment Królowa wyglądała na zdziwioną. Niezbyt sobie radziła z nagłymi zwrotami akcji.

– Co?

– Co? – mruknął Roland. – No... dobra.

– Co ty mu powiedziałaś? – zapytała Królowa, kiedy chłopiec pobiegł w stronę orzecha.

Akwila kopnęła ją w kostkę. To nie było zachowanie godne czarownicy. To było zachowanie godne dziewięciolatki i bardzo żałowała, że nie potrafiła wymyślić nic lepszego.

Ale też miała bardzo ciężkie buty i to było znakomite kopnięcie.

Królowa szarpnęła ją mocno za ramię.

– Dlaczego to zrobiłaś?! Dlaczego nie robisz tego, co ci każę? Powinnaś być szczęśliwa, wykonując moje polecenia.

Akwila spojrzała jej w twarz. Oczy miały teraz szary kolor, ale źrenice wyglądały jak srebrne lusterka.

Wiem, kim jesteś, powiedziała jej rozsądna myśl. Jesteś kimś, kto się nigdy niczego nie nauczył. Nie masz pojęcia o ludziach. Jesteś... dzieckiem, które się zestarzało.

– Chcesz cukierka? – wyszeptała.

Usłyszała za sobą hałas. Udało jej się obrócić, choć Królowa trzymała ją z całych sił, i zobaczyła, że Roland walczy z elfem o młotek. Chwilę później podniósł ciężki młot nad głową.

Królowa szarpnęła ją w swoją stronę, w momencie gdy młotek uderzył.

– Cukierka? – wyszczała. – Ja pokażę ci cukie...

– Na litość! To Królowa. Ma naszą wodzę...

– Nie mamy królowej! Nie mamy pana! Jesteśmy wolni Ciutludzie!

– Mógłbym zamorrrrdować tę kebabę!

– Bierzcie ją!

Jest całkiem możliwe, że Akwila była jedyną osobą na wszystkich światach, którą cieszyły głosy Fik Mik Figli.

Figle wylewały się z roztraskanego orzecha. Niektóre wciąż miały na sobie smokingi.

Inne znowu swoje spódniczki. Wszystkie zaś były w bardzo bojowych nastrojach – żeby nie marnować czasu i dla rozgrzewki, biły się między sobą.

Polana opustoszała. Człowiek prawdziwy czy nierealny bez trudu rozpozna kłopoty, zwłaszcza gdy suną wrzeszczącą, przeklinającą, czerwono-błękitną lawą.

Akwila wymknęła się z objęć Królowej i nie wypuszczając Bywarta, stanęła wśród traw, by patrzeć na to, co się będzie działo.

Duży Jan minął ją biegiem, niosąc nad głową szarpiącego się pełnej wielkości elfa.

Nagle zatrzymał się i cisnął nim przez polanę.

– Mamy go z głowy! – wykrzyknął i biegiem powrócił do bitwy.

Fik Mik Figli nie da się zdeptać ani zgnieść. Pracowały w grupach, wdrapując się jeden na drugiego, by dosięgnąć większych elfów fangą lub główką, a kiedy przeciwnik był na łopatkach...

W sposobie, w jaki Fik Mik Figle walczyły, była metoda. Na przykład zawsze wybierały największego przeciwnika, ponieważ, jak powiedział jej później Rozbój, „Łatwiej takiemu przykopać”. I nie przestawały. To właśnie wykańczało ludzi. Jakby atakowały osy z pięściami.

Uświadomienie sobie, że nie mają już przeciwników, zabrało im dobrą chwilę. Więc jakiś czas jeszcze okładały się nawzajem, bo ostatecznie przebyły po to kawał drogi.

Akwila wstała.

– Niezła robota, sam to muszę przyznać – oświadczył Rozbój, rozglądając się wkoło. – Bardzo przyzwoita walka, nawet nie musieliśmy używać poezji.

– Jak dostaliście się do orzecha? – zapytała Akwila. – To był dla mnie... ciężki orzech do zgryzienia!

– Tylko taką drogę znaleźliśmy – odparł Rozbój. – Musi istnieć droga, która pasuje. Nawigowanie w snach nie jest proste.

– Szczególnie że byliśmy ciut trąceni – oświadczył Głupi Jaś, uśmiechając się szeroko.

– Co takiego? Piliście? – zapytała z niedowierzaniem Akwila. – Ja tu stawiam czoło Królowej, a wy siedzicie sobie w pubie?

– Och, nie – zaprotestował Rozbój. – Pamiętasz ten sen o wielkim przyjęciu? Na którym miałaś taką śliczną sukienkę? Ugrzęźliśmy tam na trochę.

– Ale przecież zabiłam senka.

Rozbój wyglądał na nieco wytrąconego z równowagi.

– Nooo... nam nie poszło tak łatwo jak tobie. Zabrało nam to ciutchwilkę.

- Dopóki nie skończyliśmy wszystkich trunków – chciał mu pomóc Głupi Jaś.
Rozbój obdarzył go morderczym spojrzeniem.
- Nie musiałeś tak stawiać sprawy – zachnął się.
- Czy to znaczy, że sen trwa nadal? – zapytała Akwila.
- Jeśli jesteś wystarczająco spragniona – wyjaśnił Jaś.
- Ale myślałam, że gdy się je lub pije we śnie, to już się w nim pozostanie!
- Na większość stworzeń tak to właśnie działa – potwierdził Rozbój. – Ale nie na nas. Domy, banki i sny to dla nas to samo, nikt ani nic nas nie powstrzyma, gdy chcemy się dostać do środka lub gdy chcemy wyjść.
- Wyjątek stanowią puby – dodał Duży Jan.
- No właśnie – zgodził się pogodnie William. – Wyjście z pubu czasami sprrrrrawia nam pewną trrrrudność.
- A gdzie podziała się Królowa? – zaciekała się Akwila.
- Ona? Zmyła się w tej samej chwili, gdy myśmy się pojawili – oświadczył Rozbój. – A my powinniśmy iść w jej ślady, zanim sen się zmieni. – Skinął głową w stronę Bywarta. – Czy to jest ten ciutbraciszek? Ciut hałaśliwy.
- Chcę cukierka! – wrzasnął Bywart, jakby ktoś włączył automatycznego pilota.
- Ale teraz nie dostaniesz! – odkrzyknął mu Rozbój. – Przestań chlipać i chodź z nami. Dość już byłeś ciężarem dla swojej ciut-siostry!
- Akwila już otwierała usta, żeby zaprotestować, ale zamknęła je, kiedy Bywart po chwilowym szoku parsknął śmiechem.
- Siusiu ludź! – powiedział.
- Och, nie! – jęknęła. – Znowu zacznie.
- Ale ku jej zdumieniu nic takiego się nie stało. Bywart nigdy nie okazał takiego zainteresowania niczemu, co nie było żelkiem.
- Rozbój, mamy tutaj prawdziwego! – wołały praludki.
- Akwila przerażona ujrzała, jak kilka Fik Mik Figli ciągnie za głowę nieprzytomnego Rolanda.
- A, to ten chłopak, który był dla ciebie niegrzeczny – powiedział Rozbój. – Próbował też uderzyć Dużego Jana młotkiem w głowę. To nie było bardzo mądre. Co z nim pocniemy?
- Trawa zafalowała. Światło na niebie zaczynało przygasać. Robiło się coraz chłodniej.
- Nie możemy go tu zostawić! – krzyknęła Akwila.
- Dobra, ciągniemy go, chłopaki – rozkazał Rozbój. – Ale ruszajmy się, i to już!
- Siusiu ludź! Siusiu ludź! – pokrzykiwał wesoło Bywart.

– Obawiam się, że będzie się tak zachowywał przez cały dzień – powiedziała Akwila. – Przepraszam.

– Biegnij do wyjścia! – krzyknął Rozbój. – Czy nie widzisz drzwi?

Akwila rozejrzała się w panice. Wiatr prawie kasał.

– Spójrz na drzwi – rozkazał Rozbój.

Zamrugała i obróciła się.

– Eee... – wykrztusiła. Weszła do tego snu bez namysłu, bo goniła Królową, teraz powrót okazał się dużo trudniejszy. Próbowала się skoncentrować. Zapach śniegu...

Mówienie, że śnieg pachnie, wydawało się idiotyczne. Przecież to czysta zamrożona woda. Ale jeśli w nocy padał śnieg, Akwila wiedziała to zawsze zaraz po przebudzeniu. Śnieg pachniał tak, jak smakuje blaszane pudełko. A blaszane pudełko ma smak, choć trzeba przyznać, że smakuje tak, jak śnieg pachnie.

Wydało jej się, że słyszy skrzypienie własnego umysłu od wysiłku myślenia. Jeśli była we śnie, to powinna się obudzić. Bieganie nie miało sensu. To we śnie się w kółko biega. Ale jeden kierunek wydał jej się... cienki i biały.

Zamknęła oczy i wyobraziła sobie śnieg, skrzypiący niczym świeża pościel.

Skoncentrowała się na tym, co powinna czuć pod nogami. Wystarczyło się tylko obudzić...

Stała na śniegu.

– Udało się – oświadczył Rozbój.

– Wyszłam! – wykrzyknęła Akwila.

– Czasami drzwi znajdują się w naszej głowie – dodał Rozbój. – A teraz ruszajmy.

Akwila poczuła, że unosi się w powietrze. Pochrapującemu w pobliżu Rolandowi wyrosło kilka par błękitnych nóg.

– Nie zatrzymujemy się, dopóki stąd nie wyjdziemy – oświadczył Rozbój.

Szybko przemieszczali się ponad śniegiem, część Figli biegła przodem. Po jakiejś minucie lub dwóch Akwila obejrzała się i zobaczyła rozciągające się za nimi błękitne cienie.

Coraz ciemniejsze.

– Rozbój... – zaczęła.

– Tak, wiem – odparł. – Biegniemy, chłopcy.

– Zbliżają się bardzo szybko.

– Tak, to też wiem.

Śnieg siekł Akwilę w twarz. Drzewa migotały, zlewając się w jedną plamę.

Pokonywali las z ogromną prędkością. Ale cienie kładły się już wzdłuż ścieżki przed nimi

i za każdym razem, gdy praludki przebiegały przez nie, stawały się coraz gęstsze, niczym mgła.

Minęli ostatnie drzewa, przed nimi rozciągała się biała równina.

Zatrzymali się tak raptownie, że Akwila o mało nie zaryła w zaspę.

– Co się stało?

– Gdzie zniknęły nasze stare ślady? – zapytał Głupi Jaś. – Jeszcze chwilę temu tutaj były. Którędy mamy teraz iść?

Wydeptany szlak, który ich dotąd prowadził jak po sznurku, nagle zniknął.

Rozbój obrócił się, by popatrzeć na las. Ciemność kłębiła się niczym dym, rozciągając się nad horyzontem.

– Wysłała za nami koszmary – warknął. – Chłopaki, nie będzie łatwo.

Akwila dostrzegła w nadchodzących ciemnościach kształty. Mocno przytuliła do siebie Bywarta.

– Koszmary – powtórzył Rozbój, zwracając się do niej. – Nie chciałabyś nic o nich wiedzieć. Zatrzymamy je. Musisz uciekać. Ruszaj, i to już.

– Nie mam gdzie uciekać! – wykrzyknęła.

Usłyszała wysoki głos, jakby brzęczenie nadlatującego ogromnego owada. Dźwięk dochodził z lasu. Praludki zbiły się w gromadę. Dotąd zawsze gdy czekała je walka, uśmiechały się szeroko, tym razem były śmiertelnie poważne.

– Królowa nie umie przegrywać – powiedział jeszcze Rozbój.

Obejrzała się, by popatrzeć na horyzont przed sobą. Tam też kłębiła się czerń, jej pierścień zaciskał się wokół nich.

Drzwi są wszędzie, pomyślała Akwila. Tak powiedziała stara wodza, drzwi znajdziesz wszędzie. Muszę znaleźć drzwi.

Ale był tylko śnieg i kilka drzew...

Praludki wyciągnęły miecze.

– Jaki, hm... rodzaj koszmarów tu nadchodzi? – zapytała.

– Och, długonogie mięśniaki o głodnych oczach, z wielkim zębami, łopoczące skrzydłami, tego typu – powiedział Głupi Jaś.

– Tak, i jeszcze gorsze. – Rozbój wpatrywał się w ciemność.

– Co może być gorsze?

– To, co jest prawdziwe, ale nie wyszło tak, jak trzeba – odparł Rozbój.

Akwila zrozumiała dopiero po chwili. O tak, znała takie koszmary. Nie zdarzały się często, ale kiedy już przychodziły, były naprawdę przerażające. Kiedyś obudziła się cała

roztrzęsiona, bo śniło jej się, że gonią ją buty babci Dokuczliwej, innym razem była to cukierniczka. Wszystko może być koszmarem.

Mogła stawić czoło potworom. Ale nie miała ochoty mierzyć się z szalonymi butami.

– Ja... mam pomysł – powiedziała.

– Ja również – stwierdził Rozbój. – Nie być tutaj, oto mój pomysł.

– Tam jest kępa drzew.

– No i co z tego? – Rozbój spoglądał na zbliżającą się armię. Były teraz już dobrze widoczne: zęby, kły, oczy, pazury. I ze sposobu, w jaki na nie spoglądał, jasne było, że niezależnie od tego, co miało wydarzać się później, staniecie twarzą w twarz z tymi, które nadchodziły pierwsze, stanowiło poważny problem. Jeśli w ogóle miały twarze.

– Czy z koszmarami się walczy? – zapytała Akwila. Brzęczenie było już teraz bardzo głośne.

– Nie istnieje nic takiego, z czym nie potrafimy walczyć – warknął Duży Jan. – Jeśli ma głowę, wytrząśniemy z niej cały łupież. A jeśli nie ma głowy, to pewnie ma coś, w co można dać kopa.

Akwila wpatrywała się w niespiesznie nadciągające... nie wiadomo co.

– Niektóre z nich mają więcej niż po jednej głowie – powiedziała.

– W takim razie to nasz szczęśliwy dzień – oświadczył Głupi Jaś. Praludki zapierały się na nogach, gotowe do ataku.

– Dudziarz! – zawołał Rozbój do barda Williama. – Zagraj elegię. Będziemy walczyć przy dźwiękach mysich dud...

– Nie! – wykrzyknęła Akwila. – Ja się na to nie zgadzam. Żeby wygrać z koszmarem, trzeba się z niego obudzić. Jestem waszą wodzą. To rozkaz. Przenosimy się do tamtej kępy drzew. Róbcie, co wam każę.

– Siusiu ludź! – pokrzykiwał Bywart.

Praludki spojrzały na drzewa, a potem na Akwilę.

– Wykonać! – wrzasnęła tak głośno, że niektóre aż podskoczyły. – I to już! Róbcie, co wam powiedziałam. Jest lepszy sposób!

– Nie można się sprzeciwiać czarownicy, Rozbój – mruknął William.

– Zamierzam was zabrać do domu! – wyrzuciła z siebie Akwila. Mam nadzieję, dodała już do siebie. Ale widziała małą, okrągłą, bladą twarz spoglądającą na nich zza pnia. W kępie drzew krył się senk.

– Tak, tak, ale... – Rozbój popatrzył nad ramieniem Akwili i do dał: – O nie, tylko spójrzcie na to!

Przed linią potworów widoczna była jasna kropka. Sneebs robił dla siebie wyłom.

Jego ramiona pracowały jak tłoki. Jego małe nóżki wydawały się obracać. Policzki miał niczym balony.

Fala koszmarów przetoczyła się po nim i szła dalej.

Rozbój schował miecz do pochwy i krzyknął:

– Słyszeliście, chłopaki, co powiedziała nasza wodza! Łapać ją. I zjeżdżamy.

Akwila poczuła, że unosi się w górę. Figle podniosły też nieprzytomnego Rolanda. I wszyscy rzucili się ku drzewom.

Dziewczynka wyciągnęła rękę z kieszeni fartuszka i rozwinęła papieraś po tytoniu Wesoły Żeglarz. To było coś, na czym mogła się skoncentrować, coś, co przypominało jej sen...

Ludzie mówili, że kiedy się stanie wysoko w górach, można zobaczyć morze, ale choć Akwila wypatrywała go w piękny zimowy dzień, gdy powietrze było krystalicznie czyste, poza niebieską mgiełką nie zobaczyła nic. Jednak na opakowaniu tytoniu morze było błękitne, z białymi falbankami na falach. I dla Akwili tak właśnie wyglądało morze.

A to, co dostrzegła między drzewami, wyglądało na małego senka. Co oznaczało, że nie był zbyt potężny. Przynajmniej miała taką nadzieję. Taką miała nadzieję.

Drzewa były już całkiem blisko. Podobnie krąg koszmarów. Towarzyszyły im równie koszmarnie dźwięki przywodzące na myśl łamanie kości, kruszenie skał, bzyczenie owadów i jęczenie kotów, były coraz bliżej i bliżej.

Rozdział dwunasty.**Wesoły żeglarz**

... stała na piasku, fale łamały się, obryzgując brzeg białą pianą, woda omywała kamienie, a wiatr syczał jak stara kobieta ssąca twardy cukierek.

– Na litość! Gdzie jesteśmy? – zapytał Głupi Jaś.

– No właśnie, i dlaczego wyglądamy jak żółte grzyby? – dodał Rozbój.

Akwila spojrzała na nich i zachichotała. Każdy praludek miał na sobie taki sam strój jak wesoły żeglarz, żółty sztormiak i żółty kapelusz osłaniający twarz.

Mój sen, pomyślała Akwila. Senk wykorzystuje to, co znalazł w mojej głowie... ale to jest mój sen. I ja go mogę użyć.

Bywart całkiem zamilkł. Wpatrywał się w fale.

Pomiędzy kamieniami tkwiła kotwica, do której przyczepiono łódź. Fik Mik Figle, jak jeden pramąż lub jak jeden grzyb, rzucili się w jej stronę.

– Co robicie? – zapytała Akwila.

– Lepiej byśmy stąd zniknęli – odparł Rozbój. – Znalazłeś dla nas dobry sen, ale nie możemy tutaj zostać.

– Tutaj jesteśmy bezpieczni.

– O nie, Królowa wszędzie znajdzie drogę – powiedział Rozbój. Setka praludków unosiła wiosło. – Nie masz się czym martwić, znamy się na żeglarstwie...

I rzeczywiście wydawało się, że łodzie nie mają dla nich tajemnic. Wiosła zostały założone w dulki, a część Figli spychała już łódź po kamieniach na fale.

– A teraz tylko podaj nam ciutbraciszka! – krzyknął Rozbój od steru.

Niepewna, czy dobrze postępuje, ślizgając się po mokrych kamieniach, Akwila weszła do zimnej wody i podała brata na łódź.

– Siusiu ludzi! – wrzasnął Bywart, kiedy postavili go na dnie łodzi. To był jedyny jego żart, więc nie zamierzał z niego łatwo zrezygnować.

– Masz rację. – Rozbój usadowił go pod ławką. – A teraz siedź tutaj jak grzeczny chłopiec i żadnego wołania o słodycze, bo wujek Rozbój da ci w ucho.

Bywart zachichotał.

Akwila wróciła na plażę po Rolanda. Otworzył oczy i popatrzył na nią nieprzytomnie.

– Co się dzieje? – zapytał. – Miałem taki dziwny sen... – a potem znowu zamknął oczy i opadł na kolana.

– Wsiadaj do łodzi! – Akwila ciągnęła go po kamieniach.

– Na litość, czy mamy zabrać to ciutnic? – zapytał Rozbój, wciągając chłopca za spodnie.

– Oczywiście. – Akwila podciągnęła się na burcie, a gdy zakołysała łodzią, znalazła się na dnie. Wiosła zaskrzypiały, plusnęły i łódź skoczyła do przodu. Zatańczyła raz czy dwa, gdy kolejne fale w nią uderzyły, po czym ruszyła w morze. Praludki były niezwykle silne.

Chociaż trzeba przyznać, że każde wiosło stawiało się polem bitwy i kiedy Figle na nim zawisły...

Akwila starała się ignorować nagłe uczucie niepewności w żołądku.

– Kierujcie się w stronę latarni morskiej! – krzyknęła.

– Oczywiście – odpowiedziała Rozbój. – Tu nic więcej nie ma. A Królowa nie lubi światła. – Uśmiechnął się szeroko. – To dobry sen, panienko. Czy patrzyłaś w niebo?

– To tylko błękitne niebo – odparła.

– Niezupełnie – rzekł Rozbój. – Spójrz za siebie.

Niebo było błękitne. Bardzo błękitne. Ale ponad oddalającą się plażą, w połowie wysokości biegła żółta banderola. Wyglądała tak, jakby znajdowała się bardzo od nich daleko i ciągnęła się na setki mil. A pośrodku ponad światem wielkim jak galaktyka, z daleka wyglądającym na szarobłękitny, unosiło się koło ratunkowe.

Widniały na nim litery, każda większa od księżyca, przy czym Akwila patrzyła na nie z drugiej strony:

ZRALGEŻ YŁOSEW – Jesteśmy na etykicie? – zapytała Akwila.

– O tak – odparł Rozbój.

– Ale morze wygląda na takie... prawdziwe. Jest słone i mokre, i zimne. Zupełnie nie jak farba! A ja nie śniłam, że jest słone i mokre!

– Żartujesz? Jeśli tak, to z tamtej strony jest obrazek, a wewnątrz jest naprawdę. – Rozbój pokręcił głową. – Rabowaliśmy we wszystkich rodzajach światów, i to od bardzo dawna, i coś ci powiem: świat jest znacznie bardziej powikłany, niż to wygląda z zewnątrz.

Akwila wyciągnęła zniszczony papierek z kieszeni i jeszcze raz mu się przyjrzała.

Widziała koło ratunkowe i latarnię morską. Ale samego wesołego żeglarza nigdzie nie

było widać. Za to zobaczyła tak maleńką, że ledwie większą od kropki łódź wiosłową.

Podniosła wzrok. Na niebie zbierały się burzowe chmury, przesłaniając potężne koło ratunkowe. Były ciemne i groźne.

– Niedużo czasu jej zajęło znalezienie przejścia – mruknął William.

– To prawda – zgodziła się Akwila – ale to jest mój sen. I wiem, jak się potoczy. Wiosłujcie.

Skłębione chmury przepłynęły nad ich głowami, by wreszcie opaść do morza.

Zniknęły pod falami jak trąba powietrzna na biegu wstecznym.

Rozpoczęła się ulewa tak potężna, że ponad powierzchnią morza utrzymywała się stała zasłona wody.

– I to wszystko? – zdziwiła się Akwila. – Na nic więcej jej nie stać?

– Wątpię – oświadczył Rozbój. – Do wiosł, bracia.

Łódź wyskoczyła do przodu, przeskakując od jednego szczytu fali na drugi.

Lecz, wbrew wszystkim normalnym zasadom, zaczęła się zsuwać do tyłu.

Coś się podnosiło z morza. Coś białego wylaniało się z wody. Potężne fontanny wylewały się z lśniącego kształtu wypiętrzającego się ku burzowemu niebu.

To coś rosło wyżej i wyżej, i wciąż jeszcze wyżej. Wreszcie pokazało się oko.

Maleńkie w porównaniu z górą głowy ponad nim, obróciło się w oczodole, by skoncentrować się na maleńkiej łodzi.

– No, no, to jest głowa, nad którą Duży Jan spędziłby cały dzień – oświadczył Rozbój.

– Szkoda, że nie przyszliśmy tu jutro! Wiosłujemy, bracia.

– To mój sen – odparła Akwila tak spokojnie, jak tylko mogła.

– A to jest wieloryb.

Chociaż jego zapach nigdy mi się nie śnił, dodała już do siebie. Ale oto był, potężny, wypełniający cały świat zapach soli i wody, i ryb, i ozonu...

– Czym on się żywi? – zapytał Głupi Jaś.

– To akurat wiem – odpowiedziała, gdy łódź zatańczyła objijając się o bok ssaka. – Wieloryby nie są groźne, bo jedzą tylko bardzo małe istoty...

– Wiosłujcie z całych sił, bracia! – krzyknął Rozbój.

– Skąd wiesz, że zjadają tylko to, co jest ciut? – dopytywał się Głupi Jaś.

Wieloryb otwierał potężną paszczę.

– Zapłaciłam kiedyś całego ogórka za lekcję o Potworach w Głębinach – odparła Akwila. W tej chwili znaleźli się akurat pod falą. – Wieloryby nie mają nawet prawdziwych zębów.

Rozległ się zgrzyt. Zobaczyli rząd potężnych zębów. Podmuchał nieświeżego rybiego

oddechu owiał ich z siłą tajfunu.

– Naprrrrrawdę? – zdziwił się William. – Bez obrrrrrazy, ale ten potwórrrr uczęszczał chyba do innej szkoły!

Podmuch wiatru pchnął ich dalej. Akwila widziała teraz już całą głowę wieloryba i w jakiś sposób, choć nie umiałyby tego dokładnie określić, wieloryb wyglądał jak Królowa.

Królowa tutaj była.

Powrócił gniew.

– To jest mój sen! – krzyknęła Akwila w stronę nieba. – Śniłam to dziesiątki razy. Nie pozwalam ci tu wchodzić! A wieloryby nie zjadają ludzi. Tylko głupek myśli inaczej.

Z wody wyłonił się ogon wielkości boiska do piłki nożnej i uderzył w wodę. Wieloryb wyskoczył do przodu.

Rozbój odrzucił swój żółty kapelusz, a wyciągnął miecz.

– No cóż, przynajmniej próbowaliśmy – oświadczył. – Zafundujemy tej ciutbestii najgorszy ból brzucha, jaki kiedykolwiek miała.

– Wyriąbiemy sobie mieczami drogę na zewnątrz! – wtórował mu Głupi Jaś.

– Nie, macie wiosłować dalej – rozkazała Akwila.

– Nikt nie powie, że Fik Mik Figle odwróciły się do nieprzyjaciela plecami.

– Ale przecież wiosłując, siedzicie do niego przodem – zauważyła.

Praludki wyglądały na przybite tym argumentem.

– Po prostu wiosłujcie – upierała się Akwila. – Latarnia morska jest tuż-tuż.

Szmerząc coś z niezadowolenia, ponieważ wprawdzie zwrócone były w dobrą stronę, jednak przemieszczały się w niesłuszną, mimo wszystko praludki przyłożyły się do wiosel.

– To naprawdę duża głowa – odezwał się Rozbój. – Jak wielki jest ten stwór, jeśli ma taką głowę, bardziej?

– Powiedziałbym, że jest barrrrdzo duży – odparł William, który siedział w zespole przy drugim wiosle. – Chyba mógłbym nawet powiedzieć, że jest ogrrrromny.

– Do tego byś się posunął?

– Owszem. To tylko oddawałoby mu sprrrrrawiedliwość.

Już nas prawie ma, pomyślała Akwila.

– Ale musi się udać, to jest mój sen. Jeszcze tylko chwila. Jedna chwila.

– A jak blisko nas się znajduje? – zapytał Rozbój tonem, jakby prowadził salonową konwersację, podczas gdy łódź podskakiwała tuż przed nosem wieloryba.

– To barrrrdzo dobrrrre pytanie – odpowiedział równie spokojnie William. – Odpowiedź brzmi: barrrrdzo, barrrrdzo blisko.

Jeszcze tylko chwila, myślała Akwila. Co prawda panna Tyk mówiła, iż nie należy wierzyć w sny, ale ona miała na myśli, że sama wiara nie wystarcza.

Jeszcze... tylko jedna chwila... wierzę w to. On się zawsze pojawia...

– Posunąłbym się nawet do tego, by powiedzieć, że jest wyrrrrraźnie blisko – podjął temat William.

Akwila przełknęła, mając nadzieję, że wieloryb tego nie robi. Między jego zębami a łodzią było zaledwie trzydzieści jardów wody.

I nagle w tym właśnie miejscu pojawiła się drewniana ściana, która przemknęła i popłynęła w dal.

Akwila patrzyła z otwartą buzią. Białe żagle zaśniły na tle burzowych chmur, z których spływały wodospady wody. Patrząc na takielunek, liny, maszty i żeglarzy, wydała okrzyk radości.

A potem burta żaglowca wesołego żeglarza zniknęła za zasłoną deszczu i mgły, lecz Akwila zdążyła wcześniej dostrzec za sterem brodacza ubranego w żółty sztormiak. Odwrócił się i pomachał do niej, zanim statek zniknął w ciemności.

Z trudem, ale podniosła się, mimo że łódź kołysała się na falach, i krzyknęła w stronę wieloryba:

– Musisz go gonić! Bo tak to działa. Ty gonisz jego, a on ciebie. Tak mówiła babcia Dokuczliwa. Nie możesz tego nie robić i pozostać wielorybem. To jest mój sen. Ja tu ustalam zasady. I mam w tym więcej doświadczenia niż ty!

– Duża ryba! – zawołał Bywart.

To było bardziej zaskakujące niż wieloryb. Akwila wpatrywała się w braciszka, a łódź pod nimi się kołysała.

– Duża ryba! – powtórzył Bywart.

– Brawo! – zawołała zachwycona Akwila. – Duża ryba! A co ciekawsze, wieloryb wcale nie jest rybą. To ssak, tak jak krowa!

Czy naprawdę tak mówisz? – odezwała się druga (wątpiąca) myśl. Po raz pierwszy Bywart powiedział coś, co nie miało nic wspólnego ze słodyczami i z siusianiem, a ty go ot tak poprawiasz?

Akwila spojrzała na wieloryba. Wyraźnie był w kłopotach. Ale to był ten sam wieloryb, o którym tyle razy śniła, po tym gdy babcia Dokuczliwa opowiedziała jego historię.

Nawet Królowa nie była w stanie przejąć władzy nad taką opowieścią.

Niechętnie obrócił się w wodzie i zanurkował w kierunku statku wesołego żeglarza.

– Wielka ryba idzie! – wykrzyknął Bywart.

– Nie, to jest ssak... – odpowiedziały usta Akwili, zanim zdołała je powstrzymać.

Praludki nie odrywały od niej wzroku.

– Chciałam tylko, żeby wiedział, jak powinno być poprawnie – mruknęła zawstydzona.

– Bardzo wiele osób popełnia ten błąd...

Staniesz się taka jak panna Tyk, odezwała się druga myśl. Czy naprawdę tego chcesz?

– Tak – usłyszała Akwila i uświadomiła sobie, że to jej głos. Rósł w niej gniew, ale pomieszany z radością. – Tak. To właśnie jestem ja. Ostrożna i logiczna, i zawsze przyglądam się uważnie wszystkiemu, czego nie rozumiem. Złości mnie, kiedy słyszę, jak ludzie używają nie odpowiednich słów! Mam talent do sera. Szybko czytam książki. I myślę. I zawsze mam przy sobie kawałek sznurka. Taka właśnie jestem!

Zamilkła. Nawet Bywart wpatrywał się w nią teraz. Na buzi malował mu się wyraz niepewności.

– Duża krowa wodna idzie... – zaproponował niepewnie.

– Świetnie! Mądry chłopiec! – wykrzyknęła Akwila. – Kiedy wrócimy do domu, dostaniesz jednego cukierka.

Fik Mik Figle miały zmartwione twarzyczki.

– Czy nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli znowu weźmiemy się do wiosł? – zapytał Rozbój. – Zanim wieloryb... zanim wodna krowa tutaj wróci?

Akwila spojrzała ponad nimi. Latarnia morska była już bliźutko. Niewielki falochron wychodził w morze z maleńkiej wysepki.

– Tak, poproszę. I... dziękuję – powiedziała nieco spokojniejsza.

Statek i wieloryb zniknęły w oddali, morze równomiernie biło o brzeg.

Senk siedział na skale, spuściwszy do wody swe tłuste blade nogi. Wpatrywał się w morze, tak jakby w ogóle nie dostrzegał nadpływającej łodzi. On uważa, że jest u siebie, pomyślała Akwila. Otrzymał sen, który mu się podoba.

Praludki wyskoczyły na falochron i przywiązały łądz.

– No dobrze, jesteście tutaj – sapnął Rozbój. – Teraz tylko odetniemy mu głowę i wydostaniemy się stąd.

– Nie! – krzyknęła Akwila.

– Ale on...

– Zostawcie go. Po prostu... zostawcie go w spokoju, dobrze? Jego to nie interesuje. – A poza tym zna się na morzu, dodała już sama do siebie. Pewnie tęsknił za morzem. Dlatego ten sen jest tak prawdziwy. Sama nigdy bym tego nie wymyśliła.

Krab wdrapał się po nodze senka i ułożył na jego kolanie, by śnić krabi sen.

Senk zagubił się we własnym śnie, pomyślała. Ciekawam, czy się kiedyś z niego obudzi?

Odwróciła się do Fik Mik Figli.

– W swoim śnie budzę się zawsze, gdy wchodzę do latarni morskiej – powiedziała.

Praludki jak jeden mąż spojrzały na biało-czerwoną wieżę i wyciągnęły miecze.

– My nie ufamy Królowej – rzekł Rozbój. – Wyczeka, byś pomyślała, że jesteś bezpieczna, i kiedy przestaniesz się strzec, zaatakuje. Idziemy o zakład, że czeka za tymi drzwiami. Pójdziemy przodem.

To była instrukcja, nie pytanie. Akwila skinęła głową, Fik Mik Figle zaczęły się wspinać na skały prowadzące do latarni.

Została sama na molo, tylko z Bywartem i nieprzytomnym Rolandem. Wyciągnęła ropucha z kieszeni.

– Albo śnię, albo jestem na plaży – powiedział. – A ropuchy nie potrafią śnić.

– W moim śnie potrafią – stwierdziła Akwila. – A to jest mój sen.

– W takim razie to wyjątkowo niebezpieczny sen – mruknął ponuro.

– Wręcz przeciwnie, cudowny – odparła spokojnie Akwila. – Wspaniały. Popatrz tylko, jak światło tańczy na falach.

– A gdzie są tabliczki informujące ludzi, że mogą utonąć? – skarżył się ropuch. – Żadnych kół ratunkowych ani siatek zabezpieczających przed rekinami. O nie. Czy ja gdzieś tu widzę licencjonowanych ratowników? Nie wydaje mi się. Wyobraź sobie, że ktoś...

– To jest plaża – przerwała mu Akwila. – Dlaczego to wszystko mówisz?

– Ja... nie wiem. Czy możesz mnie odłożyć? Czuję, że nadchodzi ból głowy.

Położyła go na piasku i przysunęła mu trochę wodorostów. Po chwili usłyszała, jak ropuch coś pałaszuje.

Morze było spokojne.

Wszędzie panował spokój.

Każdy rozsądny człowiek zacząłby się niepokoić.

Ale nic się nie wydarzyło. Po czym znowu nic się nie wydarzyło. Bywart podniósł kamyczek i włożył sobie do buzi, zakładając, że wszystko może być cukierkiem.

Nagle doszły ich hałasy z latarni. Akwila słyszała zduszone krzyki, dudnienie, a nawet raz czy dwa razy brzdęk tłuczonego szkła. W pewnym momencie odgłos sugerował, że coś ciężkiego spada w dół po spiralnych schodach, uderzając o każdy kolejny stopień. Drzwi się otworzyły i Fik Mik Figle wypadły na zewnątrz. Wyglądały na usatysfakcjonowane.

– No problemo – oświadczył Rozbój. – Nie ma tam nikogo.

– To skąd te straszne hałasy?

- Musieliśmy się przecież upewnić – powiedział Głupi Jaś.
- Siusiu ludź! – krzyczał uszczęśliwiony Bywart.
- Obudzę się, kiedy stanę w drzwiach – powiedziała Akwila, wy ciągnając Rolanda z łodzi.
- Zawsze tak się działo. I teraz też musi się stać. To jest mój sen. – Postawiła chłopca w pionie i zwróciła się do najbliższego Figła. – Czy możesz wziąć Bywarta?
- Oczywiście.
- I nie zgubisz się ani nie upijesz?
- Rozbój wyglądał na urażonego.
- Nigdy się nie gubimy! – oświadczył. – Zawsze wiemy, gdzie jesteśmy! Zdarza się tylko czasem, że nie wiemy, gdzie jest wszystko inne, ale to już nie nasza wina, gdy gubi się wszystko inne! Fik Mik Figłom się to nie zdarza!
- A co z piciem? – zapytała Akwila, ciągnąc Rolanda w stronę latarni.
- Nie zgubiliśmy się nigdy w ciągu całego naszego życia! Czy nie tak, chłopaki? – Zawtórował mu pomruk pełnego urazy oburzenia. – Słowa „gubić” i „Fik Mik Figle” nie powinno pojawiać się razem.
- A pić? – zapytała jeszcze raz Akwila, kładąc Rolanda na molo.
- Gubią się inni, nigdy my! – zadeklarował Rozbój.
- No cóż, mogę tylko mieć nadzieję, że w latarni morskiej nie było nic do picia... – Akwila parsknęła śmiechem. – Chyba że pijecie naftę do lampy, a tego nikt by się nie ośmielił zrobić!
- Praludki nagle zamilkły.
- A co to takiego jest? – zapytał Głupi Jaś powoli, starannie dobierając słowa. – Czy mogło znajdować się w dużej butelce?
- Z narysowaną czaszką i skrzyżowanymi piszczelami? – dodał Rozbój.
- Tak, bardzo możliwe. Straszliwa trucizna – odpowiedziała Akwila. – Gdybyście to wypili, pochorowalibyście się straszliwie.
- Naprawdę? – W głosie Rozbója brzmiało głębokie zastanowienie. – To bardzo... interesujące. Czy może wiesz, jaka to byłaby choroba?
- Zapewne śmiertelna.
- Ale my już i tak nie żyjemy – zauważył Rozbój.
- No cóż, w takim razie byłaby to bardzo, ale to bardzo ciężka choroba. – Akwila spojrzała na niego ostro. – W dodatku zapalna. Bardzo dobrze, żeście tego nie wypili, bo inaczej...
- Głupi Jaś odbeknął. W powietrzu rozszedł się ostry zapach parafiny.

– Oczywiście – powiedział.

Akwila odebrała im Bywarta. Za plecami słyszała zduszone szepty, praludki zbiły się w gromadkę.

– Mówiłem ci, że ta czaszka oznacza niebezpieczeństwo.

– Ale Duży Jan twierdził, że tak się oznacza mocny trunek! Co za czasy, żeby ludzie zostawiali coś takiego bez dozoru, wystarczy przypadkowo roztrzaskać drzwi, podważyć zasuwę, wyrwać łańcuch w kredensie, wyłamać zamek i niewinny człowiek naraża się na niebezpieczeństwo tylko przez to, że ugasi pragnienie.

– Co to znaczy „choroba zapalna”?

– Że można złapać ogień!

– Nie ma co panikować. Tylko nie bekać i nie rozmawiać przy wolnym ogniu, dobra? A poza tym zachowywać się naturalnie!

Akwila uśmiechnęła się do siebie. Najwyraźniej bardzo trudno było zabić Figła. Może wiara, że już się nie żyje, dodawała odporności. Obejrzała się w stronę drzwi do latarni. W swoim śnie nigdy nie widziała momentu, kiedy się otwierają. Zawsze myślała, że wewnątrz jest mnóstwo światła, tak samo jak obora jest pełna krów, a drewnutnia drewna.

– No dobrze już, dobrze – powiedziała, spoglądając w dół na Rozbója. – Ja będę niosła Rolanda, a ty weź Bywarta.

– Nie chcesz sama nieść ciutchłopca? – zapytał.

– Siusiu ludzi! – wykrzyknął Bywart.

– Ty go weź – powtórzyła krótko Akwila. Myślała tak: Nie jestem pewna, czy to się uda, a z tobą będzie bezpieczniejszy niż ze mną. Mam nadzieję, że obudzę się we własnym łóżku. Przyjemnie byłoby się obudzić we własnym łóżku...

Oczywiście, jeśli wszyscy obudzą się razem w jej łóżku, może to wywołać trochę krępujących pytań, ale wszystko było lepsze od Królowej...

Usłyszała za sobą dziwny odgłos. Odwróciła się i ujrzała, że morze znika. Brzeg oddalał się szybko. Skały i wodorosty wynosiły się ponad falę i to, co pozostawało, było nagle całkiem suche.

– No tak – odezwała się po chwili. – Wszystko w porządku. Wiem, co to jest. Odpływ. Morze tak robi. Przyływa i odpływa każdego dnia.

– Naprawdę? – zapytał Rozbój. – Zadziwiające. Wygląda, jakby się wylewało przez wielką dziurę...

Plaża rozciągała się już na jakieś pięćdziesiąt kroków, potem był uskok, ale stąd woda też odpływała. Niektóre Figle maszerowały w stronę uciekającego morza.

Akwila nagle poczuła coś, co właściwie nie było paniką. To było znacznie wolniejsze i bardziej nieprzyjemne niż panika. Zaczęło się od dręczącej wątpliwości: czy odpływ nie powinien być wolniejszy?

Nauczyciel (Cuda Naturalnego Świata, jedno jabłko) nie wchodził w szczegóły. Ale na miejscu, które pozostało po morzu, trzepotała ryba, a przecież ryby nie co dzień umierają w czasie odpływu...

– Hm, uważam, że powinniśmy uważać – powiedziała, idąc za Rozbojem.

– Dlaczego? Przecież woda się cofa. Kiedy nastąpi przypływ?

– Wydaje mi się, że nie wcześniej niż za parę godzin. – Akwila wyraźnie czuła narastanie paniki. – Ale nie jestem tego pewna...

– Mamy zatem mnóstwo czasu – odparł Rozbój.

Dotarli do końca mielizny, gdzie zebrały się już pozostałe Figle. Odrobina wody pozostała jeszcze u ich stóp, spływając w stronę zatoki.

To było tak, jakby się spoglądało na dolinę. Gdzieś w oddali, całe mile dalej, wycofujące się morze tworzyło lśniąca linię.

A przed nimi leżały wraki. Mnóstwo. Galeony i szkunery, klipry z połamanymi masztami, z poszarpanym olinowaniem, porozrzucane tam, gdzie wcześniej była zatoka.

Fik Mik Fige wydały z siebie jak jeden mąż westchnienie zachwytu.

– Zatopione skarby!

– Ajaj! Złoto!

– Skąd wam przyszło do głowy, że tam są skarby? – zapytała Akwila.

Fik Mik Fige spojrzały na nią w takim zdumieniu, jakby właśnie powiedziała, że skały potrafią latać.

– Tam muszą być skarby – oświadczył Głupi Jaś. – Z jakiego innego powodu miałyby zatonać?

– To prawda – zgodził się Rozbój. – Na zatopionych statkach musi być złoto, inaczej żeglarzom nie warto byłoby walczyć z rekinami i ośmiornicami. Wykradanie skarbów z dna oceanu to najlepsza i największa możliwa kradzież!

I w tym momencie Akwila poczuła, że ogarniają najprawdziwsza panika.

– Tu jest latarnia morska. Widzicie ją? Latarnia morska stoi po to, by statki nie wpadały na skały. Rozumiecie, prawda? A to jest zastawiona na was pułapka. Królowa wciąż znajduje się w pobliżu.

– Ale może byśmy tam zeszli i tylko zerknęli do środka? – nie pewnie zapytał Rozbój.

– Nie! Bo... – Akwila podniosła wzrok. Jakiś błysk zwrócił jej uwagę. – Bo... morze

wraca – powiedziała.

Coś, co wyglądało jak chmura nad horyzontem, stawało się coraz większe i coraz bardziej błyszczące. Akwila już nawet słyszała ryk pędzącej wody.

Pognała na plażę. Ujęła Rolanda pod pachy, by zaciągnąć go do latarni. Obejrzała się.

Praludki wciąż patrzyły na ogromną i rosnącą falę.

Był tam też Bywart. Radośnie przyglądał się fali pochylony nieco do przodu, tak że gdy figle wspinały się na palce, mógł trzymać dwa z nich za ręce.

Obraz wrył się w jej umysł – mały chłopiec i praludki, wszyscy zwrócenii do niej plecami, zapatrzeni w skrzącą się ścianę wody.

– Chodźcie! – krzyknęła Akwila. – Myliłam się, to nie przypływ, to Królowa.

Zatopione statki podniósł podmuch wiatru, kręcił nimi w koło.

– Chodźcie tutaj!

Zdołała przerzucić Rolanda przez ramię i ruszyła do drzwi latarni, kiedy woda chlusnęła tuż za nią...

... przez chwilę świat był pełen białego światła...

... pod nogami skrzypiał śnieg.

To był cichy, zimny świat Królowej. Wokół nie było nikogo i niczego, tylko śnieg, a gdzieś w oddali las i kłębiące się nad nim czarne chmury.

A przed nią, choć słabo widoczny, pojawił się w powietrzu rysunek. Trawa i kilka kamieni w świetle księżyca.

To były drzwi do domu.

Obejrzała się wokół zrozpaczona.

– Proszę! – krzyknęła. Nie prosiła nikogo w szczególności. Po prostu musiała krzyknąć. – Rozbój? William? Jaś? Bywart?

Od strony lasu odpowiedziało jej wycie piekielnej sfory.

– Muszę stąd wyjść – mruknęła Akwila. – Muszę się stąd wydostać...

Złapała Rolanda za kołnierz i pociągnęła go w stronę drzwi. Na szczęście po śniegu łatwiej się przesuwiał.

Nikt nie próbował jej zatrzymać. Przez drzwi pomiędzy kamieniami przedostało się do jej świata trochę śniegu, ale powietrze było ciepłe, a noc rozbrzmiewała hałasem nocnych owadów. Pod prawdziwym księżycem i pod prawdziwym niebem ciągnęła chłopca po ziemi i posadziła go, opierając o skałę. Usiadła obok wykończona, starała się odzyskać oddech.

Jej sukienka była całkiem przemoczona, pachniała morzem.

Akwila słyszała swe myśli, które dochodziły do niej jakby z wielkiej odległości:

Mogą wciąż jeszcze żyć. Przecież to był tylko sen. Musi być droga powrotu. Trzeba ją tylko znaleźć. Muszę tam wrócić.

Psy ujadają tak głośno...

Wstała, choć pragnęła jedynie usnąć.

Trzy kamienie, które były drzwiami, tworzyły czarny kształt na tle rozgwieżdżonego nieba.

W chwili gdy na nie spojrzała, rozsypały się. Najpierw jeden, ten po lewej stronie, zsunął się powoli, a na niego opadły pozostałe dwa.

Zaczęła szarpać tony kamienia. Próbowала szukać przejścia obok nich, ale nic z tego.

Stała pod gwiazdami, samotna, ze wszystkich sił próbując się nie rozpłakać.

– Co za wstyd – powiedziała Królowa. – Wszystkich zawiodłaś. I co teraz?

Rozdział trzynasty.

Ziemia pod falami

Królowa szła po trawie. Tam gdzie stąpnęła, przez moment lśnił lód. Część Akwili, która jeszcze zdolna była do myślenia, pomyślała: Ta trawa będzie rano martwa. Ona zabija moją trawę.

– Po głębszym zastanowieniu trzeba przyznać, że całe życie jest jedynie snem – powiedziała Królowa wciąż tym samym doprowadzającym do szału, spokojnym, łagodnym głosem. Usiadła na zwalonych kamieniach. – Wy, ludzie, lubicie śnić i marzyć. Marzy wam się, że jesteście sprytni. Śni wam się, że jesteście wyjątkowi. I trzeba przyznać, że jesteście nieco lepsi od senków. Macie z pewnością bujniejszą wyobraźnię. Chciałam ci podziękować.

– Za co? – zapytała Akwila, spoglądając na własne buty. Paniczny strach trzymał ją w swych kleszczach. Nie miała gdzie uciec.

– Nie zdawałam sobie sprawy, jaki cudowny jest wasz świat – mówiła dalej Królowa. – Chodzi mi o to, że senki... cóż, nie są tak naprawdę niczym więcej niż chodzącymi gąbkami. A ich świat jest bardzo stary. Właściwie umiera. Tam już nie ma nic twórczego. Z moją małą pomocą twoi ludzie poradzą sobie znacznie lepiej. Ponieważ wy śnicie przez cały czas. A szczególnie ty. Widzisz swój świat, jakby to był rysunek, pośrodku którego znajdujesz się właśnie ty, prawda? Cudownie. Popatrz tylko na siebie. Kim jesteś? Dziewczynką w dość koszarnej sukience i niezgrabnych butach. Zamarzyło ci się, że możesz napaść na mój świat i zawojować go patelnią. Miałś marzenie pod tytułem: Dzielna dziewczyna ratuje swego braciszka. Wydawało ci się, że jesteś bohaterką opowieści. A potem go zostawiłaś na pastwę losu. Jak myślisz, czy uderzenie milionów ton wody jest tym samym co spuszczenie na głowę góry żelaza?

Akwila nie potrafiła myśleć. Jej głowę wypełniała gorąca różowa mgła.

Trzecia rozsądna myśl zdołała przekrzyczeć tę mgłę.

– Wyciągnęłam Rolanda – szepnęła Akwila, wciąż patrząc na swoje buty.

– Ale on jest dla ciebie nikim – powiedziała Królowa. – On jest, powiedzmy to sobie wprost, dość głupawym chłopcem o dużej czerwonej twarzy i mózgu wieprza, jak jego ojciec. Zostawiłaś małego braciszka z bandą złodziejasków, a uratowałaś rozpieszczonego głupka.

Nie było czasu, skrzeczała trzecia myśl. Nie dałabyś rady wrócić po niego, a potem dojść do latarni morskiej. I tak ledwie zdążyłaś. Udało ci się uratować Rolanda. To była jedyna logiczna decyzja. Nie możesz się czuć z tego powodu winna. Co jest lepsze, próbować uratować brata, zachować się odważnie i głupio, i umrzeć, czy uratować chłopaka, zachowując się odważnie i rozsądnie, i przeżyć?

Ale coś wciąż powtarzało, że głupio umrzeć byłoby bardziej... w porządku.

Coś powtarzało: Czy potrafisz powiedzieć mamie: „Wiedziałam, że nie zdążę uratować brata, więc zamiast niego uratowałam kogoś innego?”. Czy będzie zadowolona, że tak to wymyśliłaś? To, że się ma rację, nie zawsze wystarcza.

To Królowa! – darła się trzecia myśl. To jej głos. Ona cię hipnotyzuje. Przestań jej słuchać!

– Zapewne nie twoja wina, że nie masz serca i jesteś taka zimna – mówiła Królowa. – Z pewnością zawiniли twoi rodzice. Nigdy nie poświęcali ci dość czasu. A poczęcie Bywarta to było z ich strony prawdziwe okrucieństwo, powinni zachowywać się nieco ostrożniej. No i pozwolili ci za dużo czytać. Z pewnością dla młodego umysłu nie jest najlepiej, jeśli zna takie słowa jak „paradygmat” czy „eschatologiczny”. To może prowadzić do używania własnego brata jako przynęty na potwory. – Królowa westchnęła. – Smutne, że tak się dzieje nieustannie. Cóż, moim zdaniem możesz być dumna, iż udało ci się zostać tylko głęboką introwertyczką niedostosowaną do życia w społeczeństwie.

Okrażała Akwilę.

– Jakie to smutne – mówiła. – Marzyło ci się, że jesteś silna, rozsądna i logiczna... taka osoba, która ma zawsze przy sobie kawałek sznurka. Tyle że to twoje wytłumaczenie na przykry fakt, iż nie jesteś prawdziwie ludzka. Jesteś samym mózgiem, nie masz wcale serca. Nawet nie płakałaś, kiedy umarła babcia Dokuczliwa. Myślisz zbyt dużo, a teraz twoje ukochane myślenie zawiodło. Cóż, chyba najlepiej będzie, jeśli cię po prostu zabiję, co na to powiesz?

Znajdź kamień! – darła się trzecia myśl. Uderz ją!

Akwila świadoma była obecności innych postaci kryjących się w mroku za Królową.

Ludzie z letniego obrazka, ale także kilka senków i jeździec bez głowy, i kobiety-trzmiele.

Mróz ścinał trawę.

– Chyba będzie nam się tu podobało – oświadczyła Królowa.

Akwila czuła, jak nogi jej lodowacieją. Jej trzecia myśl, głosem zdartym z wysiłku, krzyknęła: Zrób coś!

Powinnam była być lepiej zorganizowana, pomyślała tępo. Nie powinnam polegać na snach. A może... powinnam być bardziej człowiekiem. Czuć... więcej. Ale nie potrafiłam zapłakać. Łzy po prostu nie przychodziły. I jak mam przestać myśleć? I myśleć o myśleniu?

A nawet myśleć, że myślę o myśleniu?

Ujrzała uśmiech w oczach Królowej i pomyślała: Która z tych wszystkich osób jest mną?

Czy w ogóle istnieje jakaś ja?

Chmury rozlewały się nad horyzontem jak plama. Zakrywały gwiazdy. To były atramentowoczarne chmury z lodowego świata, chmury koszmary. Zaczął padać deszcz z kawałkami lodu, które cięły murawę niczym bagnety, zamieniając ją w kredowy muł. Wiatr wył jak piekielna sfora.

Akwila zrobiła krok do przodu. Błoto mlasnęło pod jej butami.

– Wreszcie okażesz odrobinę ducha? – zapytała Królowa, cofając się odrobinę.

Akwila chciała zrobić jeszcze jeden krok, ale coś działo się nie tak. Było jej zbyt zimno, była zbyt zmęczona. Czuła, że jej ja gdzieś znika, gubi się...

– Jaki smutny koniec – stwierdziła Królowa.

Akwila upadła w zamarzające błoto.

Deszcz narastał, siekąc jak igłami, waląc ją w głowę niczym młotkiem. Czuła, że po policzkach płyną jej lodowe łzy. Czuła, że nie może odetchnąć.

Było jej coraz zimniej. Już nic nie widziała, nic nie słyszała... tylko ten dźwięk.

Ten dźwięk mówił jej o zapachu śniegu i o łnieniu lodu. Był wysoki i cienki.

Nie czuła pod sobą ziemi i nic nie widziała, nawet gwiazd. Chmury zasłoniły wszystko.

Było jej tak zimno, że nie czuła już zimna, nie czuła nic. Przez jej zamarznięty umysł przebiła się myśl: Czy jest jeszcze w ogóle jakaś ja? Czy też moje myśli tylko śnią o mnie?

Ciemności się pogłębiały. Noc nigdy nie była taka czarna, a zima taka zimna. Było zimniej niż w czasie najcięższych mrozów, kiedy spadło mnóstwo śniegu, a babcia Dokuczliwa wędrowała z trudem od zasy do zasy, szukając ciepłych ciał. Jeśli pasterz miał odrobinę rozumu, owce mogły przeżyć śnieg, powtarzała zawsze babcia. Śnieg chroni je od mrozu. Owcy ukrytej w cieplej jamie pod stertą śniegu niestraszne są podmuchy lodowatego wiatru.

Ale to zimno, które Akwilę teraz atakowało, było takie jak w dni, kiedy śnieg nie pada, wieje mroźny wiatr i na trawie pojawiają się kryształki lodu... Takie mordercze dni zdarzały się wczesną wiosną wraz z pierwszymi narodzinami jagniąt, kiedy zima zawracała, nie chcąc

dać za wygraną...

Wszędzie panowała ciemność, gorzka i bezgwiezdna.

Tylko gdzieś w dali lśniła jedna plameczka światła.

Jedna gwiazdka. Niewysoko. Przesuwała się...

W burzowe noce stawiała się większa.

Przemieszczała się zygzakiem.

Nastąpiła cisza. Cisza pachnąca owcami, terpentyną i tytoniem.

A potem... Akwila poczuła, że jej ciało przesuwają się, jakby przelatując przez ziemię, i to bardzo szybko.

Napłynęło łagodne ciepło i, tylko przez chwilę, słyszała szum fal.

I własny głos wewnątrz głowy.

Ta ziemia jest w mojej krwi.

Ziemia pod falami.

Biel.

Akwila spadała poprzez ciemną, ciężką ciemność wokół, jakby to był śnieg, ale delikatny niczym pył.

W jakiś sposób biel układała się też pod nią.

Obok Akwili przeleciało stworzenie przypominające rożek z lodami, miało mnóstwo czułek.

Jestem pod wodą, pomyślała.

Pamiętam...

Miliony lat temu nowy łąd wykształcił się pod oceanem. To nie jest sen. To... pamięć.

Ziemia pod falami. Miliony maleńkich muszelek.

Ta ziemia żyła.

I przez cały czas Akwila czuła ciepły, dający poczucie bezpieczeństwa zapach chaty pasterskiej, jakby była trzymana w niewidocznych rękach.

Biel pod nią podniosła się i otoczyła jej głowę, ale nie było to nieprzyjemne. Akwila zanurzyła się w tej bieli niczym we mgle.

Jestem teraz wewnątrz kredy, jak krzemień, pomyślała.

Nie była pewna, ile czasu spędziła w ciepłej głębokiej wodzie, czy trwało to tyle co nic, czy miliony lat przemknęły w jedną sekundę, a potem poczuła, że się unosi w górę.

W jej umyśle pojawiało się coraz więcej wspomnień.

Zawsze był ktoś, kto pilnował granic. Oni nie decydowali kto. To było decydowane za nich. Ktoś musiał się troszczyć. Czasami trzeba było walczyć. Ktoś musiał przemawiać za

tych, którzy nie potrafili...

Otworzyła oczy. Nadal leżała w błocie, Królowa naśmiewała się z niej, a w tle szalała burza.

Ale było jej ciepło. Wręcz gorąco, gorąco od gniewu... gniewu na zniszczoną trawę, na własną głupotę i na tę piękną istotę, której jedynym talentem było panowanie.

Ta... istota próbowała zabrać jej świat.

Wszystkie czarownice są egoistkami, tak mówiła Królowa. Ale trzecia najracjonalniejsza myśl Akwili podpowiedziała: W takim razie zamień egoizm w broń!

Spraw, by wszystko było twoje! Spraw, by do ciebie należał los innych, ich sny i ich nadzieje!

Chroń ich! Uratuj! Wyprowadź ich na pola! Trzymaj z daleka wilki! Moje sny! Mój brat!

Moja ziemia! Mój świat! Jak śmiesz mi to zabierać, to wszystko, co należy do mnie!

Mam powinność!

Gniew rozkwitał. Podniosła się, zaciskając pięści, i krzyknęła na burzę, wkładając w ten krzyk cały kłębiący się w niej gniew.

W ziemię tuż obok Akwili uderzyła błyskawica. Po chwili następna trafiła po jej drugiej stronie.

Z błyskawic uformowały się dwa psy.

Ich sierść parowała, błękitne iskry sypnęły się z uszu, kiedy się otrząsały. Spojrzały wyczekująco na dziewczynkę.

Królowa wzięła głęboki oddech i... zniknęła.

– Dalej, Błyskawico! – krzyknęła Akwila. – Do mnie, Grzmot!

Przypomniała sobie czasy, kiedy biegała po wzgórzach, wywracając się i wykrzykując różne słowa bez sensu, a psy robiły dokładnie to, co powinno było być robione.

Dwie smugi, biała i czarna, przemknęły przez murawę w stronę chmur.

Zaganiały burzę.

Przestraszone chmury zaczęły się rozpierzchać, lecz biała i czarna kometa śmigające po niebie je zawracały. Monstrualne kształty wiły się i wrzeszczały w tej walce, ale Grzmot i Błyskawica zaganiały wiele stad w swoim życiu. Tu i tam było widać chapnięcie lśniących zębów, a potem rozlegał się skowyt. Akwila spoglądała w górę, deszcz spływał jej po twarzy, wykrzykiwała komendy do ledwie widocznych psów.

Rozpychając się i dudniąc, burza przetoczyła się za wzgórze w stronę wysokich gór, których ostre szczyty i przełęcz doskonałe sobie z nią poradziły.

Akwila obserwowała to bez tchu, lecz z uśmiechem triumfu. Kiedy psy wróciły i usiadły

przed nią na trawie, przypomniawszy sobie o czymś jeszcze: nie miało najmniejszego znaczenia, jakie rozkazy wydawała tym psom. To nie były jej psy. To były psy wykonujące swoją pracę.

Grzmot i Błyskawica nie słuchały małej dziewczynki.

One nawet na nią nie patrzyły.

Patrzyły gdzieś poza nią.

Odwróciłaby się, gdyby ktoś powiedział, że za nią czai się przeraźliwy potwór.

Odwróciłaby się, gdyby wiedziała, że ten potwór ma tysiąc zębów. Ale teraz nie chciała się odwrócić. Nie mogła. To było zbyt trudne.

Nie bała się tego, co mogłaby zobaczyć. Była przeraźliwie, śmiertelnie, do szpiku kości przerażona tym, czego mogłaby nie ujrzeć.

Zacisnęła powieki, a jej tchórzliwe buty obróciły ją i wreszcie, wzięwszy głęboki wdech, otworzyła oczy.

Owionął ją zapach tytoniu, Wesoły Żeglarz, owiec i terpentyny.

W ciemności jaśniała postać szeroko uśmiechniętej babci Dokuczliwej, blask bił od białej pasterskiej sukienki, od każdej błękitnej kokardki i każdej srebrnej sprzączki. Babcia w dłoni trzymała długą, starannie wyrzeźbioną i misternie powyginaną pasterską laskę.

Wykonała powoli piruet, aby Akwila mogła zobaczyć, że w każdym szczególe od kapelusza po rąbek sukni jest przepiękną pasterką, tylko buty pozostały babcine, stare i rozczłapane.

Babcia Dokuczliwa wyjęła z ust fajkę i skinęła Akwili, co w jej wydaniu oznaczało wielkie uznanie. A potem... już jej nie było.

Nad murawą rozpościerała się prawdziwa rozgwieżdżona noc, wokół rozbrzmiewały normalne nocne hałasy. Akwila nie wiedziała, czy to, co się przed chwilą wydarzyło, było snem, czy wydarzyło się w miejscu, które nie było do końca tym miejscem, czy też wydarzyło się tylko w jej głowie. To nie miało znaczenia. Wydarzyło się. I teraz...

– Ale ja wciąż tu jestem – odezwała się Królowa, stając tuż przed dziewczynką. – Może to był sen. A może nieco sfiksowałaś, bo ostatecznie jesteś dość dziwnym dzieckiem. Może potrzebujesz pomocy. Jaka jesteś naprawdę? Czy uważasz, że potrafisz się samotnie zmierzyć ze mną? Mogę cię zmusić, byś myślała właśnie to, co chcę, byś myślała...

– Na litość!

– O nie, tylko nie oni! – Królowa wzniosła do góry dłonie.

To były Fik Mik Figle, ale nie tylko, bo zjawiły się z nimi również Bywart, silny zapach wodorostów, mnóstwo wody i martwy rekin. Pojawili się w powietrzu, po czym wylądowali jeden na drugim dokładnie między Akwila a Królową. Praludki zawsze gotowe do walki

w jednej chwili wyciągnęły miecze, otrząsając słoną wodę z włosów.

– O, to ty! – Rozbój spoglądał płonącym wzrokiem na Królową. – Wreszcie twarzą w twarz. Nie powinnaś tu przychodzić, rozumiesz? Wynoś się stąd. Pójdiesz po dobroci czy nie?

Królowa ciężko stąpnęła na niego. Kiedy odsunęła nogę, z trawy wystawał tylko czubek jego głowy.

– Wynoś się! – powtórzył, wyciągając się z ziemi, jakby nic się nie stało. – Uprzedzam, tracę do ciebie cierpliwość. I nic ci nie przedzie z wysyłania za nami twoich pomagierów, bo zmieciemy ich do czysta! – Odwrócił się w stronę Akwili. – Możesz to nam już zostawić, wodzo. My mamy z Królową zaległe porachunki.

Królowa strzeliła palcami.

– Zawsze musicie się wtrącić w sprawy, których nie rozumiecie – wysyczała. – Ciekawam, jak sobie poradzicie z tym?

Miecze wszystkich Fik Mik Figli zabłyśły na błękitno. Z tłumu niesamowicie jaśniejących praludków odezwał się głos bardzo podobny do głosu Głupiego Jasia:

– No tak, teraz jesteśmy w prawdziwych kłopotach...

W powietrzu, kawałek dalej, pojawiły się trzy postacie. Jedna, środkowa, ubrana była w długą czerwoną suknię, dziwną długą perukę, czarne rajtuzy i buty ze sprzączkami. Dwie pozostałe wyglądały na zwyczajnych mężczyzn w zwyczajnych garniturach.

– Twarrrrda z ciebie kobieta, Krrrrólowo – powiedział bard William – wysyłać na nas prrrrawników...

– Spójrzcie na tego po lewej – szeptały praludki. – On ma aktówkę. Aktówkę! Ojej, ojej, ojej, aktówkę, ojej...

Krok po kroku, zbite w przerażoną gromadę Fik Mik Figle zaczęły się wycofywać.

– Ojej, ojej, otwiera zatrask – jęknął Głupi Jaś. – Ojej, ojej, ojej, jaki straszny dźwięk!

– Pan Rozbój Figiel i wszystkie inne Figle? – zapytała jedna z postaci przeraźliwym głosem.

– Tu nie ma nikogo o takim imieniu! – krzyczał Rozbój. – Nic nie wiemy!

– Usłyszycie listę dziewiętnastu tysięcy oskarżeń w sprawach kryminalnych i cywilnych, i sześćdziesiąt trzy o obrazę...

– Nie było nas tu! – wydzierał się rozpaczliwie Rozbój. – Prawda, chłopaki?

– ... w tym ponad dwa tysiące przypadków zakłócenia porządku publicznego, wywoływania niepokojów publicznych, używania obraźliwego języka (biorąc pod uwagę dziewięćdziesiąt siedem przypadków, kiedy język byłby obraźliwy, gdyby ktoś go potrafił

zrozumieć), pijaństwa, zakłócania spokoju...

– Zostaliśmy wzięci za kogoś innego! – wykrzykiwał Rozbój. – To nie nasza wina. Staliśmy sobie spokojnie, a zrobił to ktoś inny, tylko że zwał!

– ... poważnych kradzieży, drobnych kradzieży, napadów, włamań do domów, wałęsania się z zamiarem popełnienia przestępstwa.

– Źle nas traktowano w dzieciństwie! – wykrzykiwał Rozbój. – Wszyscy zawsze na nas pokazywali, bo jesteśmy niebiescy! Zawsze to my jesteśmy winni! Policja nas nienawdzi! A nas nawet wtedy nie było w kraju!

Ku kompletnemu już przerażeniu praludków jeden z prawników wyciągnął ze swej aktówki wielki rulon papieru. Odchrząknął i przeczytał:

– Angus, Duży Angus, Nie-tak-duży-jak-Duży-Angus-Angus, Ciut-Archie, Duży Archie, Jednooki Archie, Ciut-szurnięty...

– Mają nasze imiona! – chlipnął Głupi Jaś. – Trafimy do więzienia!

– Sprzeciw! Powołuję się na Habeas Corpus – odezwał się cichy głosik. – I żądam prawa obrony do Visne faciem capite repletam, bez uszczerbku dla moich klientów.

Przez chwilę panowała całkowita cisza. Rozbój omiół wzrokiem przestraszone Figle i zapytał:

– No dobra, który z was to powiedział?

Ropuch wypełził przed tłum.

– Nagle to do mnie wróciło – westchnął. – Teraz już pamiętam, kim byłem. Przypomniał mi to prawniczy język. Teraz jestem ropuchem, ale... kiedyś byłem prawnikiem. I powiadam wam, ludzie, że to, co ci panowie zamierzali zrobić, jest całkowicie nielegalne. Zarzuty oparte na kłamstwach bez cienia dowodu.

Wzniósł żółte ślepia na prawników Królowej.

– Następnie wnoszę, by sprawa została odroczone sine die na podstawie Potestne mater tua suere, amice.

Prawnicy znikąd wyciągnęli grubą księgę i pośpiesznie ją wertowali.

– Nie jest nam znana terminologia stosowana przez kolegę – powiedział wreszcie jeden z nich.

– Popatrzcie no, oni się poca! – wykrzyknął Rozbój. – Czy to znaczy, że można mieć prawnika także po swojej stronie?

– Ależ oczywiście – odparł ropuch. – Macie prawo do obrony.

– Obrona? – powtórzył Rozbój. – Czy chcesz mi powiedzieć, że możemy się obronić przed tym stekiem kłamstw?

– Oczywiście. A tyle nakradliście, więc stać was, by zapłacić prawnikowi, który dowiedzie, że jesteście czysti jak łąza. Moje honorarium wyniesie...

Przełknął głośno na widok wymierzonych w siebie lśniących błękitem mieczy.

– Właśnie przypomniałem sobie, dlaczego dobra wróżka zamieniła mnie w ropucha – powiedział. – W tych okolicznościach podejmuję się tej sprawy pro publico bono.

Miecze ani drgnęły.

– Czyli za darmo – wyjaśnił.

– To nam się podoba – oświadczył Rozbój przy dźwiękach chowania mieczy. – Jak to się stało, że jesteś i prawnikiem, i ropuchem?

– No cóż, doszło do drobnej sprzeczki. Matka chrzestna, która była przy okazji dobrą wróżką, ofiarowała mojej klientce trzy zwyczajowe dary: zdrowie, bogactwo i pakuneczek szczęścia. Pewnego deszczowego poranka moja klientka nie czuła się specjalnie szczęśliwa. Uznała to za naruszenie kontraktu i przywołała mnie. Coś takiego zdarzyło się po raz pierwszy w całej historii wrózek będących matkami chrzestnymi. Niestety zakończyło się zamianą mojej klientki w poręczne lustro, a jej prawnika – jak widzicie na własne oczy – w ropucha. A co najgorsze, moim zdaniem – sędzia zaczął bić brawo. To mnie naprawdę zraniło.

– Ale nadal pamiętasz wszystkie formułki? Świetnie! – Rozbój spojrzał na prawników Królowej. – Hej, wy, mamy taniego prawnika i nie boimy się go użyć bez uszczerbku!

Prawnicy ściągali coraz więcej i więcej papierów. Wyglądali na poważnie zmartwionych, a nawet z lekka przestraszonych. Rozbój patrzył na nich z ogniem w oczach.

– Co oznaczało to wuznee-facey-em i tak dalej, mój uczony przyjacielu? – zapytał.

– Visne faciem capite repleam – poprawił go ropuch. – To najlepsze, co udało mi się wymyślić w pośpiechu, a znaczy mniej więcej tyle... – odkaszlnął. – „Czy chcielibyście twarz, która jest pełna głowy?”.

– Nigdy bym nie przypuszczał, że prawniczy język jest taki prosty – zdziwił się Rozbój. – Gdybyśmy znali te wszystkie śmieszne wyrażenia, chłopaki, sami moglibyśmy być prawnikami! Brać ich!

Nastrój Fik Mik Figli potrafił się zmienić w jednej chwili, zwłaszcza gdy groziło to bójką. Wyciągnęli miecze, które błysnęły w powietrzu, i zaintonowali:

– Sala sądowa nie dla nas!

– Ludzi gniewnych stu!

– Prawo po naszej stronie!

– Obroni nas i już!

– O nie! – oświadczyła Królowa i machnęła ręką.

Prawnicy i praludki zniknęli. Była tylko ona i Akwila. Stały naprzeciwko siebie na murawie. Między kamieniami gwizdał wiatr.

– Co z nimi zrobiłaś?! – wykrzyknęła Akwila.

– Och, są gdzieś... tutaj – odparła beztrząsliwie Królowa. – To i tak sen. I sen we śnie. Na niczym nie możesz polegać, mała dziewczynko. Nic nie jest prawdziwe. Nic nie trwa. Wszystko odchodzi. Jedyne, czego mogłabyś się nauczyć, to śnić. Na to dla ciebie jest już za późno. A ja... ja też już nie chcę niczego się uczyć.

Akwila nie była pewna, który poziom jej myślenia zaczyna teraz działać. Była zmęczona. Czuła się tak, jakby spoglądała na samą siebie z góry i nieco z tyłu. Ujrzała, jak staje mocno nogami na trawie, a potem...

... a potem...

... a potem jak ktoś, kto wydobywa się z tumanu snu, poczuła pod sobą głębię i jeszcze raz głębię czasu. Czuła oddech wzgórz i odległy ryk prastarego morza zamknięty w milionach muszelek. Pomyślała o babci Dokuczliwej, leżącej pod darnią, babci, która znowu stała się częścią kredy, częścią ziemi pod falami. Poczuła, jak wielkie koła czasu i gwiazd powoli się wokół niej obracają.

Otworzyła oczy, a potem, tym razem gdzieś wewnątrz siebie, otworzyła je jeszcze raz.

Słyszała, jak rośnie trawa i jak pracują robaki w ziemi pod nią. Czuła wokół tysiące niewielkich żywych istot. Czuła zapach powietrza. Widziała wszystkie cienie nocy...

Toczyły się gwiazdy, toczyły się lata, przestrzeń i czas zamknięte w tym miejscu.

Wiedziała dokładnie, gdzie jest i kim jest.

Machnęła dłonią. Królowa próbowała ją powstrzymać, ale równie dobrze mogłaby chcieć zatrzymać upływ lat. Akwila chwyciła ją za twarz i przewróciła kopniakiem.

– Nie płakałam po babci, bo nie było takiej potrzeby – oświadczyła – ponieważ babcia nigdy mnie nie opuściła!

Pochyliła się, a wraz z nią stulecia.

– Tajemnica tkwi w tym, żeby nie śnić – wyszeptała. – Tajemnica tkwi w umiejętności obudzenia się. Najtrudniej jest się obudzić. Mnie się to udało i teraz już jestem naprawdę. Wiem, skąd przybyłam, i wiem, dokąd zmierzam. Nie możesz mnie już omamić. Ani mnie dotknąć. Ani niczego, co należy do mnie.

Nigdy już nie będę taka jak w tej chwili, pomyślała, widząc przerażenie na twarzy Królowej. Nigdy już nie poczuję się wielka jak niebo, stara jak te wzgórza, silna jak morze.

Otrzymałam coś na tę chwilę, a ceną, jaką muszę zapłacić, jest fakt, że z tego zrezygnuję.

Ale rezygnacja jest również nagrodą. Bo żaden człowiek nie mógłby tak żyć. Możesz cały dzień przyglądać się kwiatu z zachwytem, ale wtedy nie wydoisz krowy. Nic dziwnego, że śnimy naszą drogę przez życie. Być obudzonym i widzieć całą realność... nikt tego by nie wytrzymał na dłuższą metę.

Wzięła głęboki wdech i podniosła Królową. Była świadoma wszystkiego, co się wokół dzieje, snów, które się przetaczają wokół niej, ale nie mają na nią najmniejszego wpływu.

Była prawdziwa, była przebudzona, bardziej przebudzona niż kiedykolwiek w swoim życiu.

Musiała się skoncentrować, by zapanować nad wrażeniami przepływającymi teraz przez jej umysł.

Królowa wydała jej się lekka jak dziecko, zmieniała się przy tym szaleńczo w kolejne potwory i bestie ze szponami i mackami. Ale wreszcie była tylko małą burą małpką, z wielką głową i wylupiastymi oczami, zapadniętą piersią, która falowała z wysiłku.

Akwila doniosła ją do kamieni. Łuk był nietknięty. Kamienie nigdy się nie roztrzaskały, pomyślała. Ona nie ma żadnej siły, nie dysponuje żadną magią, ty tylko trik. Ale przerażający.

– Trzymaj się stąd z daleka – powiedziała, wstępując w kamienne progi. – I nigdy tu nie wracaj. Nigdy nie ruszaj tego co moje. – A potem, ponieważ stworzenie było tak słabe i tak bardzo przypominało dziecko, dodała: – Ale mam nadzieję, że znajdzie się ktoś, kto zapłaci nad tobą. Mam nadzieję, że Król powróci.

– Ty mnie żałujesz? – wycharczało stworzenie, które było Królową.

– Tak. Trochę – powiedziała Akwila.

Tak jak było mi żal panny Robinson, pomyślała jeszcze.

Położyła stworzenie na ziemię. Skoczyło w głąb śniegu, odwróciło się i znowu było piękną Królową.

– Nie wygrasz – oświadczyła Królowa. – Zawsze potrafię tu wejść. Ludzie śnią.

– Czasami się budzimy – odparła Akwila. – Nie wracaj tu...

Skoncentrowała się i teraz kamienie tworzyły obramowanie niczego więcej – i niczego mniej – niż tylko świata, który znajdował się za nimi.

Powinam znaleźć sposób, by je zapieczętować, powiedziała jej trzecia myśl. A może jej dwudziesta myśl. Miała głowę pełną myśli.

Udało jej się odejść, a potem usiadła, podciągając kolana. Gdyby tak miało zostać, pomyślała, musiałabym nosić zatyczki w uszach i w nosie, i wielki czarny kaptur, a i tak widziałabym i słyszałabym zbyt wiele...

Zamknęła oczy i zamknęła je jeszcze raz.

Czuła, jak wszystko z niej odpływa. To było niczym zapadanie w sen, ześlizgiwanie się z tej dziwnej rozszerzonej świadomości w po prostu normalność, codzienność... w bycie przebudzonym. Czuła się, jakby wszystko było z lekka zamazane i przygłuszone.

Ale tak się zawsze czułam, pomyślała. Idziemy przez życie, śpiąc, bo jak moglibyśmy żyć w pełni obudzeni...

Ktoś postukał w jej but.

Rozdział czternasty.

Mały jasny dąb

– Hej, gdzie byłaś?! – wykrzykiwał Rozbój, wpatrując się w nią rozplomienionym wzrokiem. – W jednej chwili mieliśmy sprawić prawdziwie pokazową lekcję tym prawnikom, a w następnej już nie było ani ciebie, ani Królowej!

Sny w snach, pomyślała Akwila. Ale to była przeszłość, nie dało się patrzeć na Fik Mik Figle i nie wiedzieć, co jest prawdziwie prawdziwe.

– Już po wszystkim – oświadczyła.

– Zabiłaś ją?

– Nie.

– W takim razie ona powróci – rzekł Rozbój. – Jest strasznie głupia. Jeśli chodzi o sny, całkiem sprytna, ale rozumku w główce ciuteńko.

Akwila przytaknęła. Uczucie zamglenia zniknęło. Wspomnienie nadświadomości zbladło niczym sen. Ale muszę pamiętać, że to nie był sen.

– Jak udało wam się umknąć przed wielką falą? – zapytała.

– Och, po prostu Wolni Ciutludzie są bardzo szybcy – odpowiedział Rozbój. – A to była mocna latarnia morska. Choć trzeba przyznać, że woda podeszła bardzo wysoko.

– Musieliśmy się uporać z kilkoma rekinami – dodał Nie-tak-duży-jak-Średniej-Wielkości-Jock-ale-większy-niż-Ciut-Jock-Jock.

– No tak, rzeczywiście było kilka rekinów. – Rozbój wzruszył ramionami. – I jedna ośmiornica.

– To była ogrrrromna kałamarrrrnica – sprostował bard William.

– A potem to był już tylko ogromny kebab – dodał Głupi Jaś.

– Miała duże głowy, ciutsiusiu! – krzyknął Bywart, olśniewając wszystkich nagłą elokwencją.

William odkasznął grzecznie.

– A wielka fala przygnała mnóstwo zatopionych statków pełnych skarrrrbów. Zatrzymaliśmy się ciut, żeby ciut popirrrracić...

Fik Mik Fikle pokazały przepiękne kamienie szlachetne i złote monety.

– To chyba wyśnione skarby, prawda? – zapytała Akwila. – Bajkowe złoto. Z porankiem zamieni się w śmieci.

– Powiadasz? – zdziwił się Rozbój. Spojrzał w stronę horyzontu. – Dobra, słyszeliście wodzę, chłopaki. Mamy może z pół godzinki, żeby to komuś spylić. Czy pozwolisz nam odejść? – zapytał Akwilę.

– Co... ach tak. W porządku. Dziękuję wam...

I już ich nie było, przez chwilę tylko dało się dostrzec pomarańczowo-błękitną smugę.

Bard William został ciut dłużej. Pokłonił się Akwili.

– Poszło ci całkiem nieźle – oświadczył. – Jesteśmy z ciebie dumni. Babcia też by była. Pamiętaj o tym. Nie jesteś niekochana.

I on zniknął także.

W tym momencie jęknął leżący na trawie Roland. Poruszył się.

– Siusiu ludzi poszedł – odezwał się Bywart. – Litość poszli.

– Kim oni byli? – wymamrotał Roland.

Usiadł, trzymając się za głowę.

– To wszystka jest dość skomplikowane – odpowiedziała Akwila. – Czy... coś z tego pamiętasz?

– To wszystko wydaje się... snem – odparł Roland. – Pamiętam... morze, biegliśmy i rozłupałem orzech, który był pełen maleńkich ludzików, i polowałem w wielkim lesie z cieniami...

– Sny bywają bardzo zabawne. – Akwila starannie dobierała słowa. Podniosła się i pomyślała: Muszę tu chwilę poczekać. Nie wiem, skąd to wiem, ale wiem. Może wiedziałam, tylko zapomniałam. Ale muszę na coś poczekać... – Czy dasz radę dojść do wioski? – zapytała.

– O tak. Tak mi się wydaje. Ale co jeśli... ?

– W takim razie weź ze sobą Bywarta, dobrze? Chciałabym chwilę odpocząć.

– Zostaniesz tutaj? – Roland wyglądał na zatroskanego.

– Tak. To nie potrwa długo. Proszę. Możesz go zostawić na farmie. Powiedz moim rodzicom, że niedługo się zjawię. Powiedz im, że nic mi się nie stało.

– Siusiu ludzi! – wykrzyknął Bywart. – Litości! Chcę spać.

Roland nie wyglądał na przekonanego.

– Idź już! – stanowczo powiedziała Akwila.

Kiedy obaj chłopcy zniknęli za wzgórzem, usiadła pomiędzy czterema żelaznymi kołami, podciągając kolana do brody.

Kawałek dalej widziała kopiec Fik Mik Figli. Już teraz wspomnienie o nich wywoływało lekkie zdziwienie, a przecież widziała je zaledwie kilka minut temu. Ale kiedy odeszli, pozostawili wrażenie, że nie było ich tu nigdy.

Mogła oczywiście pójść na kopiec i sprawdzić, czy znajdzie dużą dziurę. Ale powiedzmy, że nory by tam nie było. Albo powiedzmy, że byłaby, ale w środku urządziła się rodzina królików.

Muszę pamiętać, że to wszystko wydarzyło się naprawdę, powiedziała Akwila do siebie.

Na szarym niebie poranka krzyknął myszołów. Zataczał kręgi. Nagle od ptaka oderwała się mała kropeczka.

Nawet praludek by nie przeżył upadku z takiej wysokości. Akwila zerwała się na nogi.

Hamisz spadał z nieba. Coś na kształt balonu otworzyło się nad nim i Figiel spływał na dół łagodnie niby liść.

To, co rozpięło się nad Hamiszem, miało kształt litery Y. Im niżej opadało, tym stawało się coraz wyraźniejsze i coraz bardziej... znajome.

Gdy wylądował, na nim z kolei wylądowała para majtek należąca do Akwili, takich z długimi nogawkami, w czerwone różyczki.

– Było wspaniale! – oświadczył, wydobywając się spod zwojów materiału. – Już nigdy więcej nie wyląduję na głowie.

– To moje najlepsze majtki – odparła znużonym głosem. – Ukradłeś je ze sznura z suszącą się bielizną?

– Oczywiście. Ładne i czyściutkie. Musiałem odciąć koronkę, bo się w nią plątałem, ale zostawiłem na sznurze, żebyś ją mogła gdzieś przyszyć. – Hamisz uśmiechnął się do Akwili szerokim uśmiechem kogoś, kto pierwszy raz nie wylądował twardo na ziemi.

Westchnęła. Lubiała koronkę. Nie miała zbyt wielu rzeczy, które nie były niezbędne.

– No dobrze, zatrzymaj je sobie – powiedziała.

– W takim razie je zatrzymam – zgodził się Hamisz. – Zaraz, zaraz, co to ja miałem...? Och tak. Będziesz miała gości. Spotkałem je za wioską. Spójrz tam.

Wskazał na dwa kształty większe od myszołowa, tak wysoko, że odcinały się na tarczy słonecznej. Akwila przyglądała się, jak zataczały kręgi, schodząc coraz niżej nad ziemię.

Siedziały na miotłach.

Wiedziała, że muszę poczekać, pomyślała.

Poczuła świdrowanie w uszach. Odwróciła się i zobaczyła Hamisza biegnącego po trawie. Myszołów go chwycił i już wzbijali się w górę. Zastanowiła się, czy był przestraszony i nie chciał spotkać... ktokolwiek tu nadchodził.

Miotły opadały.

Na jednej, która znajdowała się niżej, siedziały dwie postacie. Gdy wylądowały, Akwila zobaczyła, że jedną z nich jest panna Tyk, przywierająca z całych sił do kogoś mniejszego, kto najwyraźniej sterował. Na wpół zeszła, na wpół spadła z miotły i podbiegła do Akwili.

– Nie uwierzysz, co przeżyłam! – wykrzyknęła. – Prawdziwy koszmar! Leciałyśmy przez burzę. Czy z tobą wszystko w porządku?

– O... tak...

– Co tu się działo?

Jak zacząć odpowiedź na tak postawione pytanie?

– Królowa odeszła – powiedziała Akwila. W tych słowach mieściło się wszystko.

– Co? Królowa odeszła? Och... te panie to pani Ogg...

– Dzień dobry – odezwała się druga pasażerka miotły, poprawiając długą czarną suknię, spod której fałd dochodził dźwięk naciąganego elastiku. – Chciałabym nadmienić, że wiatr tam w górze hula, jak chce! – Była niską, korpulentną damą o twarzy niczym zbyt długo magazynowane jabłko. Kiedy się uśmiechała, każda z jej zmarszczek przesuwiała się w inną stronę.

– A to – mówiła dalej panna Tyk – jest pani...

– Panna – poprawiła ją natychmiast dama zsiadająca właśnie z miotły.

– Szalenie przepraszam, panno Weatherwax – poprawiła się natychmiast panna Tyk. – Bardzo, ale to bardzo dobre czarownice – wyszeptała do Akwili. – Miałam mnóstwo szczęścia, że udało mi się je odnaleźć. W górach czarownice są w dużym poważaniu.

Akwila była pod wrażeniem. Ktoś potrafił wywołać na twarzy panny Tyk rumieniec zakłopotania! Ale pannie Weatherwax udawało się to przez samo stanie obok. Była wysoka, a raczej – Akwila zdała sobie sprawę – wcale nie była wysoka, tylko trzymała się wysoko, co może łatwo wprowadzić w błąd, jeśli nie zwraca się dostatecznej uwagi, i podobnie jak druga czarownica miała na sobie czarną, niezbyt nową sukienkę. Świdrującymi niebieskimi oczami oglądała Akwilę od stóp do głów.

– Masz dobre buty – oświadczyła.

– Powiedz pannie Weatherwax, co się wydarzyło... – zaczęła panna Tyk.

Czarownica tylko uniosła dłoń i panna Tyk w jednej chwili zamilkła. Teraz Akwila była pod jeszcze większym wrażeniem.

Panna Weatherwax obrzuciła dziewczynkę spojrzeniem, które objęło całą jej głowę i jakieś pięć mil dookoła. Potem podeszła do kamieni i machnęła dłonią. To był dziwny ruch, spowodował jakby zatrzepotanie powietrza, ale też na chwilę zostawił świecącą linię. Potem usłyszały dźwięk, jakby akord, jakby ileś różnych dźwięków zdarzyło się w jednej chwili.

Zdarzyło i zamknęło w ciszę.

– Tytoń Wesoły Żeglarz? – zapytała wiedźma.

– Owszem – potwierdziła Akwila.

Czarownica jeszcze raz machnęła ręką i znowu towarzyszył temu odgłos, ostry i skomplikowany. Odwróciła się, by spojrzeć na odległy punkt, który był kopcem praludków.

– Fik Mik Figle? Wodza? – dopytywała się.

– No tak. Ale tylko czasowo – przyznała Akwila.

– Hmmm – mruknęła panna Weatherwax.

Machnięcie. Dźwięk.

– Patelnia.

– Tak, ale gdzieś zginęła.

– Hmmm.

Machnięcie. Dźwięk. Jakby czarownica wyciągała całą historię z powietrza.

– Napelnione wiadra?

– I koryto też – potwierdziła Akwila.

Machnięcie. Dźwięk.

– Rozumiem. Specjalny Płyn dla Owiec?

– Tak, tata mówi, że od niego...

Machnięcie. Dźwięk.

– Aha. Kraina śniegu. – Machnięcie. Dźwięk. – Królowa. – Machnięcie. Dźwięk. – Walka. – Machnięcie. Dźwięk. – Na morzu? – Machnięcie, dźwięk, machnięcie, dźwięk...

Panna Weatherwax spoglądała na zmieszane powietrze, gdzie oglądała obrazy widoczne tylko dla niej. Pani Ogg usadowiła się koło Akwili, a jej krótkie nóżki zadyndały w powietrzu, kiedy wygodnie się umościła.

– Próbowałam Wesołego Żeglarza – oświadczyła. – Śmierdzi jak paznokcie u nóg, prawda?

– Rzeczywiście – zgodziła się Akwila z wdzięcznością.

– Aby zostać wodzą Fik Mik Figli, trzeba z jednym z nich wziąć ślub, czyż nie? – dopytywała się pani Ogg niewinnie.

– No tak, ale udało mi się znaleźć sposób, żeby to obejść – odparła Akwila.

I opowiedziała jej. Pani Ogg serdecznie się uśmieła. To był ten rodzaj śmiechu, dzięki któremu czujesz się lepiej.

Powietrze się uspokoiło, panna Weatherwax wpatrywała się w nic przez chwilę, a potem powiedziała:

– I w końcu pokonałaś Królową. Ale wydaje mi się, że miałaś pomoc.

– To prawda – przyznała Akwila.

– Jaką?

– Ja nie wtykam nosa w twoje sprawy – wyrwało się dziewczynce, zanim zdążyła pomyśleć, co chce powiedzieć.

Panna Tyk aż się zatchnęła. W oczach pani Ogg coś błysnęło.

Spoglądała to na Akwilę, to na pannę Weatherwax, jakby była na meczu tenisowym.

– Akwilo, panna Weatherwax jest najsłynniejszą czarownicą ze wszystkich... – zaczęła bardzo poważnie panna Tyk, ale najsłynniejsza czarownica tylko machnęła dłonią.

Koniecznienie muszę się nauczyć, jak to się robi, pomyślała Akwila.

I wtedy panna Weatherwax zdjęła spiczasty kapelusz i ukloniła się Akwili.

– Dobrze powiedziane – oświadczyła, prostując się i spoglądając wprost na dziewczynkę.

– Nie miałam prawa o to pytać. To twój kraj i przebywam tutaj za twoim pozwoleniem. Okażę ci szacunek, jeśli i ty okażesz go mnie. – Na chwilę powietrze zlodowaciało, a niebo pociemniało. A potem panna Weatherwax jakby nigdy nie mówiła dalej: – Ale jeśli pewnego dnia będziesz chciała powiedzieć mi coś jeszcze, z chęcią posłucham. Z przyjemnością też dowiedziałabym się czegoś więcej o stworzeniach wyglądających, jakby je ktoś zrobił z ciasta. Nie natknęłam się na nie nigdy wcześniej. I twoja babcia wygląda na osobę, którą bym chętnie poznała. – Znowu się wyprostowała. – A na razie sprawdźmy, czy jest jeszcze coś, czego powinnaś się nauczyć.

– Czy dowiem się czegoś o szkole dla czarownic? – zapytała Akwila.

Przez moment panowała cisza.

– Szkoła dla czarownic? – powtórzyła zdziwiona panna Weatherwax.

– Hm – mruknęła panna Tyk.

– To była amfora? – zapytała Akwila.

– Amfora? – zmarszczka na czole panny Weatherwax się po głębiła.

– Ona ma na myśli metaforę – wyszeptała panna Tyk.

– To jak z opowieściami – tłumaczyła Akwila. – Nic się nie stało. To zaczęło działać. I w ten sposób jest to szkoła, prawda? Magiczne miejsce. Świat. Tutaj. I póki się dobrze nie spojrzy, wcale tego nie widać. Czy wiedziałas, że praludki uważają ten świat za raj? Ale my

nie patrzymy, jak należy. Nie ma lekcji magii. W każdym razie takich regularnych lekcji. Wszystko polega na tym, że się jest... sobą, to chyba chciałam wyrazić.

– Ładnie powiedziane – stwierdziła panna Weatherwax. – Jesteś bystra. Ale magia istnieje. I wiedzę na jej temat da się zdobyć. To nie wymaga wcale wielkiej inteligencji, inaczej magowie nie byłoby do tego zdolni.

– Powinnaś też mieć jakieś zajęcie – dodała pani Ogg. – Czary to za mało. Bo widzisz, nie można czarować dla siebie. Żelazna reguła.

– Potrafię robić ser – odparła Akwila.

– Ser? – zastanowiła się panna Weatherwax. – Ser jest dobry. A czy wiesz coś na temat medycyny? Położnictwa? To bardzo przydatne umiejętności.

– Zdarzało mi się pomagać przy rodzeniu się jagniąt, szczególnie gdy owca miała kłopoty – odparła Akwila. – Byłam przy tym, jak rodził się mój brat. Nie pomyśleli, żeby mnie odesłać z domu. To nie wyglądało na coś bardzo skomplikowanego. Sądzę jednak, że ser robi się łatwiej, no i ciszej.

– Ser jest dobry – powtórzyła panna Weatherwax, kiwając głową. – Ser żyje.

– A co pani tak naprawdę robi? – zapytała Akwila.

Chuda czarownica przez chwilę się wahała, ale wreszcie odpowiedziała cicho:

– My pilnujemy... granic. Jest ich mnóstwo... dużo więcej, niż ludzie wiedzą. Między życiem a śmiercią, tym światem i następnym, nocą i dniem, dobrem i złem... i wszystkich tych granic trzeba pilnować. A pilnując ich, strzeżemy również sumy spraw. I nigdy nie prosimy o wynagrodzenie. To bardzo ważne.

– Chociaż ludzie dają nam różne rzeczy. Ludzie potrafią być szalenie szczerzy dla czarownic – radośnie oświadczyła pani Ogg.

– Kiedy w mojej wiosce jest dzień pieczenia, nie mogę się opędzić od ciasta. Są sposoby na to, jak nie prosić, jeśli wiesz, co mam na myśli. Ludzie lubią mieć w pobliżu szczęśliwą czarownicę.

– Tutaj ludzie uważają, że czarownice są złe! – wykrzyknęła Akwila, ale w tej samej chwili jej druga myśl podpowiedziała: A czy pamiętasz, jak rzadko babcia musiała sobie sama kupować tytoń?

– Zadziwiające, do czego można ludzi przyzwyczaić – powie działa pani Ogg. – Trzeba tylko zacząć od małego.

– Na nas już czas – stwierdziła panna Weatherwax. – Widzę mężczyznę na koniu pociągowym, jedzie w naszą stronę. Jasne włosy, czerwona twarz...

– To chyba mój ojciec!

– Wciąż pogania to biedne zwierzę. Mów szybko. Chcesz zdobyć umiejętności? Kiedy możesz opuścić dom?

– Słucham?

– Czy dziewczęta stąd nie idą na służbę? – zapytała pani Ogg.

– Owszem. Kiedy są nieco starsze ode mnie.

– W takim razie kiedy będziesz nieco starsza od siebie, zjawi się panna Tyk, żeby cię odszukać – powiedziała panna Weatherwax, a panna Tyk skinęła głową. – W górach mieszkają starsze czarownice, które chętnie przekażą ci to, co same wiedzą, za odrobinę pomocy w gospodarstwie. Kiedy ciebie tu nie będzie, ktoś cię zastąpi w pilnowaniu tego miejsca, o to możesz się nie martwić. A w tym czasie dostaniesz trzy posiłki dziennie, własne łóżko, miotłę... tak właśnie robimy. Czy to ci odpowiada?

– Tak – odparła Akwila z szerokim uśmiechem. Cudowna chwila upływała zbyt szybko, by mogła zadać wszystkie pytania, które zadać chciała. – Tak! Tylko, że...

– Że co? – zapytała pani Ogg.

– Nie chciałabym tańczyć nago ani w ogóle robić niczego takiego. Prawda, że nie muszę? Pytam, bo ludzie gadają...

Panna Weatherwax wzniosła oczy ku niebu. Pani Ogg uśmiechnęła się szeroko.

– No cóż, taka procedura jest zalecana... – zaczęła.

– Nie, nie musisz robić nic takiego! – przerwała jej ostro panna Weatherwax. – Żadnych domków z piernika ani koguta, ani tańców.

– Chyba że sama byś chciała. – Pani Ogg się podniosła. – Pianie kura od czasu do czasu naprawdę nie zawadzi. Nauczę cię kiedyś, jak to robić, ale teraz już naprawdę się spieszymy.

– Tylko... tylko powiedz, jak to ci się udało – zwróciła się do Akwili panna Tyk. – Przecież tu jest kreda. Stałaś się czarownicą na kredzie. Jak?

– Sama mogłaś do tego dojść, Roztropna Tyk – odpowiedziała jej panna Weatherwax. – Kośćcem tej ziemi jest krzemień. Twardy, ostry i użyteczny. Król wśród kamieni. – Ujęła swą miotłę i jeszcze raz zwróciła się do Akwili. – Przewidujesz jakieś kłopoty? – zapytała.

– Może się coś takiego zdarzyć – odparła dziewczynka.

– Potrzebujesz pomocy?

– Jeśli to moje kłopoty, sama z nich wyjdę – odparła Akwila. Chciała krzyczeć: Tak, tak! Potrzebuję pomocy! Nie mam pojęcia, co się stanie, kiedy mój ojciec tutaj dotrze. Baron najprawdopodobniej wpadł we wściekłość. Ale przecież nie chcę, by pomyślały, że nie potrafię sobie poradzić z własnymi problemami. Powinnam umieć sobie dać z nimi radę!

– To dobrze – stwierdziła panna Weatherwax.

Akwila zastanowiła się, czy czarownice potrafią czytać w myślach.

– W myślach nie – odparła panna Weatherwax. – Posługujemy się logiką. Podejdz no tu, młoda damo.

Dziewczynka posłusznie podeszła.

– Jeśli chodzi o czary – powiedziała panna Weatherwax – to uczenie się ich nie ma nic wspólnego z uczęszczaniem do szkoły. Najpierw przechodzi się test, a następnie całe lata poświęca się na zrozumienie, jak się go przeszło. Z życiem jest nieco podobnie. – Wyciągnęła rękę i delikatnie podniosła podbródek Akwili, by spojrzeć jej w twarz. – Widzę, że otworzyłaś oczy.

– Tak.

– To dobrze. Zbyt wiele osób nigdy tego nie robi. Ale i tak mogą na ciebie czekać przeróżne pułapki. To ci się przyda.

Wyciągnęła rękę i zakreśliła krąg nad włosami Akwili, potem przez chwilę trzymała dłoń nad głową dziewczynki, wykonując jakieś ruchy palcem wskazującym.

Akwila podniosła dłonie, przez moment myślała, że tam nic nie ma, a potem dotknęła... czegoś. To było więcej niż ruch powietrza i gdyby ktoś się niczego nie spodziewał, palce by przez to przeszły.

– Czy to jest naprawdę? – zapytała.

– Kto wie? – odparła czarownica. – To wirtualny spiczasty kapelusz. Nikt poza tobą nie będzie wiedział, że tam jest. Ale może okazać się wygodny.

– Chodzi ci o to, że istnieje w mojej głowie?

– Masz w głowie mnóstwo rzeczy. Co nie znaczy, że nie istnieją naprawdę. Lepiej nie zadawaj tylu pytań.

– Co się stało z ropuchem? – zapytała panna Tyk, która zadawała pytania.

– Poszedł za Wolnymi Ciutludźmi – odpowiedziała Akwila. – Okazało się, że był prawnikiem.

– Dałaś klanowi Fik Mik Figli ich własnego adwokata? – zapytała pani Ogg. – Świat zadygocze. Choć okazjonalny wstrząs może mu tylko dobrze zrobić.

– Chodźcie, siostry, musimy odlatywać! – krzyknęła panna Tyk, która już zajęła swoje miejsce za panią Ogg.

– Daruj sobie, to było strasznie teatralne – skarciła ją pani Ogg. – Cześć, Akwi. Do zobaczenia.

Jej miotła spokojnie uniosła się w powietrze. Za to miotła panny Weatherwax wydała z siebie cichy smutny odgłos. Jej właścicielka westchnęła:

– Ach, te krasnoludy. Mówiły, że wszystko naprawią, a kłopoty zaczęły się od wizyty w ich warsztacie...

Teraz już słysząc było stukot kopyt. Z zadziwiającą szybkością panna Weatherwax zsunęła się z miotły, złapała ją obiema rękami i z rozwianą suknią ruszyła biegiem po murawie.

Była już daleko, gdy na wzgórzu pojawił się ojciec Akwili dosiadający jednego z gospodarskich koni. Zdziwiona dziewczynka zobaczyła, że jej tata śmieje się i płacze jednocześnie.

To wszystko było trochę jak sen.

Akwila uznała takie postawienie sprawy za bardzo wygodne. Nie bardzo pamiętam, to wszystko działo się jak we śnie... To było jak sen, nie jestem niczego pewna...

Z drugiej zaś strony rozradowany baron był nadzwyczaj pewien swego. Najwyraźniej ta... powiedzmy królowa, kimkolwiek tak naprawdę była, porywała dzieci, a jego syn ją pokonał, no i na dodatek jeszcze sprowadził z powrotem tych dwoje małych.

Mama uparła się, by Akwilę położyć do łóżka, choć był jasny dzień. A ona nie miała nic przeciwko temu. Była taka zmęczona, że z przyjemnością zapadła w różowy stan między snem a jawą.

Przysłuchiwała się ojcu rozmawiającemu na dole z baronem. Słyszała opowieść, którą składali ze znanych faktów, starając się coś z tego zrozumieć. Z pewnością dziewczynka była bardzo dzielna (to mówił baron), ale ostatecznie ma dopiero dziewięć lat. I nawet nie wie, jak używać miecza! Z kolei Roland brał lekcje fechtunku od małego...

I tak to szło. Potem słyszała, jak rozmawiali jej rodzice, gdy baron już sobie poszedł.

Na przykład o tym, że Szczurołów mieszka teraz na dachu.

Leżała w łóżku i wdychała woń olejku, który mama wtarła jej w skronie. Twierdziła, że Akwila musiała się uderzyć w głowę, bo co chwila jej dotyka.

Tak więc Roland o twarzy jak befszytk został bohaterem. Czy w takim razie ona została głupią księżniczką, która złamała nogę i zemdlą? To było takie niesprawiedliwe!

Sięgnęła do małego stolika ustawionego obok łóżka, na którym położyła niewidzialny kapelusz. Mama dokładnie w tym miejscu postawiła talerz rosołu, ale kapelusz wciąż tam był.

Akwila czuła pod palcami jego kształt.

Nigdy nie oczekujemy nagrody, przypomniała sobie. W dodatku był to sekret. Nikt inny nie wiedział o Wolnych Ciutludziach. Oczywiście Bywart biegał po całym domu przewiązany

serwetą i wykrzykiwał: „Siusiu ludzi! Zostawię wam placuszek w bucie!”, ale pani Dokuczliwa, uszczęśliwiona, że ma go z powrotem, i rozradowana, że jej mały synek mówi nie tylko o słodyczach, w ogóle nie zwracała uwagi, co mówił.

Nie, Akwila nie mogła opowiedzieć o tym nikomu. Po pierwsze, nigdy by jej nie uwierzyli, a po drugie, gdyby uwierzyli i dobrali się do kopca praludków... Nie chciała myśleć, co by się stało.

Co zrobiłaby babcia Dokuczliwa?

Babcia nie powiedziała by nic. Babcia bardzo często nic nie mówiła. Tylko uśmiechała się do siebie, pykała z fajki i czekała odpowiedniego czasu...

Akwila uśmiechnęła się do siebie.

Usnęła bez snów.

I tak minął dzień.

I jeszcze jeden dzień.

Trzeciego dnia padało. Akwila zeszła do kuchni, w której nikogo nie było, i zdjęła z półki porcelanową pasterkę. Włożyła ją do torby, wymknęła się z domu i pobiegła na wzgórze. Pogoda była naprawdę okropna, wzgórze cięło chmury niczym dziób statku. Ale kiedy Akwila dotarła do miejsca, gdzie stał stary piec i cztery żelazne koła, i narysowała na murawie prostokąt, a potem wykopała dziurę dla pasterki, a wreszcie wszystko zakryła znowu... zaczęło naprawdę lać. Wiedziała, że trawa z powrotem się przyjmie. Wydawało jej się, że dobrze zrobiła. I była pewna, że poczuła zapach tytoniu.

Potem poszła na kopiec praludków. To ją nieco niepokoiło. Przecież wiedziała, że tam są. Więc po co sprawdzała? Czyżby miała wątpliwości? To byli bardzo zajęci ludzie. Mieli mnóstwo roboty. Tak sobie mówiła. Wcale nie dlatego, żeby zastanawiała się, czy nie znajdzie przypadkiem tylko mysiej dziury. To wcale nie było tak.

Była wodzą. Miała powinność.

Usłyszała muzykę. Usłyszała głosy. A potem nagłą ciszę, gdy zajrzała w głąb.

Ostrożnie wyciągnęła z torby butelkę Specjalnego Płynu dla Owiec i poturlała ją w ciemność.

A gdy odchodziła, znowu usłyszała muzykę.

Pomachała myszołowowi, który zataczał leniwe kręgi pod chmurami, i była pewna, że

małeńka kropeczka jej odmachała.

Czwartego dnia Akwila robiła masło, powróciła też do innych swych obowiązków.

Miała pomoc.

– A teraz bym chciała, żebyś poszedł nakarmić kurczaki – po wiedziała do Bywarta. –
O co cię proszę?

– Nakarmić cip, cip – odparł Bywart.

– Kurczaki – powtórzyła surowo.

– Kurczaki – powtórzył Bywart.

– I nie wycieraj nosa rękawem! Dam ci chusteczkę. I nie zbij jajek, dobrze?

– Na litość – wymruczał Bywart.

– I czego nie mówimy? – zapytała Akwila. – Nie mówimy: na...

– Litość – dopowiedział Bywart.

– A szczególnie nie mówimy tego przy...

– Przy mamie.

– Dobrze. Gdy skończę, może zdążymy pójść nad rzekę.

Jej braciszek się ucieszył.

– Siusiu ludź? – zapytał.

Akwila nie odpowiedziała od razu. Od kiedy wróciła do domu, nie widziała żadnego Figła.

– Może – zaryzykowała. – Ale najprawdopodobniej są strasznie zajęte. Muszą znaleźć nową wodzę... cóż, są zajęte i już. Tak mi się zdaje.

– Siusiu ludź mówi, że dałaś w głowę rybiej twarzy!

– No, zobaczymy. – Akwila czuła się jak rodzic. – Teraz idź nakarm kurczaki, proszę, i przynieś jajka.

Kiedy pomaszerował, niosąc koszyk na jajka w obu rękach, Akwila położyła kilka kawałków masła na marmurową płytę i sięgnęła po szpachelkę, by nadać im kształt. Ludzie lubili, jak ich masło ładnie wyglądało. Kiedy wyklepywała oselki, zauważyła cień w drzwiach i obejrzała się.

Stał tam Roland.

Twarz miał bardziej czerwoną niż zazwyczaj. Miał w dłoniach nerwowo swój kosztowny kapelusz, zupełnie jak Rozbój.

– Tak? – zapytała grzecznie.

– Posłuchaj, ja chciałem... chciałem o tym... no, o tym wszystkim...

– Tak?

– No, ja nie chciałem nikogo okłamać – wybuchnął. – Ale mój ojciec był całkiem pewien, że zachowałem się bohatersko, i niczego już nie słuchał po tym, gdy mu opowiedziałem, jak... jak...

– Byłam pomocna? – zapytała Akwila.

– Tak... to znaczy nie! On powiedział, że miałś szczęście, trafiwszy na mnie, mówił...

– To nie ma znaczenia – oświadczyła Akwila, pochylając się nad masłem.

– A potem wszystkim powtarzał, jaki byłem dzielny...

– Powiedziałam, że to nie ma znaczenia – powtórzyła Akwila, uklepując szpachelką świeże masło. Pac, pac, pac.

Roland otworzył usta, a po chwili je zamknął.

– Chcesz powiedzieć, że dla ciebie nie ma to znaczenia? – spytał z niedowierzaniem.

– Nie ma – potwierdziła Akwila.

– Ale to nie jest w porządku!

– Jesteśmy jedyni, którzy znają prawdę. – Pac, pac, pac.

Roland wpatrywał się w tłuste masło, które przyjmowało wymyślony przez dziewczynkę kształt.

– A... – zaczął znowu – a ty nie powiesz nikomu? Chodzi mi o to, że oczywiście masz prawo, ale...

Pac, pac, pac.

– Nikt mi nie uwierzy – powiedziała Akwila.

– Próbowałem – dodał. – Naprawdę starałem się opowiedzieć, jak było naprawdę.

Wierzę ci, pomyślała. Ale nie jesteś specjalnie bystry, a baron nie jest osobą, która chciałaby widzieć rzeczy, jakimi są naprawdę. On widzi świat taki, jaki chce widzieć.

– Pewnego dnia to ty będziesz baronem, prawda? – zapytała.

– No tak. Pewnego dnia. Ale posłuchaj, czy ty naprawdę jesteś czarownicą?

– I jako baron będziesz wykonywał dobrze swoje obowiązki, tak? – zapytała Akwila, obracając kawałek masła. – Uczciwie, wspaniałomyślnie i porządnie? Będziesz dobrze ludziom płacił za ich pracę i opiekował się starcami? Nie pozwolisz, by ludzie wyrzucili jakąś staruszkę z jej obejścia?

– Mam nadzieję...

Akwila odwróciła się do niego twarzą, wciąż trzymając w dłoniach szpachelkę.

– Zrobisz to, ponieważ ja tu cały czas będę. Kiedy podniesiesz wzrok, zobaczysz, jak na

ciebie patrzę. Przez cały czas. Będę się przyglądać wszystkiemu, ponieważ pochodzę z długiej linii Dokuczliwych i to jest moja ziemia. Ale ty możesz być naszym baronem i mam nadzieję, że dobrym. A jeśli nie będziesz... zostaniesz rozliczony...

– Posłuchaj, ja wiem, że byłaś... byłaś... – zaczął Roland, purpurowiejąc na twarzy.

– Bardzo pomocna – podsunęła mu Akwila.

– ... ale nie możesz ze mną tak rozmawiać.

Akwila nie miała wątpliwości, że właśnie w tej chwili doszedł ją gdzieś spod dachu cichutki głosik:

– Na litość! Co za ciutglut!

Na chwilę zamknęła oczy, a potem z bijącym sercem pokazała szpachelką jedno z pustych wiader i wydała polecenie:

– Napełnij się!

Coś zamajaczyło i nagle wiadro było pełne wody, i jeszcze kołysało się lekko, rozchlapując ją dookoła.

Roland wybałuszył oczy. Akwila obdarzyła go jednym ze swych najśłodszych uśmiechów, który potrafił być przerażający.

– Nie powiesz nikomu, prawda? – zapytała.

Odwrócił się do niej, tym razem całkiem błady.

– Nikt mi nie uwierzy... – wyszeptał.

– No cóż. W takim razie jesteście kwita. Czy to nie miłe? A te raz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym skończyć z masłem i zabrać się do sera.

– Ser? Ale przecież ty... mogłabyś robić wszystko, co chcesz! – wykrzyknął Roland.

– No i właśnie teraz chcę zrobić ser – odparła spokojnie Akwila. – Zjeżdżaj.

– Ta farma należy do mojego ojca! – nie wytrzymał Roland. W tej samej chwili uświadomił sobie, że powiedział to o wiele za głośno.

Odkładana szpachelka dziwnie zabrzęczała.

– Wykazałeś się wielką odwagą, mówiąc to – powiedziała Akwila, odwracając się w jego stronę – ale mam nadzieję, że po krótkim zastanowieniu już tego żałujesz.

Roland, który zamknął oczy, pokiwał głową.

– To dobrze – stwierdziła dziewczynka. – Dziś robię ser. Jutro mogę mieć ochotę na coś innego. Może się też zdarzyć, że przez jakiś czas mnie tu nie zastaniesz. Będziesz się wtedy zastanawiał. Gdzie też ona może być? Ale część mnie pozostanie tutaj na zawsze. Zawsze będę myśleć o tym miejscu, będę na nie spoglądać. I powrócę tu. A teraz zjeżdżaj.

Odwrócił się i pobiegł.

Kiedy jego kroki ucichły, Akwila odezwała się:

– No dobrze, który z was tutaj jest?

– To ja, panienko. Nie-tak-duży-jak-Średniej-Wielkości-Jock-ale-większy-niż-Ciut-Jock-Jock, panienko. – Praludek pojawił się za wiadrem i dodał: – Rozbój powiedział, że powinniśmy przez ciutchwile mieć na ciebie oko i podziękować ci.

To wciąż magia, pomyślała Akwila, choć wiesz, jak się dzieje.

– Pilnujcie mnie tylko w mleczarni – oświadczyła. – Żadnego szpiegowania.

– O nie, panienko – powiedział nerwowo Nie-tak-duży-jak-Średniej-Wielkości-Jock-ale-większy-niż-Ciut-Jock-Jock. A potem się uśmiechnął – Fiona będzie wodzą klanu w pobliżu Gór Miedzianogłowych i poprosiła, żebym był jej bardem.

– Gratulacje!

– A William twierdzi, że sobie poradzę, jeśli jeszcze trochę poćwiczę na mysich dudach – ciągnął praludek. – I... no...

– Tak? – zapytała Akwila.

– No bo Hamisz powiedział, że w klanie nad Długim Jeziorem jest dziewczyna, która by mogła zostać wodzą i... no i... klan, z którego pochodzi... jest bardzo porządny... – Praludek zrobił się fioletowy ze wstydu.

– To dobrze – powiedziała Akwila. – Na miejscu Rozbója natychmiast bym po nią posłała.

– Nie masz nic przeciwko temu? – zapytał Nie-tak-duży-jak-Średniej-Wielkości-Jock-ale-większy-niż-Ciut-Jock-Jock błagalnym tonem.

– Nic a nic – odparła. Uczciwie mówiąc, odrobinę miała, ale tę odrobinę udało się odłożyć na którąś z półek w jej głowie.

– To wspaniale! – wykrzyknął praludek. – Chłopaki się trochę bały. – Obniżył głos. – A czy chciałabyś, bym pobiegł za wielkim dziełem, który przed chwilą stąd wyszedł, i przypilnował, żeby znowu spadł z konia?

– Nie! – pospiesznie zawołała Akwila. – Nie, nie rób tego. – Sięgnęła po szpachelkę. – Zostaw go mnie – dodała z uśmiechem. – Wszystko możesz zostawić mnie.

Kiedy odszedł, w samotności dokończyła uklepywać masło.

Popatrzyła na wyniki swojej pracy, odłożyła szpachelkę i czubkiem bardzo czystego palca narysowała na powierzchni falistą linię, a potem drugą, tak że wyglądały razem jak fala.

A potem narysowała linię prostą i to była Kreda.

Ziemia pod falami.

Szybko wygładziła masło i sięgnęła po stempel. Przygotowała go poprzedniego dnia,

wyrzeźbiła starannie z kawałka drzewa jabłoni, który dostała od pana Kłoca, stolarza.

Przyłożyła stempel do masła i przyjrzała się.

Na lśniącej żółtej powierzchni widniała wiedźma podróżująca na miotle pod sierpem księżyca.

Znowu uśmiechnęła się i to był uśmiech babci Dokuczliwej. Sprawy mogły się zmienić pewnego dnia.

Ale musisz zaczynać od małego, jak dęby...

I wzięła się do sera...

... ta mleczarnia znajduje się na farmie, a farma pośród pól, między wzgórzami śpiącymi w letnim słońcu, gdzie stada owiec spacerują powoli po zielonej murawie niczym obłoki po niebie, a tu i ówdzie pasterski pies pędzi po trawie niczym spadająca gwiazda. Tak się toczy i toczy ten świat, który nie ma końca.

Od autora

Obraz, do którego Akwila „wkracza”, istnieje naprawdę, namalował go Richard Dadd i wisi w Tate Gallery w Londynie. Jest nieduży, ale artyście wykonanie go zabrało dziewięć lat. Stało się to w połowie dziewiętnastego wieku. Nie znam słynniejszego obrazu pokazującego elfy. I jest naprawdę bardzo dziwny. Czuje się bijące z niego upalne lato.

Ludzie „wiedzą” o Daddzie, że oszalał, zabił ojca i zamknięty w domu wariatów do końca życia malował swe dziwaczne obrazy. Z grubsza jest to prawda, ale stanowi też koszmarnie podsumowanie życia utalentowanego artysty, który zapadł na ciężką chorobę psychiczną.

Co prawda Fik Mik Figiel nie pojawia się nigdzie na obrazie, ale uważam, że jest całkiem prawdopodobne, iż usunięto go za nieprzystojny gest. Wiecie, że takie rzeczy się zdarzają.

Prawdziwy jest też zwyczaj chowania pasterza z kawałkiem surowej węgły. Dobry Bóg zrozumie, że pasterz nie może zostawić swoich owiec. A gdyby tego nie rozumiał, nie warto węgły wierzyć.

Ludzie mówią często: „Słuchaj swego serca”, lecz czarownice uczą się słuchać także innych części ciała.

Zadziwiające, ile potrafi ci powiedzieć nerka.

Normalni wróżbiarze mówią wam to, co chcielibyście usłyszeć, czarownice zaś przepowiadają to, co się wydarzy naprawdę, niezależnie czy wam się to podoba, czy nie. Może trudno w to uwierzyć, ale czarownice są bardziej wiarygodne, choć mniej popularne.

Akwila знала wiele słów ze słownika, ale ponieważ ich nie używała, nie miała wprawy.

Żadne słowa nie opiszą, jak wygląda obrócony do góry nogami Figiel w spódnice, więc nie będziemy nawet próbować.

Koniec